

JAYNE ANN KRENTZ

To co się zdarzyło już nie wróci,
ale zawsze może cię odnaleźć...



Siostrzyczki


AMBER

JAYNE ANN
KRENTZ

Siostrzyczki

Przekład
EWA SPIRYDOWICZ



@kasiul

Mojej wspaniałej redaktorze, Leslie Gelbman, która zna sekret

Rozdział 1

Cooper Island, 18 lat wcześniej...

Stał w półmroku kuchni i zastanawiał się, którą dziewczynkę wybrać. Godzinę wcześniej obie zasnęły przed telewizorem i spały teraz tak, jak śpi tylko młodość – głęboko, zdrowo.

Obie były w odpowiednim wieku – miały dwanaście, może trzynaście lat – na progu kobiecości. Takie lubił najbardziej. Czyste. Niewinne. Dziewczęce. Dziewczynki z małego miasteczka, którym brakuje wielkomiejskiego sprytu – a takie właśnie najłatwiej zastraszyć, zmusić do milczenia. Jeśli piśniesz komuś choćby słowo, wrócę i zabiję najpierw twoich rodziców, a potem ciebie.

Domek znajdował się w pewnej odległości od hotelu, w którym odbywały się uroczystości weselne. Babka tej drobniejszej była właścicielką Aurora Point. Matka jej przyjaciółki pracowała w hotelu. Obie kobiety miały dziś wieczorem pełne ręce roboty. W życiu dziewczynek nie było mężczyzn – żadnych ojców czy braci, tylko babka i matka. Nie musiał się więc nimi przejmować.

Odkąd zameldował się w hotelu, uważnie obserwował obie dziewczynki. Pomagały w przygotowaniach do wesela, ustawiały składane krzesła, poprawiały stroiki z kwiatów na stołach.

Kiedy zaczęła się zabawa, zajęły się sobą. Najpierw grały w ping-ponga, potem zniknęły w domku i oglądały telewizję.

Wyższa była ładniejsza, szczupła, długonoga – ale zarazem mogło się okazać, że trudniej ją będzie opanować, właśnie ze względu na wzrost i zasięg rąk. Gdyby walczyła – a niektóre, mimo jego gróźb, jednak walczyły – mogłaby coś strącić i narobić hałasu, a to zwróciłoby czyjąś uwagę. Z drugiej strony, była w niej marzycielska słodycz, która bardzo do niego przemawiała. Wcześniej z wyraźną przyjemnością aranżowała idiotyczne dekoracje, a później ślęczała nad kwiatami przy stole w bufecie. Dorośli uśmiechali się pod nosem i pozwalali, by robiła wszystko po swojemu.

Drobniejsza nie była tak ładna, ale w jej zachowaniu i pewności siebie było coś intrygującego. Kiedy się zameldował, zastępowała recepcjonistkę. Podała mu klucz i przekazała wszystkie niezbędne informacje ze spokojem dorosłej osoby. Przemknęło mu przez głowę, że wyrośnie na jedną z tych władczych suk, które wiecznie wydają rozkazy. Twarda sztuka. Musi się nauczyć, gdzie jej miejsce.

Teraz, stojąc w ciemności, zdecydował, że właśnie z nią łatwiej sobie poradzi. Przytrzyma ją jedną ręką i ściśnie za gardło tak, żeby nie mogła krzyczeć. Ale, ją trudniej będzie zastraszyć. Być może po wszystkim będzie musiał ją zabić, żeby mieć pewność, że nie piśnie ani słowa.

Koniec końców los zdecydował za niego. Drobniejsza dziewczynka obudziła się, ziewnęła i poczłapała na bosaka do kuchni po wodę.

Nie zorientowała się, że tam jest, dopóki nie zakrył jej ust dłonią i nie wyniósł w ciemną noc.

Rozdział 2

Madeline, nadal jesteś w żałobie. – Doktor Fleming oparł na biurku skrzyżowane ręce. Oprócz zawodowej troski w jego spojrzeniu ukryła się jeszcze inna delikatniejsza, bardziej intymna nuta. – Minęły zaledwie trzy miesiące, odkąd straciłaś babcię. Byłaś z nią bardzo blisko. Poza nią nie miałaś żadnej rodziny. To oczywiste, że przeżyłaś traumę. Nierozsądnie byłoby teraz, gdy jesteś w tak niestabilnym stanie psychicznym, podejmować ważne życiowe decyzje.

Za oknem słońce Arizony płonęło na bezchmurnym wiosennym niebie, jednak w gabinecie doktora Fleminga klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach. Madeline Chase przemarzła do szpiku kości, wiedziała jednak, że to nie tylko wina klimatyzacji. To za sprawą Williama czuła ten chłód, aż za dobrze znane uczucie uwięzienia, kryjące się gdzieś głęboko. Musiała uciec, i to szybko.

Założyła nogę na nogę i rozsiadła się wygodnie w miękkim fotelu obciążonym skórą. Całe dzieciństwo spędziła w gabinecie babci, która kierowała małą siecią butikowych hoteli i odniosła wielki sukces. Wiedziała doskonale, co zrobić, by sprawiać władcze wrażenie. Teraz, po śmierci Edith Chase, władza naprawdę była w rękach Madeline. Odziedziczyła w całości majątek babki.

– Gdybyś naprawdę znał mnie tak dobrze, jak ci się wydaje, wiedziałbyś, że doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co robię – oznajmiła. – Nie będziemy się już więcej spotykać. To moja ostateczna decyzja.

Zdjął modne okulary w tytanowych oprawkach, odłożył je na biurko i i westchnął głęboko, całym ciałem dając jej do zrozumienia, że to prawda, że bardzo się nią rozczarował, ale jest gotów okazać jej cierpliwość i wyrozumiałość.

Na chwilę zatrzymała wzrok na jego dłoniach. Uważała je za jeden z jego większych atutów – jeden z wielu, które wypisała po stronie pozytywów, gdy miesiąc temu robiła arkusz kalkulacyjny oceniający ich związek, choć ten dopiero się zaczynał. William miał gładkie, zadbane dłonie; podobnie jak reszta jego ciała, nie onieśmiały siłą ani rozmiarem. Kiedy mówił, często zataczały małe łuki. Dłonie mężczyzny, który dużo czyta – książki z list literackich bestsellerów; dłonie mężczyzny, który chętnie odwiedza modne restauracje i podziwia wystawy w muzeach sztuki nowoczesnej. Miękkie, niegroźne dłonie.

Cała reszta Williama pasowała do rąk. Jak na mężczyznę był raczej niski. Kiedy zakładała buty na wysokich obcasach, jak dzisiaj, byli tego samego wzrostu. Podobało jej się także to, że choć fizycznie sprawny, był drobnej budowy, bez przesadnej muskulatury.

Miesiąc temu doszła do wniosku, że będą do siebie pasować w łóżku, przynajmniej przez jakiś czas. Jej związki nigdy nie trwały długo, gdy przekroczyły granicę sypialni. William dążył do bliskości, także fizycznej, ona jednak nigdy nie zdecydowała się łatwo na ten krok, bo z jej punktu widzenia seks był zawsze początkiem końca. Tak naprawdę najbardziej opowiadała jej pierwsza faza – poznawanie się. Wtedy jeszcze mogła marzyć, łudzić się, że w końcu poznała odpowiedniego mężczyznę, takiego, z którym będzie mogła założyć rodzinę.

– Nie musimy się rozstawać, Madeline. – William przyjął profesorski ton, ten sam, którym posługiwał

się w sali wykładowej. W niepełnym wymiarze godzin wykładał w miejscowym college'u. – Jak tłumaczyłem, doskonale do siebie pasujemy.

Roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać. Miała do wyboru – albo się roześmieje, albo rzuci w Williama pierwszym lepszym ciężkim przedmiotem, który wpadnie jej w ręce. Jako kobieta sukcesu wiedziała, że nie warto tracić głowy, zdecydowała się więc na śmiech. Nie było w nim jednak rozbawienia. Ironia Jego słów była porażająca. Jakkolwiek by było, William specjalizował się w terapii małżeńskiej.

– Fakt, powtarzasz mi to od miesiąca – przyznała. – Ale nie masz racji. Ba, powiedziałabym nawet, że mnie okłamywałeś.

– To śmieszne. Że już nie wspomnę, że także obraźliwe.

– Chodziło pewnie o finansowanie badań na temat terapii grupowej, prawda? Zdaję sobie sprawę, że walka o granty to brutalna rozgrywka, ale naprawdę sądziłeś, że uda ci się przekonać mnie, żebym dała ci pieniądze? Naprawdę?

– Madeline, najwyraźniej coś bardzo cię poruszyło. Uspokój się i powiedz mi, co się dzieje. Razem na pewno się z tym uporamy.

Na to już za późno, pomyślała. Przepęłniała ją ta sama nieugięta determinacja, którą czuła, ilekroć dochodziła do wniosku, że umiejętności danego pracownika nie są kompatybilne z kulturą pracy sieci hoteli Sanctuary Creek Inns. Na szczęście rzadko musiała zwalniać kogoś ze świetnie wyszkolonego personelu, niemniej jednak czasami do tego dochodziło. A wtedy dążyła do tego, żeby zwalniany pracownik sam doszedł do wniosku, że powinien poszukać sobie innego zajęcia. Podstawowa zasada w tych rozmowach to: niczego nie tłumaczyć. Wyliczanie powodów, dla których chcesz zwolnić pracownika, to zarazem otwarcie drzwi dla argumentów i kontrargumentów. Sprawy szybko wymykają się spod kontroli. To jedna z licznych lekcji, których nauczyła się od babki.

Różnica między pozbyciem się nieskutecznego pracownika a zerwaniem z doktorem Williamem Flemingiem polegała na tym, że w przypadku pracownika na otarcie łez wręczyłaby mu czek na niemąłą sumę i odesłała z przeświadczeniem, że sam wpadł na pomysł zmiany pracy.

Ale Wiliamowi niczego nie da.

– Już nie ma się z czym uporać – stwierdziła. Opuściła nogi na podłogę, wstała. – Doceniam twoją troskę o mój stan psychiczny, ale moja decyzja jest nieodwołalna. Nie spotkamy się nigdy więcej. Nie próbuj się ze mną kontaktować.

Ruszyła w stronę drzwi. Doszła do wniosku, że i tak została za długo. Czuła, że lada chwila straci panowanie nad sobą.

William poderwał się z za biurka.

– Co za bzdura – warknął. – Siadaj i powiedz mi, o co chodzi. Przynajmniej to jesteś mi winna. Zdaję sobie sprawę, że masz duży problem bliskością, ale zrobiliśmy już niemałe postępy.

Fala gniewu zalała ją bez ostrzeżenia. W dłoniach pojawiło się lodowato-gorące mrowienie, podobne do nieprzyjemnego przypływu adrenaliny, gdy na schodach niechcący pominiesz stopień. Świadomość, że cudem uniknęło się groźnego wypadku, to zawsze szok dla organizmu.

Nie była wściekła na Williama – była na niego tylko zła. I miała ku temu powody, w jej mniemaniu. Przede wszystkim jednak była wściekła na siebie. Nie chciała nawet myśleć o tym, że w ogóle brała pod uwagę związek z tym dupkiem.

Zatrzymała się przy drzwiach, odwróciła, spojrzała na niego. I to błąd, stwierdziła. Rozsądniej byłoby wyjść od razu, zatrzasnąć za sobą drzwi, zostawiając za sobą nieszczęście, którego cudem udało jej się uniknąć.

I może nawet udałoby jej się to zrobić, gdyby nie wspomniał o jej problemie z bliskością. Doprawdy,

wszystko ma swoje granice.

– Wyjaśnimy sobie jedno, Williamie – rzuciła. – Nie byłam twoją pacjentką i jeśli o mnie chodzi, łączyła nas bliskość.

– Ależ oczywiście.

Zmieniał ton głosu z łatwością wytrawnego aktora. Teraz usłyszała w nim trochę czułości. Wyszedł za biurka, zbliżał się do niej. Odruchowo zacisnęła dłoń na kłance.

– Wmawiałam sobie, że twoja troska o mój problem z bliskością to oznaka tego, że ci na mnie zależy – wyznała. – Denerwowało mnie to, ale wierzyłam w twoje dobre intencje. I wiesz, niewykluczone nawet, że postawiłeś słuszną diagnozę.

Zatrzymał się koło niej i uśmiechnął skromnie.

– Wiesz przecież, że problemy z bliskością to moja specjalność – odparł. – Ale możemy poczekać, jeśli na razie nie chcesz o tym rozmawiać.

– Właśnie w tym rzecz, Williamie. Kiedy się poznaliśmy, nie szukałam terapeuty. Liczyłam na poważny, głęboki związek. Teraz jednak wiem już na pewno, że pod tym względem jesteś do niczego.

– O co ci chodzi?

– Postaram się ująć to zwięźle. Jesteś zakłamanym, oszukańczym dupkiem.

Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby oberwał w głowę.

– O co ci chodzi?

– O dane – odparła.

– Co?

– Nie zapominaj, że pracuję w biznesie. Dane to mój chleb powszedni. Kazałam cię sprawdzić.

– Co?

W innych okolicznościach rozbawiłoby ją przerażenie na jego twarzy.

– Nie bierz tego do siebie, to dla mnie rutynowe posunięcie – uśmiechnęła się. – Zawsze sprawdzam przeszłość moich partnerów, jeśli wygląda na to, że sprawa może się rozwinąć. W twoim wypadku zabrałam się za to nieco później, bo miałam pełne ręce roboty po śmierci babci. Ale dzisiaj rano dostałam wszystkie dokumenty i powiedzmy, że nie wyłania się z nich obraz mężczyzny, z którym chciałabym się związać.

– Oszalałaś?

– Być może, ale to już nie twój problem.

Już miała otworzyć drzwi, ale zareagował o wiele szybciej, niż się spodziewała i oparł o nie dłoń. Pociągnęła za kłankę, ale okazał się silniejszy, niż na to wyglądał. Tyle, jeśli chodzi o ocenianie faceta według postury.

Lada chwila klaustrofobia weźmie górę. Starła się opanować ją logiką. Przecież nie jest w niebezpieczeństwie. Kilka metrów dalej siedzi recepcjonistka Williama, a w holu czeka jej człowiek, Jack Rayner. O ile mi wiadomo, nie miał przy sobie broni, ale naprawdę był człowiekiem.

Więc nie jest sama. Nie jest w pułapce.

– Oboje wiemy, że najlepiej dla ciebie będzie, jeśli pozwolisz mi spokojnie wyjść – stwierdziła. – Nie chcesz awantury. Wyjdiesz na idiotę, zwłaszcza jeśli będziesz chciał zatrzymać mnie tu siłą. Pomyśl, jak to wpłynie na twój wizerunek.

– Nie możesz tak po prostu rzucać oskarżeń na wiatr, a potem wyjść stąd, jak gdyby nigdy nic – warknął. – Jesteś mi winna wyjaśnienie tego, co powiedziałaś.

– Bardzo proszę, Williamie, oto, co o tobie wiem. W ciągu zeszłego roku wykorzystałeś swoją pozycję terapeuty i uwiodłeś co najmniej dwie pacjentki.

Poczerwieniał gwałtownie.

– Kłamstwo. Kto ci to powiedział?

– Obie kobiety były mężatkami, gdy je uwodziłeś. Ich mężowie także byli twoimi klientami. Wiesz, w jakim to cię stawia świetle, Williamie? Jesteś draniem. Gdyby te kobiety złożyły skargę, twoja kariera ległaby w gruzach.

– Nie wiem, kogo zatrudniłaś, żeby doszukać się brudów na mój temat, ale zapewniam cię, to wszystko nieprawda.

– Ile klientek uwiodłeś? Wiem o dwóch, ale to wystarczy, żeby podejrzewać, że jest ich więcej. Czy mój człowiek ma szukać dalej?

– Dane klientów są poufne. Twój człowiek nie miał prawa się do nich włamywać.

– Spokojnie. Nigdzie się nie włamywał. Po prostu zadał kilka pytań. Bo widzisz, Williamie, romanse mają to do siebie, że nigdy nie zostają tajemnicą na długo. Wcześniej czy później ktoś coś powie.

Złapał ją za ramię tak mocno, że czuła ucisk jego palców przez granatowy żakiet.

– Posłuchaj mnie – wycedził niskim, szorstkim głosem. – To były moje pacjentki. Chciałem dać im poczucie, że nadal są atrakcyjne, żeby zdobyły się na odwagę i zrozumiały, że najwłaściwszym wyjściem będzie rozwód. W tych romansach nie było nic osobistego, w każdym razie nie z mojej strony.

Sięgnęła do torebki wolną dłonią i wyjęła komórkę.

– Wypuść mnie stąd, bo inaczej wezwę policję. To kiepska reklama, nie uważasz?

Przez chwilę przyglądał się jej z taką miną, jakby mówiła w obcym języku, z którego nie rozumiał ani słowa. Potem spojrzał na telefon w jej dłoni.

Puścił ją i odsunął się o krok.

– Wynoś się – powiedział.

Otworzyła drzwi i wyszła. Recepcjonistka zarumieniła się i z przesadnym zapałem uderzyła w klawisze komputera. Madeline skinęła jej głową. Recepcjonistka nie podniosła wzroku.

Madeline wyszła z gabinetu bardzo spokojnie i bardzo starannie zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział 3

Nazwisko na wizytówce brzmiało John Santiago Rayner, ale wszyscy nazywali go Jack.

Czekał na nią w tym samym miejscu, w którym zostawiła go niewiele wcześniej. Opierał się o ścianę. Skrzyżował ręce na piersi. Miał na sobie ciemne spodnie, dżinsową koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, pogniecioną sportową marynarkę i buty do kostek. Pochodził z rodziny arizońskich farmerów, której drzewo genealogiczne sięgało czasów, gdy Arizona była tylko podległym USA terytorium.

Raynerowie już wiele lat temu zmienili branżę – z bydła przerwali się na handel nieruchomościami, ale Jack był reliktem dawnych czasów. Miał surowe, nieprzeniknione spojrzenie szeryfa z Dzikiego Zachodu. W dawnych czasach, których duch do dzisiaj przenikał współczesny południowy zachód, mężczyźni tacy jak Jack w samo południe stawiali do pojedynku na zakurzonej głównej ulicy z gwiazdą szeryfa na piersi.

Fakt, Jack wybrał pracę w ochronie i nie miał na biodrach kabury z rewolwerem, ale te ustępstwa na rzecz współczesności nie odbierały mu powagi. Nawet w sportowej marynarce pasowałby do każdego salonu.

Zerknął na drzwi do gabinetu Williama.

– Jakiś problem? – zapytał głosem, w którym czaił się zwodniczo nonszalancki akcent z Arizony.

Poczuła, jak na jego widok częściowo ustępuje napięcie. Był wszystkim tym, czym nie był William – za wysoki, za silny na tysiąc drobnych sposobów. Z jego orzechowych oczu nie dało się niczego wyczytać. Jednak w tej chwili wyglądał dobrze. Bardzo dobrze.

Upomniała się, że to bardzo złożony człowiek. Dostrzegła tego małą cząstką tego dnia, gdy usiłowała go zwolnić. Nie udało się. Jack to nie jeden z pracowników, którym można podsunąć myśl o odejściu. Jak się okazało, nie interesowała go kariera w innej branży. Chciał zajmować się ochroną sieci Sanctuary Creek Inns i był gotów o to walczyć.

Dobrze chociaż, że firma Rayner Risk Management nadal jest związana kontraktem z Sanctuary Creek Inns.

W świecie biznesu umowa to umowa. Na krótko przed śmiercią w pożarze hotelu Edith Chase doszła do porozumienia z firmą Jacka. Madeline była wtedy przeciwna, bo Rayner Risk Management to mała, nowa firma na brutalnym rynku ochrony hotelowej.

Madeline usiłowała przekonać babkę, że to kiepski pomysł, ale Edith zbyła jej argumenty rzucanymi od niechcenia uwagami: Możemy chyba uznać, że ma odpowiednie kwalifikacje, choć rzeczywiście brak mu doświadczenia w branży hotelowej. Był konsultantem FBI. Madeline odcięła się wtedy: Super, ale nasza branża to hotelarstwo, a nie seryjni mordercy czy mafia. Na co Edith odparła: Rayner Risk Management ma siedzibę w Sanctuary Creek. Ilekroć to możliwe, wybieram miejscowe firmy. Na co Madeline zauważyła, że z Jacka jest chyba kiepski biznesmen, skoro jego poprzednie przedsięwzięcie, firma oferująca usługi ochrony w Silicon Valley, zakończyła działalność spektakularną plajtą.

Koniec końców przegrała tę batalię i teraz miała Jacka Raynera na głowie. Sprawy nie ułatwiał fakt,

że jego umiejętności społeczne pozostawiały wiele do życzenia. Kiedy po raz pierwszy spotkali się w gabinecie jej babki, wyciągnęła do niego rękę, chcąc zawsze, nawet po przegranej, zachować się profesjonalnie. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem spojrzął na jej dłoń, jakby nie wiedział, co z nią zrobić. Kiedy w końcu ją uścisnął, była aż nadto świadoma jego ognia i siły. Chwilę trwało, zanim zdołała wyswobodzić dłoń. Wydawało jej się, że Jack zapomniał, że ją trzyma.

Od tamtej chwili powtarzała sobie, że Jack nie jest w jej typie. Miał jednak pewne zalety – pracował u niej, był pod ręką i podpisał klauzulę poufności.

Kiedy instynkt zaczął jej podpowiadać, że z Williamem coś jest nie tak, zadzwoniła do Jacka i kazała mu sprawdzić psychologa. Nie ukrywał bynajmniej, że drażni go takie zlecenie. Nie miała pojęcia, czemu tak reagował, bo sprawdzanie potencjalnych pracowników należało do jego zadań. Sprawdzenie to sprawdzenie, nieważne, czy chodzi o kandydata do pracy, czy kandydata na partnera szefowej całej sieci.

– Nie – odparła. – Nie było to przyjemne, ale już załatwione. – Poprawiła pasek torebki na ramieniu i ruszyła w stronę wind energicznym krokiem. – Nie musiałeś tu dzisiaj ze mną przychodzić. O Williamie można wiele powiedzieć, ale nie to, że jest agresywny.

Jack zrównał swoje kroki z jej tempem. Górował nad nią, choć tego dnia założyła buty na najwyższych obcasach.

– W odpowiednich okolicznościach każdy może stać się agresywny – zauważył.

Wzdrygnęła się.

– Tak, wiem. Ale naprawdę nie sędzę, żeby William stanowił jakikolwiek problem.

– Pewnie masz rację. – Jack zerknął na drzwi do gabinetu. – Nie przywykł do tego, że ofiara atakuje. Ale dojdzie do siebie.

– Ofiara?

– Na początku właśnie tak cię postrzegał.

Skrzywiła się.

– Pewnie tak.

– Tacy jak on wolą łatwiejsze ofiary.

– Mówisz, jakbyś znał ten typ – zauważyła.

– Spotkałem kilku w życiu.

– Kiedy pracowałeś jako konsultant dla FBI?

– Tak.

– Przyjmuję twoją analizę Williama Fleminga. Tym niemniej wolałabym, żebyś w odniesieniu do mnie nie używał słowa: ofiara czy zwierzyna.

Jack puścił to mimo uszu.

– Uważaj, żebyś przypadkiem nie odebrała od niego telefonu. Nie odpisuj na wiadomości. Nie zgadzaj się na żadną kawę i rozmowę, żebyście wszystko sobie wyjaśnili.

Zatrzymała się przy windzie, wcisnęła guzik.

– Wiem, co robić. Tak się składa, że jutro i tak wyjeżdżam z miasta. Na kilka dni.

– Dokąd się wybierasz?

– Na Cooper Island. – Choć to właściwie nie jego sprawa, pomyślała. – To wysepka w archipelagu San Juan, w stanie Waszyngton. Babcia miała tam posiadłość. Teraz jest moja.

– Hotel Aurora Point.

Zerknęła na niego, autentycznie zaskoczona.

– Znasz go?

– Trafiłem na zeznania podatkowe, gdy sprawdzałem twoją firmę.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

– Najwyraźniej sprawdzałeś bardzo... dokładnie.

– Pytałem o niego Edith. Powiedziała, że ubezpieczenie tej placówki jej nie interesuje. Że to własność prywatna, a nie część pakietu Sanctuary Creek.

– Tak jest.

Drzwi windy otworzyły się. Weszła do środka. Jack ruszył za nią. Wcisnął parter.

– Wybierasz się na Cooper Island, żeby odpocząć? – domyślił się. – Niezły pomysł. Od śmierci babki pracujesz bez wytchnienia. Chwila odpoczynku dobrze ci zrobi.

Jęknęła.

– Świetnie, najpierw jestem zwierzyną, a teraz sugerujesz, że wyglądam jak z krzyża zdjęta. Nie ma co, Jack, wiesz, jak sprawić kobiecie przyjemność.

Zmarszczył brwi.

– Chodziło mi tylko o to, że powinnaś odpocząć. Przez te trzy miesiące bardzo dużo przeszłaś. Ale Edith zostawiła ci też świetną ekipę. Poradzą sobie przez kilka tygodni, albo nawet dłużej, zwłaszcza teraz, gdy minął pierwszy szok.

– Nawet nie próbuj tłumaczyć, co chciałeś powiedzieć, to chyba nie jest twoja najmocniejsza strona. Ale między nami, nie wybieram się na Cooper Island na wakacje. Po prostu wydarzyło się coś w związku z hotelem Aurora Point.

– Coś, co wymaga twojej obecności na miejscu?

– Najwyraźniej. Odezwał się do mnie Tom Lomax, dozorca, którego babcia zatrudniła, żeby doglądał hotelu. Upiera się, że chce rozmawiać ze mną osobiście.

– A nie może przez telefon?

– Tom nie ufa telefonom. Nie wierzy też w pocztę elektroniczną, tak przy okazji. Jest dość staroświecki.

– Albo cierpi na paranoję.

– No dobra, dziwak z niego, to fakt.

– Czyli wybierasz się aż do stanu Waszyngton, żeby pogadać osobiście z tym całym Tomem Lomaxem o problemie w opuszczonym hotelu, którego twojej babci nie chciało się nawet ubezpieczyć – podsumował Jack.

Spojrzała na niego.

– Właśnie tak. Jak sam powiedziałaś, mój zespół da sobie radę, jeśli wyjadę na kilka dni. Gdybyś miał jakieś pytania, zwracaj się bezpośrednio do Chucka Johnsona.

– To dobry fachowiec.

– Wiem.

Spojrzał na nią.

– Nie powiesz mi, czemu rzucasz wszystko i jedziesz na Cooper Island, prawda?

Drzwi do windy stanęły otworem. Madeline wysiadła.

– Nie – przyznała. – Częściowo dlatego, że, jak już powiedziałam, sama nie wiem do końca, w czym rzecz. Ale przede wszystkim dlatego, że to nie twoja sprawa. To sprawa prywatna, Jack.

Przekonywała się jednak powoli, że kiedy Jack Rayner wbił w coś zęby, nie sposób go było przekonać, by dał spokój. Wyszedł w ślad za nią.

– Twoja babka mówiła, że wyjechałyście z Cooper Island prawie dwadzieścia lat temu – zauważył. – Byłaś tam później?

– Nie.

Szła przez hol, kierowała się do przeszklonych drzwi po przeciwnej stronie.

– Nie musiałaś mnie prosić, żebym sprawdził Williama Fleminga – stwierdził Jack.

Zerknęła na niego, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

– Jak to?

– Wcale nie chciałaś za niego wychodzić.

– Myślałam o tym. – Ale nawet w jej uszach nie było w tym przekonania.

– Nie. – Jack obstawał przy swoim. – Wcześniej czy później zerwałabyś z nim.

Zaczynał działać jej na nerwy.

– Skąd to wiesz?

– Nie prosiłabyś mnie, żebym go sprawdził, gdybyś sama nie szukała pretekstu, żeby go spławić.

Ułatwiłem ci sprawę, bo dałem ci pretekst, na którym mogłaś się oprzeć. Ale gdyby nie ja, zerwałabyś z nim i tak.

– Skąd ta pewność?

– Ludzie osaczeni mają specyficzny wyraz twarzy. Widziałem go u ciebie.

– Czyli jaki?

– Niełatwo to wytłumaczyć. Powiedzmy, że poznaję go, kiedy go widzę. Jak powiedziałem, szukałaś wyjścia z tej sytuacji i liczyłaś, że załatwię tę sprawę niejako za ciebie.

Zamyśliła się. Chciała zaprotestować, ale musiała przyznać mu rację.

– Fakt. William był zbyt idealny i to nie dawało mi spokoju. Chciałam z nim zerwać, ale szukałam dobrego pretekstu.

– Dla siebie, nie dla niego.

Sięgnęła do torebki, wyjęła okulary przeciwsłoneczne i powoli, starannie włożyła na nos, żeby nie widział jej oczu.

– Chyba już skończyliśmy – mruknęła.

Nie odpowiedział, tylko sięgnął po swoje okulary, założył je i pchnął przeszkłone drzwi.

Wyszli na zewnątrz, w ciepły wiosenny dzień. Słońce odbijało się od karoserii samochodów przed biurowcem. Choć był dopiero marzec, upał był już wyczuwalny.

Za parkingiem ciągnęła się główna ulica Sanctuary Creek. Mimo że miasteczko powstało ponad sto lat wcześniej, nadal było zaledwie małym punkcikiem na mapie Arizony. Edith i Madeline zamieszkały tu przed osiemnastu laty. Edith otworzyła mały pensjonat, żeby związać koniec z końcem. Był to pierwszy obiekt w sieci butikowych hotelików.

Ostatnimi laty miasteczko odkryli turyści, emeryci i wszyscy ci, którzy szukali słonecznego zakątka na zimowe miesiące i tym sposobem Sanctuary Creek stało się popularnym celem, mogącym się równać ze Scottsdale i Sedoną.

Jack odprowadził ją do samochodu. Martwiło ją jego przeciągające się milczenie. Lada chwila coś się wydarzy.

Usiadła za kierownicą i spojrzała na niego.

– Co jest? – zapytała, gdy napięcie stało się nie do zniesienia.

Jack przez, jak jej się zdawało, bardzo długą chwilę wpatrywał się w panoramę gór pustyni.

– Wiem, że masz problem z bliskością i zaufaniem – zaczął. – Wiem coś o tym z autopsji.

Zacisnęła dłonie na kierownicy. Oddychaj.

– Przepraszam bardzo, ale nie przypominam sobie, byśmy omawiali moje problemy osobiste – wycedziła lodowatym tonem.

Spojrzał na nią. W ciemnych okularach odbijało się słońce.

– Następnym razem każ komuś innemu szperać w życiu potencjalnego kochanka – powiedział chłodnym głosem bez cienia emocji. – Mogę sprawdzać parterów biznesowych, ale nie chcę się angażować w twoje życie prywatne.

Nagle zabrakło jej tchu.

– Komuś innemu? – powtórzyła. – Ale sprawdzanie wybranych osób to część twojej pracy.

– Jeśli chodzi o twoją firmę. Nie o życie prywatne.

– Nie obraź się, ale o ile pamiętam, twojej firmie przyda się każde zlecenie. Dlaczego nie chcesz akurat takich?

– Wszyscy wiemy, jaki los spotyka posłańca. Wcześniej czy później mówią coś, czego klient nie chce słyszeć i sprawa nigdy nie kończy się dobrze dla posłańca właśnie.

Zatrzasnął drzwiczki jej samochodu, odwrócił się i ruszył do szarosrebrnego suwa stojącego kilka samochodów dalej. Nie obejrzał się.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, wyjechała z parkingu. Zmierzała do siedziby zarządu Sanctuary Creek Inns. Musiała załatwić w biurze jeszcze parę spraw, zanim wróci do domu, żeby spakować się przed wyjazdem na Cooper Island.

Zerknęła w boczne lusterko. Po srebrnoszarym suwie nie było śladu.

Tyle jeśli chodzi o traktowanie Jacka Raynera jako swojego człowieka.

Rozdział 4

Jack nalał sobie whisky do szklanki i podszedł do okna w swoim mieszkaniu. Miał stąd wspaniałe widoki na dolinę i miasteczko Sanctuary Creek. Światła domów i bloków mieszkalnych rozsypanych na zboczach gór mieniły się jak złoto w blasku księżyca.

Na przeciwległym krańcu doliny widział łunę światła nad zamkniętym osiedlem, w którym mieszkała Madeline. Pewnie szykuje się do wyprawy na północ. Jutro wyruszy na wyspę, z której wyjechała z babką osiemnaście lat wcześniej. O ile udało mu się ustalić, żadna z nich nie wróciła tam od tego czasu, nie przejawiała ku temu najmniejszej ochoty.

A jednak Edith Chase nigdy nie sprzedała hotelu Aurora Point.

Edith miała spore doświadczenie w biznesie. Dlaczego uparcie trzymała w swoim posiadaniu niszczącą nieruchomości?

Szkoda, że zabrakło czasu, by lepiej poznać pierwszą poważną klientkę. Edith zrobiła na nim wrażenie, to fakt. Poza tym był jej wdzięczny. Zaryzykowała, powierzając mu tę posadę i chciał udowodnić, że jego firma, choć mała, zdoła zapewnić bezpieczeństwo sieci hoteli. A potem Edith zginęła i teraz musiał radzić sobie z Madeline.

Powtarzał sobie, że dzisiaj wykonywał swoją pracę. Dostarczył klientce wymaganych danych, dzięki którym mogła podjąć decyzję. Przypominał sobie zaciętą minę Madeline, gdy wyszła z gabinetu Fleminga. Wyglądała jak ucieleśnienie wojowniczej królowej. Włosy koloru czarnej kawy zebrała w ciasny węzeł na karku. Ta fryzura podkreślała jej ostre, wyraziste rysy i bursztynowe oczy. Emanowała od niej taka energia, że zdziwił się, że powietrze wokół niej się nie iskrzyło.

Była wściekła. Nie na Fleminga, na siebie. Rozumiał to. Znał to z autopsji.

Upił łyk whisky. Nie jej wina, że drań oszukiwał ją przez dłuższy czas. Choć nie brak jej inteligencji, tacy jak Fleming są mistrzami kamuflażu. To ich największy talent, który doskonałą, bo dzięki niemu utrzymują się przy życiu. Gdyby inni ludzie dostrzegali prawdziwy charakter narcystycznego manipulatora, w pierwszym odruchu chcieliby pokonać potwora.

W przeszłości Fleminga nic nie sugerowało, że to psychopata ze skłonnością do przemocy, to jednak nie oznaczało, że w swoim czasie nie wyrządził wielu krzywd. Wykorzystał rozpacz Madeline, żeby się do niej zbliżyć, gdy chwilowo osłabła jej czujność. Jednak koniec końców osobista zaporą zdała egzamin. Wezwała posłańca i zażądała sprawdzenia potencjalnego kandydata na kochanka. A potem wysłuchiwała złych wieści.

Wojowniczką odniosła rany, ale trzymała się prosto.

Co do jednego miała rację – rzeczywiście zawsze sprawdzała potencjalnych partnerów. W dokumentach firmy znalazł informacje o poprzednikach Fleminga, nawet o chłopaku, z który poszła na bal maturalny.

Upił następny łyk whisky i skoncentrował się na nieruchomości na Cooper Island. Teoretycznie nic dziwnego, że po śmierci Edith Chase zdziwaczały dozorca chce porozmawiać z jej spadkobierczynią o

hotelu i swojej posiadzie. Możliwe nawet, że zależało mu, żeby porozmawiać z nią osobiście.

A jednak hotel Aurora Point otaczała mgła tajemnicy. Edith Chase nigdy o nim nie rozmawiała. A teraz jej wnuczka także nabierała wody w usta.

W Internecie było niewiele informacji o starym hotelu. Podupadał, gdy Edith go kupiła, i sprawy szły opornie, gdy chciała go przekształcić w ośrodek turystyczny na północnym zachodzie. Mniej więcej w tym czasie rodzice Madeline zginęli w wypadku samochodowym i Edith wzięła do siebie pięcioletnią wnuczkę.

Z czasem hotel zaczął przynosić zyski. A jednak osiemnaście lat temu, bez wyraźnego powodu, Edith zamknęła go i zatrudniła dozorcę, żeby miał na wszystko oko, a sama z Madeline przeniosła się do Sanctuary Creek i najwyraźniej ani razu nie obejrzała się za siebie.

I teraz, nagle, po tylu latach, Madeline zadaje sobie trud i jedzie taki kawał drogi na wysepkę w archipelagu San Juan, żeby porozmawiać o przeszłości nieruchomości – nie z deweloperem czy agentem nieruchomości, tylko z dozorcą.

Dopił whisky do końca. Pytania nie dawały mu spokoju. Kiedy szklaneczka była pusta, poszedł do kuchni i włączył piecyk.

Otworzył lodówkę i analizował możliwe opcje. Lubił gotować. W kuchni odpoczywał, ale gotowanie dla jednej osoby jest średnio przyjemne. W okresach między związkami najbardziej brakowało mu właśnie wspólnych posiłków z drugą osobą. No dobra, tego i seksu.

Niestety, od kalifornijskiego fiaska, okresy między związkami wydłużały się coraz bardziej – a nieliczne relacje, które zaczynał, nigdy nie trwały długo.

Wyjął kawałek sera feta, szczypiorek i zielone oliwki i zamknął lodówkę. W kredensie stała puszka pomidorów. Zesklił cebulkę na patelni, dodał pomidory i odrobinę białego wina, doprawił solą i kminem.

Pomidory się dusiły, on tymczasem ułożył kawałki fety w naczyniu żaroodpornym, posypał oliwkami, zalał sosem pomidorowym i wstawił naczynie do kuchenki.

Kolejne dwadzieścia minut spędził przy komputerze, przeglądając sprawozdania od swoich – nielicznych, bo tylko dwóch – pracowników. Po pewnym czasie wrócił do kuchni, wyjął dwa jajka z lodówki, wbił do bulgoczącego sosu, przykrył blaszkę folią aluminiową i ponownie wstawił do piecyka, na dalsze osiem minut.

Kiedy jajka się ścięły, wyjął naczynie z piecyka i postawił na blacie, żeby ostygło. Nalał sobie lampkę czerwonego wina i rozmyślał o tym, co tego popołudnia powiedział Madeline.

Nie żartował, kiedy podkreślał, że nie chciał nigdy więcej być posłańcem, nie jeśli chodzi o sprawdzanie jej potencjalnych partnerów. Niech kto inny się tym zajmuje.

Miał z nimi problem, bo oznaczały konflikt interesów – a to dlatego, że osobiście był zainteresowany Madeline Chase.

Upił łyk wina i zaniósł zapiekanekę na stół kuchenny. Włączył telewizor, by dotrzymał mu towarzystwa i jedząc w samotności, rozmyślał o Madeline.

Potrzebowała czasu, by dojść do siebie, nie tylko po śmierci babki, ale i po nieudanej relacji z Flemingiem. Madeline miała za sobą długą historię ostrożności, jeśli chodzi o związki, a teraz będzie jeszcze czujniejsza. Bez sensu byłoby na nią naciskać.

Zaintrygowało go, kto go zastąpi, żeby przyjrzał się jego przeszłości, o ile uda mu się ją przekonać, by dała mu szansę. Nie martwił się zbyt tym, co ten ktoś znajdzie. Jedną z zalet pracy w tej branży jest możliwość starannego maskowania własnych tajemnic.

Rozdział 5

Tom Lomax umierał. Krew i coś jeszcze sączyło się ze straszliwej rany na głowie, wsiąkało w wytarty dywan. Drobny, umięśniony staruszek leżał na ziemi, u stóp schodów, które dawniej stanowiły główną ozdobę holu hotelu Aurora Point.

Niebieskie oczy zasnuły się mgłą. Stracił dużo krwi. Spojrzał na Madeline.

– Maddie? To ty?

– Tak, Tom. Spadłeś ze schodów. Nie ruszaj się.

– Zawiodłem was, Maddie. Przykro mi. Edith liczyła, że cię ochronię, a ja was zawiodłem.

– Nic nie szkodzi, Tom. – Przycisnęła zwiniętą chustkę do rany na głowie. – Dzwonię po pogotowie.

Zaraz przyjadą.

– Za późno. – Tom z trudem wyciągnął do niej rękę. Dłoń przypominała ptasie szpony. Lata pracy fizycznej naznaczyły ją bliznami i zgrubieniami. – Za późno.

Dyspozytorka dopytywała o szczegóły.

– Jakiej natury zdarzenie miało miejsce?

– Jestem w hotelu Aurora Point. – Madeline odruchowo przyjęła władczy, profesjonalny ton. – Chodzi o Toma Lomaxa, dozorcę. Spadł ze schodów. Musi natychmiast trafić do szpitala.

– Już wysyłam karetkę – powiedziała dyspozytorka. – Czy rana krwawi?

– Tak.

– Proszę spróbować zatamować krwawienie opatrunkiem uciskowym.

Madeline spojrzała na chustkę, którą usiłowała zatamować krwawienie z rany.

– A myśli pani, że co robię? – syknęła. – Przyjeżdżajcie, i to szybko.

Cisnęła telefon na ziemię, żeby mocniej docisnąć chustkę do rany Toma. Czuła jednak, jak z Toma ucieka życie. Chyba już jej nie widział.

– Aktówka – wyszeptał.

Przeszył ją kolejny dreszcz.

– Tom? O co chodzi z aktówką?

– Zawiodłem. – Zamknął oczy. – Wschód słońca. Zawsze ci się podobały moje wschody słońca.

– Tom? O co chodzi z aktówką?

Ale Tom już nie był w stanie nic powiedzieć. Jeszcze jeden urywany oddech, a potem znieruchomiał. Otaczał go ostateczny spokój śmierci.

Madeline nagle zorientowała się, że z rany już nie płynie krew. Zakrwawionymi palcami dotknęła jego szyi. Nie wyczuła pulsu.

Foyer hotelu, o którym zapomniał czas, wypełniła straszliwa cisza. Zdawała sobie sprawę, że Tom odszedł, ale czytała kiedyś, że ten, kto wzywa pomoc, ma obowiązek robić masaż serca, póki nie zjawią się ratownicy medyczni. Położyła dłonie na jego klatce piersiowej.

Gdzieś w oddali zatrzeszczała deska. Madeline znieruchomiała, wbiła wzrok we fragment barierki z

półpiętra, leżący na wytartym dywanie koło ciała. Dopiero teraz zobaczyła na nim krew i włosy.

Ich obecność można by zapewne wyjaśnić na wiele sposobów, w tej chwili jednak przychodziło jej do głowy jedno – tym narzędziem zamordowano Toma.

I znowu trzeszcząca deska. Tak jak krew i włosy na fragmencie poręczy można by ten dźwięk tłumaczyć różnie. Na przykład tak, że Tom naprawdę padł ofiarą morderstwa, a jego zabójca nadal jest na miejscu zbrodni.

Wyteżyła słuch w nadziei, że usłyszy wycie syren, ale wiatr przybrał na sile, tłumiąc inne odgłosy.

Nad jej głową zatrzeszczały deski. Tym razem była niemal pewna, że to odgłos kroków. Instynkt wrzeszczał.

Na wszelki wypadek wyłączyła telefon, żeby nie zdradził jej położenia, gdyby dyspozytorka chciała oddzwonić. Zerwała się na równe nogi.

Piętro wyżej jęknęły przerdzewiałe zawiasy. Ktoś otworzył drzwi prowadzące na balkon na piętrze.

Po raz ostatni spojrzała na Toma. W głębi serca wiedziała, że już nic nie może dla niego zrobić.

– Przykro mi, Tom – szepnęła.

Jej samochód stał na zewnątrz, na szerokim, okrągłym podjeździe. Zarzuciła sobie ciężką torbę na ramię i biegiem puściła się do drzwi, pokonując hotelowe foyer.

W obszernym pomieszczeniu dawało się wyczuć upływ czasu i smutek. Zakurzone kandelabry zwisały z sufitu jak mroczne zamrożone wodospady. Prąd odłączono przed osiemnastu laty. Zamykając hotel, babka zostawiła w nim całe umeblowanie.

Twierdziła wtedy, że ciężkie, bogato zdobione krzesła i stoliki, kanapy na lwich łapach i aksamitne zasłony, zaprojektowane specjalnie z myślą o wiktoriańskim wnętrzu, nie nadają się do innego lokalu, Madeline wiedziała jednak, że nie dlatego nie zabrały żadnych mebli. Tak naprawdę nie chciały niczego, co przypominałoby im o hotelu Aurora Point.

W czasach rozkwitu, na początku dwudziestego wieku, hotel olśniewał przepychem, przyciągał bogatych podróżnych i wczasowiczów. Jej babka usiłowała przywrócić tamtą atmosferę, koniec końców jednak okazało się to zbyt kosztowne. Po pewnej burzliwej nocy przed osiemnastu laty nie mogła sprzedać nieruchomości; od tamtej chwili pozbycie się Aurora Point w ogóle nie wchodziło w grę. Na terenie hotelu pogrzebano zbyt wiele tajemnic.

Madeline była już w połowie drogi do drzwi, gdy dostrzegła ruch za butwiejącą aksamitną kotarą, zasłaniającą jedno z wnekowych okien. Niewykluczone, że to tylko gra światła przed nadchodzącą burzą, ona jednak nie chciała ryzykować. Cień za bardzo przypominał skuloną postać skradającą się w stronę drzwi wejściowych. Być może to cień mordercy. Drań zbiegł schodami na tyłach budynku i teraz skradał się do drzwi wejściowych, żeby odciąć jej drogę.

Lada chwila wejdzie do środka. Musiała przyjąć najgorszy scenariusz – że morderca Toma teraz poluje na nią.

Wyjęła klucze z torebki i cisnęła ją na ziemię. Teraz wyraźnie słyszała kroki na werandzie.

Minęła szerokie schody, skręciła w wąski korytarzyk dla służby. Spędziła w tym hotelu całe dzieciństwo, znała tu każdy zakamarek. Odkąd powstał, przeszedł wiele remontów i przebudowań. Obszerne pomieszczenia użytku ogólnego kontrastowały z labiryntem pomieszczeń służbowych na zapleczu. Była tam spora kuchnia, spiżarnia, magazynek i pralnia.

A także schody, którymi personel dostawał się na piętro.

W wyobraźni widziała plan hotelu i otaczającego go terenu. Nie miała szans dopaść do samochodu, nie zwracając uwagi intruza na werandzie.

Wychodząc z ciemnego korytarzyka do spiżarni, usłyszała, jak uchylają się drzwi frontowe. A potem cisza, która potęgowała jej zdenerwowanie. Większość ludzi zareagowałaby jakoś na widok zwłok. W

najgorszym wypadku wzywaliby pogotowie.

To więc tyle, jeśli chodzi o cień nadziei, że intruzem jest niewinny przechodzień albo dzieciak, który trafił tu przypadkiem i jest równie przerażony jak ona.

I znowu kroki – długie, zdecydowane. Ktoś przeszukuje parter – szuka jej. To tylko kwestia czasu, zanim ją znajdzie. A jeśli intruz jest uzbrojony, nie miała żadnych szans zdążyć do samochodu.

Usiłowała wymyślić rozsądną strategię. Z jednej strony, pomoc jest już w drodze. Musi tylko gdzieś się ukryć do ich przyjazdu.

Podeszła do drzwi spiżarni, zajrzała do kuchni. Stare sprzęty czaiły się w półmroku jak dinozaury. Za nimi kryły się służbowe schody na piętro.

Przebiegła przez kuchnię, nawet nie starając się zachować ciszy. Jej kroki niosły się echem po kafelkach podłogi. Wiedziała, że prześladowca je słyszy.

W holu rozległy się stłumione kroki. Były coraz bliżej.

Madeline otworzyła drzwi, wpadła na schody, wbiegła na piętro z nadzieją, że żaden schodek nie załamie się pod jej ciężarem.

Dopadła piętra, skręciła, ruszyła korytarzem. Większość drzwi pozamykano. Dobiegła do pokoju na końcu korytarza, wpadła do środka, odwróciła się błyskawicznie, zamknęła drzwi za sobą, zasunęła wiekową zasuwę. Odrobina determinacji wystarczyłaby, żeby wyważyć drzwi kilkoma kopniakami, ale to jednak trochę potrwa.

Słyszała kroki intruza na schodach. Ale napastnik musi sprawdzić wszystkie pokoje, zanim dotrze do tego.

Z rozszalałym sercem, oddychając z trudem, opuściła wzrok i ze zdumieniem stwierdziła, że nadal ściska telefon w dłoni. Wpatrywała się w niego tępym wzrokiem. Włączyła go ostrożnie i po raz kolejny wybrała numer alarmowy. Położyła aparat na zakurzonej toalecie.

– Proszę się znowu nie rozłączać – skarciła ją dyspozytorka. – Policja i karetka zaraz u pani będą. Wszystko w porządku?

– Nie – odparła.

Podeszła do pierwszego z brzegu mebla, masywnego fotela, i zaczęła pchać go w stronę drzwi.

– Czy jest pani w niebezpieczeństwie? – dopytywała dyspozytorka.

– Tak. Jestem na piętrze, w jednym z pokoi. Ktoś kręci się po hotelu. Zaraz tu do mnie dojdzie. Zamknęłam drzwi, ale nie wiem, na jak długo to go powstrzyma.

– Proszę je czymś zastawić.

– Superpomysł – sapnęła. Pchnęła ciężki fotel. – Ciekawe, czemu sama na to nie wpadłam?

Potężny fotel ważył chyba z tonę, ale w końcu drgnął. Udało jej się ustawić go przy drzwiach.

Usłyszała kroki na korytarzu. Porwała telefon i podbiegła do drzwi balkonowych.

Ledwie wyszła na ogromny balkon, rozpętała się burza. Poczowała smagnięcie wiatru, ale w dodali słyszała zawodzenie syren.

Napastnik także je usłyszał, bo kroki oddalały się korytarzem. Uciekał tylnymi schodami. Domyślała się, że chce się schronić w lasach graniczących z hotelem. Przypomniała sobie starą drogę wijącą się wśród drzew.

Chwilę później ożył silnik. Intruz odjechał.

Powtarzała sobie, że z Cooper Island nie ma wielu dróg ucieczki. Dwa razy dziennie do brzegu wyspy dobijał prywatny prom, do tego dochodzą łodzie i wodoloty. Policjanci mają szansę ująć złoczyńcę.

Albo i nie. Cooper Island to dziki teren, znaczną część wyspy porasta las. Morderca mógł się tu spokojnie ukrywać, aż uzna, że może bezpiecznie wrócić na stały ląd.

Wybiegła na spotkanie służbom bezpieczeństwa. W myślach układała już sobie, co może, a czego nie,

zdradzić policji.

Od osiemnastu lat ukrywała tajemnicę. I dobrze jej to wychodziło.

Rozdział 6

Następnego ranka stała przy oknie w pensjonacie Cove View i obserwowała, jak deszcz zalewa miejscinę Cooper Cove, gdy Jack zapukał do drzwi. Dwa szybkie, władcze uderzenia. To na pewno on, stwierdziła. Jego szorstki, rzeczowy styl dawało się wyczuć w nawet najdrobniejszych gestach. Żadnych zbędnych ruchów. Jakby w którymś momencie jego życia pustynny wiatr porwał wszelkie pozory ogłady, którą być może kiedyś posiadał, zostawiając jedynie twardą skałę.

Szybkim krokiem przemierzyła pokój i otworzyła drzwi. Zaskoczyła ją ulga, której doznała na widok Jacka. Ciemne włosy pociemniały jeszcze od deszczu. Ze sfatygowanej skórzanej kurtki spływała woda. W dłoni ścisnął wiekową czarną torbę podróżną.

– Co jest? – rzucił.

Oto cały Jack, pomyślała. Czym jak czym, ale mistrzem towarzyskiej ogłady nie jest na pewno. Nie zawracał sobie głowy towarzyskimi grzecznosciami. I może to i dobrze, bo nie wierzyła, by radosne banały i oczywistości, wypełniające rozmowy, brzmiały naturalnie w jego ustach. Wątpiła, czy słowa „miłego dnia” kiedykolwiek w ogóle przeszły mu przez gardło. Zresztą nawet gdyby potrafił je wykrztusić, chłód w piwnych oczach przekreśliłby ich znaczenie. Jego zdaniem, jeśli masz kiepski dzień, to twoja sprawa, nie jego.

Z drugiej strony, i to musiała zaliczyć na jego korzyść, nie narzekał. Zadzwoiła do niego późnym wieczorem, po długich przemyśleniach. Zdawała sobie sprawę, że wyleciał z Phoenix o świcie i że od rana jest w drodze – samolotem, samochodem, promem. Niełatwo jest się dostać na Cooper Island. Ale zadzwoniła i oto się stawił. Taki właśnie jest Jack.

Upomniała się, że właściwie nie oddaje jej żadnej przysługi, przyjeżdżając na wyspę. W końcu u niej pracuje, prawda? Przyjechał, bo dzięki temu zarobi i on, i jego raczkująca firma.

Chociaż go oczekiwała – szczerze mówiąc, od kilku godzin niespokojnie spacerowała po pokoju – jego widok nie tylko ją uspokoił, ale i dziwnie poruszył. Zawsze tak się przy nim czuła. Dziwnie działał na jej zmysły, stwierdziła.

A jednocześnie czuła, że w pewnym sensie doskonale go rozumie. Otaczały go cienie, wśród których tabliczka „Wstęp wzbroniony” biła oślepiającym blaskiem, ale na ten temat wiedziała wszystko. W końcu miała i swoje cienie, i swoje zakazy.

Ludzie pokroju Williama Fleminga odbierali jej dystans jako oznakę lęku przed bliskością. W dawnych czasach większym szacunkiem darzono cudze tajemnice, pomyślała; ba, z góry zakładano, że każdy je ma i jeśli chce, może zachować dla siebie. Ale dzisiaj, gdy większość impulsywnie pisze w mediach społecznościowych o wszystkich myślach i uczuciach, każda tajemnica wydaje się symptomem choroby psychicznej.

Kiedy jednak samemu ma się sekrety, łatwiej rozumieć, czemu i inni nie zdradzają wszystkiego.

– Wejść – odezwała się.

Pokonał próg, omiótł apartament szybkim badawczym spojrzeniem, jakby odruchowo szacował

zagrożenie. Nagle przypomniało jej się małżeńskie łóżko w sypialni.

– Zarezerwowałam ci sąsiedni pokój – powiedziała. – Jeśli wolisz się najpierw...

– Później. – Rzucił czarną torbę na podłogę. – W tej chwili przydałaby mi się filiżanka kawy.

– Daj mi kurtkę i zajmij się kawą. – Wskazała ekspres w kącie pokoju.

– Dzięki.

Zdjął kurtkę, podał jej i od razu ruszył do ekspresu.

Kolejna rzecz, pomyślała, idąc do łazienki z mokrą kurtką. Kiedy Jack dziękował, mówił szczerze.

Podszywka skórzanej kurtki była jeszcze ciepła. Poczła cień jego zapachu, wieszając ją na haczyku.

Stała przez chwilę, obserwując, jak krople deszczu spływają na białe kafelki, i usiłowała zebrać myśli. Jack nie da się spławić półprawdami. Będzie musiała rozmawiać z nim szczerze, a to oznaczało, że pozna sekrety, które skrywała od osiemnastu lat. Jednak nie miała wyjścia.

Głęboko zaczerpnęła tchu i weszła do pokoju.

– Dziękuję, że przyjechałeś tak szybko. Nie przychodził mi do głowy nikt inny, do kogo mogłabym zadzwonić.

– Nie musisz mi dziękować. – Włączył ekspres i spojrzał na nią. – To moja praca. Dlatego mi płacisz.

Odchrząknęła.

– Tak.

– Z tego, co powiedziałaś przez telefon, wiem, że przyjechałaś tu, żeby się spotkać ze staruszką, który doglądał nieruchomości Aurora Point.

– Tak, z Tomem Lomaxem.

– I zastałaś go ciężko rannego.

– Umierającego. – Skrzyżowała ręce na piersi. – Zadzwoniłam po pogotowie i usiłowałam zatamować krwawienie, ale nie miałam szans.

– Był ranny w głowę, tak?

– Ktoś uderzył go w tył głowy kawałkiem poręczy. Znalazłam go u stóp schodów. Było... bardzo dużo krwi. Zdaniem policji Tom nakrył złodzieja na gorącym uczynku. Ktoś włamał się do budynku i szukał w starym hotelu wartościowych przedmiotów.

– Zakładam, że chodzi o coś więcej, bo inaczej nie ściągałabyś mnie tutaj.

Cały Jack, pomyślała znowu. Udaje, że dla ciebie pracuje, ale tak naprawdę to on wszystkim rządzi. Może nie jest czuły i troskliwy, ale widać, że to facet, który poradzi sobie w każdej sytuacji kryzysowej. A ona właśnie była w sytuacji kryzysowej.

Przysiadła na jednym z dwóch krzeseł przy oknie i wbiła wzrok w obsydianowe wody zatoki. Od kilku godzin kombinowała, jak to wszystko wytłumaczyć, ale teraz, gdy Jack tu był, nie wiedziała, od czego zacząć. Niełatwo zdradzić sekret, o którym się nie wspominało przez osiemnaście lat.

– Czegoś ci nie powiedziałam przez telefon – zaczęła. – Tom zdążył mi coś powiedzieć, zanim umarł. Wyszeptał, że mu przykro, że nas zawiódł. Mówił coś o aktówce i zaznaczył, że zawsze podobały mi się jego wschody słońca. Zakładam, że miał na myśli swoje fotografie. Tom jest... był fotografem amatorem. Pod sam koniec chyba bredził. I wtedy usłyszałam kroki nad głową.

Jack znieruchomiał jak snajper przed strzałem.

– Słucham?

No dobra, nie szło to najlepiej. Odetchnęła głęboko i szybko wyrzuciła z siebie całą resztę.

– Słyszałam, jak ktoś schodzi na parter schodami w tylnej części holu. W pierwszej chwili myślałam, że intruz chce uciec, ale... – urwała, zaczerpnęła tchu. – Usłyszałam kroki na werandzie. Obawiałam się, że ktokolwiek tam był, zechce odciąć mi drogę, gdy pobiegnę do samochodu. Uciekłam więc na górę, zamknęłam się w jednym z pokoi i tam czekałam na policję. Intruz pobiegł za mną, ale zrezygnował i

uciekł. Chyba przestraszył się syren policyjnych.

Jack obserwował ją bez mrugnięcia okiem.

– On?

– Albo ona, nie wiem. W każdym razie napastnik wyszedł tylnym wyjściem i odjechał. Policjanci przeszukali teren, ale nikogo nie znaleźli. Zapewniono mnie, że będą mieli oko na pasażerów promów, ale jest wiele sposobów, by odpłynąć z wyspy, nie zwracając na siebie uwagi.

Zapadła krótka, znacząca cisza. Jack nie odrywał od niej wzroku.

– Wczoraj nie wspomniałaś o żadnym intruzie, który tu był, gdy weszłaś do budynku – zauważył niepokojąco neutralnym głosem.

– Bałam się, że niepotrzebnie się zdenerwujesz, a w Arizonie i tak nie mógłbyś nic na to poradzić. A poza tym byłam już bezpieczna w pensjonacie.

Nie podobało jej się, że spycha ją do defensywy. Upomniała się, że to on pracuje u niej, a nie odwrotnie.

– Cholera jasna – mruknął podejrzanie łagodnie. – Wiedziałem, że błędem było puszczać cię tu samą.

Na chwilę zastygła w bezruchu. Nigdy dotąd nie słyszała, by przeklinał. I pewnie nie był to dobry znak.

– Posłuchaj – zaczęła. – Może to rzeczywiście nie był najlepszy pomysł. Mam pewien problem i potrzebuję twojej rady. Jeśli nie czujesz się na siłach sprostać temu zadaniu, poszukam kogoś innego.

– Nie – uciał. – Nikogo nie poszukasz. Mamy umowę. Powiedziałaś policji o intruzie?

– Oczywiście. Ale nie byłam w stanie podać rysopisu. Jak mówiłam, ich zdaniem biedny Tom zaskoczył włamywacza. I może naprawdę tak było, choć mam pewne wątpliwości.

– Związane z tym, co powiedział, zanim umarł?

– Niewykluczone, że wszystko mu się poplątało, przeszłość zlała się z teraźniejszością. Ale wiedział, kim jestem. Niepokoi mnie to, co mówił o aktówce. I że nas zawiódł.

Wydawało się jej, że Jack szykuje się na, jak się domyślał, niełatwą rozmowę.

– No dobrze – mruknął w końcu. – Zacznijmy od tej aktówki.

Głęboko zaczerpnęła tchu i powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Daj mi moment. Od osiemnastu lat nikomu nie mówiłam o tej aktówce. To rodzinna tajemnica.

– Słucham.

Zmuszała się, by się skoncentrować.

– Ta aktówka należała do mężczyzny, który osiemnaście lat temu zameldował się w hotelu Aurora Point. Pod nazwiskiem Porter, choć pewnie nie było prawdziwe.

– I co z tym Porterem?

Zacisnęła dłonie na oparciu fotela.

– Moja babka i Tom zabili go narzędziami ogrodniczymi. Zakopali ciało w lasku za hotelem. Tom zalał to miejsce betonem i wybudował tam śliczną altankę.

Rozdział 7

Obserwowała Jacka uważnie, ale z tego, co widziała, przyjął informacje o śmierci Portera tak samo, jak wszystko inne – jako kolejny fakt. Nie wydawał się zaszokowany ani nawet zaskoczony, tylko zamyślony.

Przemknęło jej przez myśl, że po tym, co widział jako profiler FBI, śmierć zadana narzędziami ogrodniczymi to zapewne nic takiego. No, ale mowa o jej babce, przeuroczej pani, która nigdy więcej nikogo nie zabiła.

Po dłuższej chwili nalał kawy do dwóch filiżanek i podał jej jedną z nich. Przeszył ją dreszcz, gdy ich palce się zetknęły. Drgnęła, aż mało brakowało, a kawa wylałaby się z filiżanki, ale udało jej się odzyskać panowanie nad sobą. Odstawiła naczynie na stolik.

Jack podszedł do okna. Wpatrywał się w zatokę. Najwyraźniej chwila kontaktu fizycznego między nimi nie zrobiła na nim większego wrażenia. Ciekawe, co mogłoby nim wstrząsnąć.

– Zakładam, że aktówka należała do Portera? – mruknął.

– Tak.

– Opowiedz mi po kolei, co się działo w hotelu tamtego dnia, gdy zginął.

– Aurora Point to pierwszy hotel mojej babki. Kupili go z dziadkiem za grosze. Bardzo chcieli przywrócić go do dawnej świetności, ale dziadek zginął w tym samym wypadku, co moi rodzice. Zamieszkałam z babcią. Hotel wreszcie zaczął przynosić zyski, gdy zjawił się Porter. Tamtego dnia w głównym budynku było huczne wesele. Babcia i wszyscy pracownicy mieli pełne ręce roboty. Wieczorem siedziałam razem z Daphne, oglądałyśmy telewizję i grałyśmy w gry komputerowe w małym domku, w którym ona mieszkała z mamą.

– Daphne?

– Daphne Knight. Wtedy była moją najlepszą przyjaciółką. Jej matka pracowała w hotelu. Tamtego wieczoru, jak wszyscy, miała pełne ręce roboty.

– I co dalej?

– Było już późno. Zasnęłyśmy z Daphne przed telewizorem. Obudziłam się i poszłam do kuchni po szklanek wody. Ktoś tam na mnie czekał. Porwał mnie. Zakrył mi usta dłonią i powiedział, że mnie zabije, jeśli będę się opierać. Ale i tak walczyłam. Na darmo. Był potężny i silny. Nie mogłam oddychać, chyba na chwilę straciłam przytomność. Ale nie na długo, bo pamiętam, jak mnie niósł do komórki. Wtedy dosłownie zeszywniałam ze strachu. Czułam się jak w horrorze. To wszystko wydawało mi się całkowicie nierealne.

Filiżanka zadrżała w jej dłoni. Odstawiła ją ostrożnie. Przez osiemnaście lat starała się nie myśleć o tamtej nocy. Dziwnie się czuła, opowiadając teraz o tym, o czym przez tyle czasu milczała; te lata koszmarów, w których mężczyzna przytłaczał ją ciężarem swojego wielkiego, spoconego ciała. Lata gwałtownego przebudzenia bez tchu. Lata obawy przed bliskością, obawy, która nieuchronnie kładła kres wszystkim jej związkom.

Umilkła na chwilę i usiłowała zebrać myśli. Jack jej nie ponaglał. Stał przy oknie, sączył kawę i patrzył, jak wieczorne cienie ścielą się na Cooper Island, jakby mieli cały czas tego świata.

To, że jej nie ponaglał, było dla niej sygnałem, że rozumie choć część tego, przez co przeszła, a dzięki temu było jej łatwiej mówić dalej.

– Jak się okazało, Daphne obudziła się, gdy Porter miał wynieść mnie na zewnątrz. Nie miała pojęcia, co robić. Była przerażona, ale też bardzo dzielna. Pobiegła za nami, widziała, jak Porter niesie mnie do komórki. Usiłowała zadzwonić do babci, ale na weselu panował taki hałas, że babcia nic nie słyszała. Daphne pobiegła do domku Toma, waliła pięściami w drzwi. Tymczasem babcia zobaczyła nieodebrane połączenie i oddzwoniła. Zrozumiała tylko: komórka, ale to wystarczyło, bo chyba wychwyciła też panikę w jej głosie.

Znowu urwała. Jack nadal czekał.

– Babcia poszła do ogrodu, żeby zobaczyć, co się dzieje – podjęła Madeline. – Spotkała Toma i Daphne. Daphne wskazała komórkę. A potem pamiętam tylko, jak babcia i Tom wpadli do środka jak anioły zemsty. Złapali pierwszy lepszy sprzęt i rzucili się na Portera. Położył mnie na worku ściółki, przygwoździł swoim ciężarem, usiłował ściągnąć mi dzinsy. Babcia i Tom chyba wpadli w szal. Połała się... krew.

– Zabili go.

– Tak.

– Dobrze. – Jack skinął głową. – Czy on... zrobił ci coś?

– Nie zdążył mnie zgwałcić, jeśli o to ci chodzi.

– Ale przeżyłaś koszmar.

Wzdrygnęła się.

– To chyba był koszmar dla całej naszej czwórki. Daphne też była świadkiem wszystkiego, co się działo.

Jak odwrócił głowę w jej stronę.

– A aktówka Portera? Pochowali ją razem z nim?

– Nie. Wtedy akurat odbywał się remont hotelu. Babcia i Tom замуrowali ją w ścianie pokoju dwieście dziewięć.

– Dlaczego nie wezwali policji?

– Ze względu na zawartość aktówki – odparła. – A zanim zapytasz, nie, nie wiem, co tam było, wiem tylko, że babcia i Tom zajrzeli do środka i zdecydowali nie wzywać policji. Wtedy we trójkę: babcia, Tom i matka Daphne, postanowili pochować zwłoki w lasku i ukryć wszystkie dowody.

– Wszystko miało zniknąć, ale nie aktówka i jej zawartość?

Zawahała się.

– Nie wiem, ile w tym prawdy, ale słyszałam, jak babka mówiła do Toma i mamy Daphne, że zawartość aktówki to ich polisa ubezpieczeniowa, choć przy odrobinie szczęścia nigdy nie będą musieli jej użyć.

Jack zmrużył oczy.

– Dokładnie tak powiedziała? Polisa ubezpieczeniowa?

– Tak. Twierdziła, że to, co było w aktówce, jest bardzo niebezpieczne, bo mogłoby ściągnąć kłopoty na ważne osobistości, a gdyby do tego doszło, wszyscy bylibyśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Obiecaliśmy sobie, że nigdy nikomu nie powiemy ani o Porterze, ani o jego aktówce.

– Czyli w sumie ile osób wiedziało o Porterze i aktówce?

– Tylko nasza piątka: babcia i ja, Tom Lomax, Daphne i jej matka, Clara Knight.

Jack pokręcił głową.

– Czyli o cztery osoby za dużo, żeby zachować sprawę w tajemnicy.

Ogarnął ją gniew.

– Cóż, przez te wszystkie lata jakoś się nam udawało.

– O ile ci wiadomo.

– Wszyscy mieliśmy dobry powód, żeby trzymać język za zębami.

– Po kolei. Ile osób z tych, które znały tę tajemnicę, jeszcze żyje?

Przeszył ją dreszcz.

– Babcia i Tom odeszli. Z Daphne i jej matką straciłam kontakt osiemnaście lat temu. – Łzy paliły ją pod powiekami. – Nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Daphne była wtedy moją najlepszą przyjaciółką. Uratowała mnie, a ja nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Jak to możliwe?

Łzy popłynęły jej po policzkach. Zerwała się na równe nogi, chciała pobiec do łazienki po chusteczki, ale Jack podał jej serwetkę ze stolika z ekspresem. Opadła z powrotem na fotel i otarła oczy.

Jack obserwował, jak bierze się w garść. Dawał jej chwilę, żeby się uspokoiła, wiedziała jednak, że cokolwiek chciał powiedzieć, nie będzie się starał złagodzić ciosu. Pewnie nawet nie wiedział, jak się to robi.

Po raz ostatni pociągnęła nosem i cisnęła serwetkę do kosza na śmieci.

– Przepraszam, mam za sobą długi dzień – mruknęła. – Co dalej?

– Powiem ci, na czym stoimy – mruknął. – Twoja babka i Tom zginęli w ciągu trzech miesięcy. Nieznany nam osobnik, prawdopodobnie morderca Toma, zapewne dybał także na twoje życie. Chwilowo nie mamy pojęcia, gdzie znajdują się dwie kolejne osoby, które brały udział w tamtych wydarzeniach: Daphne i jej matka.

Zakręciło jej się w głowie od tych słów.

– Według ustaleń śmierć babki to nieszczęśliwy wypadek. Nawet towarzystwo ubezpieczeniowe niczego nie kwestionowało, a wiesz, jak niechętnie wypłacają odszkodowania.

– Pożar w starym hotelu wskutek zwarcia instalacji. Jedna ofiara, twoja babka. Nietrudno zaaranżować taki wypadek, jeśli człowiek wie, co robi. A jeśli nie wie, zawsze może zatrudnić fachowca.

– To nawet nie był jeden z jej hoteli – szepnęła. – Odwiedzała starą znajomą z branży. Znały się od lat.

– Wiem. Moi ludzie badają okoliczności jej śmierci, odkąd w zeszły tygodniu dostałem raport towarzystwa ubezpieczeniowego.

– Co? – Zerwała się na równe nogi. – Podejrzywałeś, że babcia została zamordowana, ale o niczym mi nie wspomniałeś?

– Początkowo nie miałem żadnych podstaw, by to podejrzewać. – Wykrzywił usta. – Jak sama powiedziałaś, firma ubezpieczeniowa uznała to za wypadek. Poza tym powstrzymywało mnie coś jeszcze. Jediną osobą, która miała motyw, byłaś ty.

– Jezu! – Ponownie opadła na fotel, oszołomiona. – No tak, bo to ja odziedziczyłam sieć hoteli.

– Nie wyglądałaś mi na osobę, która morduje własną babkę, żeby przejąć firmę, którą i tak stopniowo ci przekazywała.

– Dzięki za zaufanie.

– Są też inne powody, dla których nie mówiłem ci, że badam okoliczności jej śmierci. Byłaś załamana. Musiałaś uporać się z rozpaczą po utracie bliskiej osoby, ale nie miałaś czasu na żałobę, musiałaś stać się twarzą sieci Sanctuary Creek Inns. Pracownicy oczekiwali od ciebie wsparcia i pociechy. Musiałaś uspokoić dostawców i podwykonawców. A do tego zaczęłaś mieć wątpliwości wobec Wiliama Fleminga.

– Świetnie, byłam zajęta, załamana i podejrzliwa wobec faceta, z którym się spotykałam. Co nie tłumaczy, dlaczego nie zwróciłeś się do mnie, gdy zaczęłaś coś podejrzewać w związku ze śmiercią

mojej babci.

– Kierowałem się zdrowym rozsądkiem.

– Bzdura, nie kierowałeś się rozsądkiem, tylko chciałeś oszczędzić mi złych wieści. Tego nie ma w zakresie twoich obowiązków.

– Nie miałem żadnych konkretnych dowodów na to, że śmierć Edith nie była nieszczęśliwym wypadkiem. I nadal nie mam, skoro już o tym mowa.

Bzdur ciąg dalszy.

– Nie tak dawno uświadomiłeś mi, że nie odpowiada ci rola posłańca, który przynosi złe wieści. Musisz jednak zrozumieć, że ja ci za te wieści płacę, zarówno za dobre, jak i za złe. Nie płacę ci za to, żebyś mnie chronił przed przykrymi informacjami. Jeśli jeszcze raz zawalisz, zatrudnię inną firmę, nawet jeśli nie uda mi się wypłatać z naszej umowy. W najgorszym wypadku będę płaciła podwójnie, jeśli tylko tym sposobem mam dostać to, czego chcę. Jasne?

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Wydawało jej się, że całkiem poważnie bierze pod uwagę zerwanie umowy. Tego akurat nie chciała, ale pewne rzeczy muszą być jasne.

W końcu podjął decyzję.

– Dobrze. W przyszłości będę ci mówił o wszystkim, co ustalę na temat śmierci twojej babki. Ale uprzedzam cię z góry, że wiele informacji pojawiających się na początku śledztwa prowadzi donikąd. I często zbija z tropu.

Udało jej się znowu odetchnąć.

– Rozumiem.

Uśmiechnął się lekko.

– Jesteś nieodrodną wnuczką Edith, to pewne. Sanctuary Creek Inns jest w dobrych rękach.

– Dziękuję. A teraz przestań mnie uspokajać. Tak dla twojej wiadomości: nie najlepiej ci idzie głaskanie nastroszonych piórek.

– Nie ty pierwsza mi to mówisz.

– No więc powiedz mi o wszystkim, co wiesz na temat śmierci mojej babki.

– Do tej pory nie miałem nic – tłumaczył cierpliwie. – I dlatego nie chciałem z tobą o tym rozmawiać.

Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Ale teraz coś mam – dodał.

– Śmierć Toma Lomaxa?

– Tak. – Dopił kawę i odstawił kubek. – Dostrzegamy pierwsze linie czegoś, co może się okazać bardzo przerażającym wzorem.

– Bo nie wierzysz w zbiegi okoliczności.

– No właśnie. – Uniósł brew. – A ty wierzysz?

– Oczywiście.

– Nieszczęśliwy wypadek jednej z czterech osób znających daną tajemnicę to zbieg okoliczności.

Śmierć kolejnej z tego grona to już wzorzec.

Przemyślała to.

– Ale dlaczego akurat teraz?

– Uprzedzałem cię, że na początku dochodzenia wszystko spowija mgła, także pierwsze ustalone fakty.

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Co robimy?

– Będziemy działać na kilku frontach jednocześnie. Po pierwsze, odnajdziemy Daphne i jej matkę – zdecydował.

– Żeby je ostrzec?

– Tak. – Zawahał się, nagle czujny. – Ale też z innego powodu.

– Myślisz, że jedna z nich miała coś wspólnego ze śmiercią babci i Toma. – Madeline pokręciła głową. – Nie. Fakt, nie rozmawiałam z Daphne i jej matką od osiemnastu lat, ale nie uwierzę, że któraś z nich mogłaby zabić babcię czy Toma. Abstrahując od strony emocjonalnej, ta teoria nie trzyma się kupy.

– Wspominałaś, że Edith mówiła, że aktówka Portera to wasza polisa ubezpieczeniowa. Może ktoś postanowił ją zrealizować.

– Niepokojąca myśl.

– W każdym razie musimy znaleźć Daphne i jej matkę. Ktoś zaraz się tym zajmie.

– Dobrze. – Madeline urwała. – Mówiłeś, że będziemy działać na kilku frontach.

– Wygląda na to, że spędzimy trochę czasu na Cooper Island. Musimy wymyślić pretekst, tłumaczący twoją obecność.

– Śledztwo zacznie się tutaj?

– Tak – odparł. – I zapewne tutaj się skończy.

– Skąd ta pewność?

– Jeśli jest tak, jak myślę, sprawa sięga daleko w przeszłość. A przeszłość wydarzyła się właśnie tu. I tutaj spoczywa.

– Pod altanką.

– Pod altanką, a także w ścianie pokoju dwieście dziewięć hotelu Aurora Point.

Rozdział 8

Daphne Knight stała w drzwiach gabinetu w swoim nowiutkim mieszkaniu i usiłowała ogarnąć wzrokiem chaos, który zostawił po sobie włamywacz. Drań zbezczęścił jej mieszkanie – jej azyl. Zdawała sobie sprawę, że powinna odczuć silne emocje – ściekłość, gniew, cokolwiek.

A ona była dziwnie odrętwiała, jak przez cały zeszły rok. Rejs po Morzu Śródziemnym tylko w niewielkim stopniu poprawił jej humor. Kiedy niedawno weszła do domu i zobaczyła, że padła ofiarą włamania, nie sprawiło to, że ogarnęło ją oburzenie i szok. Była zbyt zmęczona.

Zadzwonił telefon. Odwróciła się plecami do zdemolowanego gabinetu i spojrzała na wyświetlacz. Przez chwilę wpatrywała się w nazwisko, usiłując je umiejscowić. Madeline Chase.

Niemożliwe.

Odebrała telefon. Z całej siły przyciskała aparat do ucha.

– Maddie? – zapytała. – To naprawdę ty?

– Tak, to ja – rzuciła Madeline. – Daphne, tak się cieszę, że cię słyszę. Osiemnaście lat to kawał czasu.

Osiemnaście lat, pomyślała Daphne, ale scena w szopie stała jej przed oczami równie wyraźnie, jakby to było wczoraj. Wiedziała, że czasami pamięć płata figle, bawi się czasem i odległością. Niewykłuczone, że jakieś sceny zatarła, a inne dodała, żeby uporać się z traumą tamtych wydarzeń.

Jednak pewnych rzeczy nigdy nie zapomni, tak głęboko wryły się w jej pamięć. Nawet teraz, po tylu latach, nękały ją w snach. Widok Maddie, przyciśniętej ciałem mężczyzny o nazwisku Porter. Edith Chase, raz za razem wbijająca wielki ogrodniczy sekator w jego plecy. Tom Lomax, rozwalający mu głowę motyką. Krew tryskająca strumieniami.

Tyle krwi, że bała się, że już za późno, że Maddie nie żyje.

– Daphne, jesteś tam jeszcze? – W i tak napiętym głosie Madeline wyczuła coraz większy stres. – Bardzo się o ciebie martwię. Wszystko w porządku?

– Tak, tak, wszystko dobrze. Jestem w szoku, słysząc twój głos, i tyle. Chyba trafiłaś na kiepski moment.

– Bardzo mi przykro. Chciałabym zaproponować, że zadzwonię później, ale to jest naprawdę pilna sprawa. Musimy porozmawiać.

– W porządku. Jestem po prostu trochę wstrząśnięta. Włamano się do mojego mieszkania, kiedy byłam na rejsie. Policjanci wyszli przed chwilą.

– O Jezu. Na pewno nic ci nie grozi?

Daphne odsunęła telefon od ucha, spojrzała na niego ze zdziwieniem, zaskoczona napięciem w głosie Madeline. Chyba trochę przesadzała. W końcu włamania to dość częsta sprawa. A poza tym, nie przyjaźniły się od lat. Osiemnaście lat to kawał czasu.

Ponownie uniosła telefon do ucha.

– Tak, oczywiście – zapewniła. – Policjanci spisali protokół, prosili o listę zabranych przedmiotów. Byli bardzo uprzejmi i profesjonalni, ale nie ukrywali, że szanse na zatrzymanie włamywacza są nikłe.

– Co zabrał?

– Z tego, co widzę, tylko mój komputer. Typowe przy takich włamaniach, według policjantów. Na szczęście wszystkie ważne dokumenty mam w chmurze. Teraz muszę tylko posprzątać ten bałagan.

Patrzyła na papiery poniewierające się po gabinecie. Szkice dla właściciela butiku w Boulder leżały na podłodze, wyciągnięte z szuflady. Kolekcja książek pisanych i ilustrowanych przez znanych architektów, wyciągnięta z biblioteczki, leżała na ziemi. Ze ścian zerwano oprawione fotografie projektowanych przez nią wnętrz z Denver i okolicy, zbito w nich szyby, ciśnięto na ziemię. Gdzieś odłamki szkła lśniły w popołudniowym słońcu.

– Daphne, sprawa jest naprawdę poważna.

– Domyśliłam się. Słyszałam, że twoja babcia zginęła w pożarze hotelu. Bardzo mi przykro.

– Wiedziałaś, że nie żyje?

– Mama znalazła nekrolog w Internecie i przesłała mi go. Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, że sprawdza takie rzeczy. Przez kilka lat po wyjeździe z Cooper Island obsesyjnie szukała wszystkiego, co dotyczyło wyspy i twojej babki, ale myślałam, że kiedy ponownie wyszła za mąż, dała sobie z tym spokój.

– Twoja mama wyszła za mąż?

– Tak. I owdowiała. Jej drugi mąż kilka lat temu miał wylew. Mam znowu została sama, ale tym razem odziedziczyła spory majątek. Jak się okazuje, bogata wdowa nigdy nie jest sama, w każdym razie niedługo. Dobrze się bawi.

– Gdzie teraz jest?

– Nie wiem dokładnie, musiałabym sprawdzić plan. Wyruszyła z przyjaciółmi w rejs dookoła świata. Na kilka tygodni do nich dołączyłam, gdy żeglowali po Morzu Śródziemnym, a ona została dłużej. Dopiero za miesiąc wraca na Florydę.

– Ale żyje?

– Jak najbardziej. Maddie, nie zrozum mnie źle, bardzo się cieszę, że cię słyszę po tylu latach, ale co się dzieje? Dlaczego jesteś taka spięta?

– Mam złe wieści. Musimy porozmawiać.

Daphne wstrzymała oddech.

– Chodzi o przeszłość, tak?

– Niestety tak, chodzi o przeszłość. Może się okazać, że to nic takiego. Albo coś strasznego. Musimy ustalić, co się dzieje. I dlatego muszę cię prosić, żebyś przyjechała na Cooper Island.

Daphne zrobiło się zimno.

– Mówisz poważnie?

– Słowo siostry, Daph. Wierz mi.

Słowo siostry. Te słowa były jak promień światła w świecie, który nagle spowił mrok. Siostry się nie okłamują.

– Słucham uważnie – powiedziała.

– Firma zajmująca się szeroko pojętym bezpieczeństwem Sanctuary Creek Inns wysłała już kogoś, kto będzie ci towarzyszył w drodze na wyspę – poinformowała Madeline. – Ich człowiek jest w Phoenix. Dotrze do Denver późnym popołudniem.

Daphne zacisnęła dłoń na aparacie.

– Żeby wszystko było jasne: masz na myśli ochroniarza, tak?

– Niestety tak. Powiem ci, co na razie wiemy: niewykluczone, że babcię zamordowano z powodu tego, co się wydarzyło tamtej nocy. A teraz nie żyje także Tom Lomax.

– Tom? Ten uroczy starszy pan, który pomógł twojej babci...? – Nie była w stanie dokończyć tego

zdania. Osiemnaście lat milczenia to ruchome piaski; nie można tak po prostu z nich wyjść. Trzeba to robić powoli, krok za krokiem.

– Wczoraj go zamordowano. W hotelowym foyer – oznajmiła Madeline. – I to ja go znalazłam.

– Maddie.

– I myślę, że zabójca jeszcze tam był, gdy weszłam do środka.

– Jezu.

– Spokojnie, usłyszał wycie policyjnych syren i uciekł. Ale teraz mówisz, że u ciebie było włamanie i ukradziono twój komputer. Może to nic wielkiego, ale nie możemy ryzykować. Musimy dojść do sedna sprawy. Poczekaaj, Jack Rayner, szef mojej ochrony, chce z tobą porozmawiać.

Mało brakowało, a Daphne uśmiechnęłaby się mimo wszystko. Już jako dwunastolatka Madeline Chase mówiła jak mała kobietka biznesu, i wszystko wskazywało na to, że tak właśnie potoczył się jej los. Nawet jako dziecko od razu przechodziła do sedna sprawy. Zejdź na ziemię, Daph. Wcale nie chcesz zostać aktorką, gdy dorośniesz. Szanse, że zostaniesz wielką gwiazdą, są minimalne. Poza tym jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Przeraza mnie myśl, że miałybyś mieć mnóstwo operacji plastycznych.

Usłyszała inny, męski głos. Bił z niego chłodny spokój człowieka, który umie sobie radzić z niebezpieczeństwem.

– Mówi Jack Rayner. Proszę natychmiast wyjść z mieszkania – instruował ją. – Proszę się nie pakować, nie brać kosztowności, tylko kluczyki, prawo jazdy, torebkę.

– I dokąd mam jechać?

– Na lotnisko, tam jest najwięcej ochrony. Mój człowiek już leci do Denver. Nazywa się Abe Rayner. Wylegitymuje się. Będzie pani towarzyszył w drodze na Cooper Island.

Daphne rozpaczliwie usiłowała to wszystko zapamiętać.

– Rayner?

– Mój brat. Proszę jechać na lotnisko. Tam będzie pani bezpieczna.

Po raz pierwszy od dawna Daphne poczuła przypływ silniejszego uczucia – strachu. Tom Lomax i Edith Chase nie żyją, ktoś włamał się do jej mieszkania. Instynkt samozachowawczy brał górę.

– Dobrze – powiedziała. – Już wychodzę.

– Nie rozłączę się, póki nie wsiądzie pani do samochodu – obiecał Jack.

Daphne odwróciła się plecami do zdemolowanego gabinetu. Zbiegła na parter. Waliza, z którą była na rejsie, nadal stała w przedpokoju. Chwyciła jej rączkę. Jakkolwiek by było, nie sprzeciwia się instrukcjom Jacka, wcale się nie pakuje. Walizka była już gotowa.

Bez względu na wszystko, na zawsze zostaniemy SIOSTRAMI.

Przysięga dwóch przerażonych dziewczynek, związanych wydarzeniami tamtej nocy, przepelnionej krwią i strachem.

Daphne podbiegła do drzwi.

W niektóre rzeczy trzeba uwierzyć. Na przykład w przysięgę złożoną przed laty przez dwie dziewczynki, które jednej nocy widziały więcej przemocy niż inni ludzie przez całe życie.

Poza tym, tak naprawdę w Denver już nic jej nie trzymało.

Rozdział 9

Louisa Webster zatrzymała się w progu salonu i spojrzała na męża. Egan stał przy przeszklonej ścianie, wpatrzony w oszałamiający widok. W oddali majaczyły inne wyspy archipelagu San Juan. Niektóre, jak Cooper Island, były na tyle duże, że powstały na nich małe osady, inne były tak małe, że odsłaniał je dopiero odpływ.

W gasnącym świetle deszczowego dnia ciemna zimna woda przypominała stal. Chmury zawisły nisko nad wyspą. Choć Louise wiedziała, że nad Cooper Island często świeci słońce, wydawało się, że ilekroć przyjeżdżają tu z Eganem, pogoda zawsze jest właśnie taka – uparcie szara i ponura.

W wielkim kominku z kamienia buzował ogień, ale nikt nie zapalił światła w pomieszczeniu.

Przypomniła sobie pierwsze wrażenie, jakie zrobił na niej Egan trzydzieści cztery lata wcześniej. Był oszałamiająco przystojny, wysoki, barczysty, wysportowany, z grzywą jasnych włosów, błyskiem w niebieskich oczach o klasycznych, rzeźbionych rysach. Od tego czasu niewiele się zmieniło. Jak charyzmatyczny telewizyjny kaznodzieja emanował zarazem mądrością dojrzałego wieku i energią męczyzny w sile wieku.

I jak każdy charyzmatyczny kaznodzieja telewizyjny zawsze umiał uwodzić publiczność – w jego wypadku – inwestorów, polityków, przyjaciół, kobiety. Miał dar przekonywania, że dzięki niemu spełnia się ich marzenia. I dzięki temu talentowi zbił majątek.

W przeciwieństwie do telewizyjnego kaznodziei, Egan przynajmniej częściowo dotrzymywał słowa – jeśli chodzi o majątek. Na początku kariery radził sobie nieźle jako makler giełdowy, ale później, kiedy założył własny fundusz hedgingowy, przyszły prawdziwie złote lata. Jakby wszystko, czego się dotknął, dosłownie zmieniało się w złoto. Dar przewidywania zachowań rynku sprawiał, że wszystkie drzwi stały przed nim otworem w świecie polityki, biznesu i elity towarzyskiej.

Ale ta cudowna kariera kryła sekret, który z dnia na dzień stawał się coraz bardziej niebezpieczny. W oczach postronnego obserwatora Egan nadal wydawał się panem świata, ale Louise wiedziała, jak jest naprawdę. Machina do zarabiania pieniędzy, powstała przed laty, powoli przestawała działać. Egan obwiniął o to zmienną gospodarkę światową – nieprzewidywalne skoki cen ropy, finansowe problemy strefy euro, rosnące znaczenie Chin.

Słuchała jego wymówek, choć znała prawdę. Intrygowało ją, kiedy inwestorzy zaczynają się niepokoić. Wśród najważniejszych klientów doszło ostatnio do pewnych przetasowań, ale większość nadal satysfakcjonowały liczby na comiesięcznych sprawozdaniach – jakkolwiek by było, nadal biła od nich aura złota. Ciekawe, jak długo Eganowi uda się mydlić im oczy. Najskuteczniejsze fundusze hedgingowe zawsze zachowują się tak samo – szybki start, oszałamiające rezultaty a potem nagła katastrofa.

Jedno jednak wiedziała o Eganie na pewno – zawsze wychodził zwycięsko z oparów.

Przekroczyła próg wypełnionego półmrokiem pokoju.

– Travis i Patricia przyjdą dziś do nas na kolację.

Egan odwrócił się od szarości za oknem.

– A Xavier?

Z wypracowaną przez lata łatwością słumiła szept rozpaczy, rozlegający się na tle świadomości bezustannie, jak upiór. Xavier czuje się już lepiej. Jest stabilny.

– Niedawno dzwoniła asystentka. Bardzo przeprasza, ale po południu przyjeżdżają współpracownicy z Seattle. Xavier zaprasza cały zespół pracujący przy kampanii na kolację do miejscowej restauracji. Chce, by poczuli, jak to jest mieszkać na wyspie, żeby mogli opisać małomiasteczkowe korzenie Trávisa w mediach społecznościowych.

– Większość czasu Travis i Xavier spędzali w Seattle – zachnął się Egan.

– Tak.

Cisza się przeciągała. Przestała go kochać wiele lat temu, gdy zrozumiała, że jego zdrady nigdy się nie skończą. W końcu pogodziła się z tym, jak miał wyglądać ich związek. Nigdy tak naprawdę jej nie kochał. Pragnął jej urody i pieniędzy jej rodziny. Dała mu jedno i drugie, ale nie popełniła najgorszego błędu i nie oddała mu również serca.

To, co ich łączyło na początku małżeństwa, zniknęło już dawno. Jednak mieli coś innego – dwóch synów. Xavier i Travis odziedziczyli wiele cech ojca – jego urodę, błękitne oczy i dar przekonywania, czarowania otoczenia.

W głębi duszy byli jednak zupełnie inni. Travis zapowiadał się na wybitnego polityka. Szykował się do pierwszego w życiu startu w wyborach. Louisa zdawała sobie sprawę, że tym samym Egana czekało nie lada wyzwanie – musiał pogodzić się z faktem, że nie dostanie czegoś, na czym mu bardzo zależało.

Od bardzo dawna marzyło mu się, że jeden z jego synów zostanie senatorem, a później nawet zdobędzie Biały Dom.

Problem w tym, że Egan zawsze wierzył, iż będzie to Xavier, że to starszy syn sięgnie po polityczną władzę, nie Travis. Wmawiał sobie, że to Xavier jest jego godnym następcą – że jest silny, że ma w sobie bezwzględność niezbędną, by przetrwać w brutalnym świecie finansów i polityki. Z czasem jednak stało się jasne, że skaza Xaviera jest zbyt poważna, więc do Gabinetu Ovalnego zmierzał teraz Travis.

Egan odwrócił się plecami do okna.

– Rozmawiałem z Travisem, czy mianowanie Xaviera szefem kampanii to naprawdę rozsądne posunięcie.

– I co powiedział?

– To samo co tobie.

Żołądek Louisy ścisnął się boleśnie.

– Miej przyjaciół blisko, ale wrogów trzymaj bliżej.

– W jego wypadku powinno to raczej brzmieć: pewnego konkretnego członka rodziny miej zawsze na oku. – Egan prychnął cicho. – I może ma rację. – Travis bywa słaby, ale nie jest naiwny, w każdym razie nie, jeśli chodzi o Xaviera.

– Przecież Xavier od dawna jest stabilny – zauważyła Louisa, choć wiedziała, że przemawia przez nią matka, nie realistka. – Leki, które przepisali mu w zeszłym roku w instytucie, chyba działają, a zaangażowanie w kampanię Trávisa dało mu cel. Travis mówi, że spisuje się doskonale. Umie oczarować dziennikarzy.

Egan splótł ręce na plecach.

– Oboje wiemy, że to tylko kwestia czasu, zanim dojdzie do kolejnego... incydentu. W przeszłości udawało nam się wszystko wyciszyć, ale wtedy mieliśmy komfort prywatności, a teraz to już przeszłość. Jeśli Xavier znowu będzie miał kryzys, może tym samym przekreślić szanse Trávisa na miejsce w Senacie. Nie możemy do tego dopuścić. Stawka jest zbyt wysoka.

– Ale co możemy zrobić?

– Zastanawiałem się nad tym. Mamy małą możliwość ruchu. Jednak Xavier domaga się swojej części spadku. Chce dowieść, że ma smykałkę do finansów. Rozważam, czy nie spełnić jego prośby. Niech założy własny fundusz hedgingowy, z jego nazwiskiem na drzwiach. Może to go zadowoli i zainteresuje, przynajmniej dopóki Travis nie wygra wyborów.

Louisa poczuła przyływ nadziei. Nie miała jej od tak dawna, że było to całkiem nowe doznanie.

– To... świetny pomysł – przyznała, myśląc intensywnie. – I naprawdę może się udać.

Egan zacisnął usta.

– Na jakiś czas.

– Tak. Na jakiś czas.

Xaviera spowijał zbyt gęsty mrok, by mogli uleczyć go na dobre. Oboje zdawali sobie z tego sprawę, podobne jak z tego, że to tylko kwesta czasu, zanim ich złoty chłopiec znowu zacznie igrzać z ogniem – i to dosłownie.

Louisa zbierała się do wyjścia.

– Umówiłam się z organizatorką przyjęcia.

– Słyszałem, że na wyspie jest wnuczka Edith Chase – rzucił Egan przez ramię. – Jak ona się nazywa?

Margaret? Mary?

– Madeline – poprawiła Louisa. – Madeline Chase.

– Jak rozumiem, to ona znalazła ciało staruszka, który pilnował hotelu Aurora Point?

Louisa zatrzymała się w progu.

– Tak. Mówi się, że teraz, po śmierci Edith Madeline sprzeda posesję. Podobno sprowadziła konsultanta, żeby pomógł jej podjąć decyzję.

– Sprzeda, jeśli ma trochę oleju w głowie – skomentował Egan. – Nigdy nie pojmowałem, czemu Edith tak uparcie trzymała tę rudere.

Rozdział 10

No, to jedno już wiemy – stwierdził Jack. Przyglądał się dziurze ziejącej w ścianie pokoju dwieście dziewięć. Kawałki gipsu i izolacji poniewierały się na podłodze. – Wygląda na to, że morderca Toma Lomaxa ma aktówkę.

– Obawiałam się, że Tom właśnie to miał na myśli, kiedy powiedział, że nas zawiódł. – Madeline pokręciła głową. – I nadal nie mamy pojęcia, co jest w środku. Nie wiemy nawet, czy to nadal jest niebezpieczne. Jakkolwiek by było, w ciągu osiemnastu lat wiele może się zmienić. Może zawartość aktówki nie stanowi już żadnego zagrożenia.

Jack spojrział na nią. Stała pośrodku zakurzonego pokoju, skulona dla ochrony przed zimnym, wilgotnym powietrzem deszczowego dnia. Postawiła kołnierz niebieskiej kurtki tak, że otaczał jej wyrazistą twarz i oczy, przykuwające uwagę. Wyczuwał w niej napięcie. Wiedział, że wbrew wszystkiemu, co się wydarzyło, liczyła, że morderca nie znalazł aktówki. Chciał ją pocieszyć, ale dawanie fałszywej nadziei nie mieściło się w zakresie jego obowiązków. Zresztą kiepsko mu wychodziło udawanie optymizmu.

– Lomaxa zamordowano przez tę aktówkę – stwierdził. – Uwierz mi, to, co w niej jest, nadal jest jak dynamit.

Skrzywiła się, ale skinęła lekko głową na znak, że przyjęła to do wiadomości.

– Wiem – mruknęła.

Zerknął na zegarek.

– Mamy jeszcze trochę czasu, zanim się ściemni. Rozejrzyjmy się w domu Lomaxa. Mówiłaś, że mieszkał na terenie posesji?

– Tak, pokażę ci. – Odwróciła się od zdewastowanej ściany, ruszyła do drzwi. – I nie musimy zawracać sobie głowy dziennym światłem. Prąd wyłączono tylko w budynku hotelowym, nie w u Toma.

Szedł za nią. Minął zapadłe łóżko, pokryte pajęczynami niezliczonych pokoleń pajaków. Nie licząc rozbitej ściany, pokój wyglądał, jakby czas się w nim zatrzymał. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Okna były tak brudne, że światło dzienne z trudem wdzierało się do środka.

Wyjął latarkę, zapalił, skierował snop światła na ślady kroków na podłodze. Były tam ślady jego i Madeline, ale także inny, trzeci, który zostawiły robocze buty o charakterystycznej podeszwie.

Przyjrzał się im uważniej i zatrzymał w pół kroku.

– Hm.

Madeline także stanęła.

– Co?

Przykucnął, żeby dokładnie obejrzeć odcisk buta.

– W pierwszej chwili tego nie zauważyłem.

– Mówiłaś, że to odcisk męskich butów do pracy, sporego rozmiaru.

– Nie o to mi chodzi. – Dotknął odcisku palcem i zobaczył na nim warstewkę kurzu. Potem spojrzął na

ślady, które zostawili z Madeline. Ich odciski były wyraźniejsze, lepiej widoczne. Wstał. – Ten, kto je zostawił, był tu niedawno, kilka dni temu.

– Ale Toma zamordowano wczoraj.

– Jeśli to jego odciski, oznacza to, że był tu kilka dni temu, pewnie po to, żeby wydobyć aktówkę ze ściany.

– Bez sensu. Niby dlaczego miałyby to robić po tak długim czasie?

Wyszli z pokoju dwieście dziewięć, schodami wrócili do foyer. Ponieważ drzwi do większości pokoi były zamknięte, a prąd odłączono, wędrowali głównie w ciemności. Jedyne źródło światła stanowiły niewielkie okna na przeciwnych krańcach korytarza. Jack skierował latarkę na zardzewiałą metalową tabliczkę z numerem pokoju na drzwiach.

– Czy ten, kto cię wczoraj ścigał, orientował się w rozkładzie hotelu? – zapytał.

Madeline zastanawiała się przez chwilę.

– Mniej więcej. Na tyle, że pobiegł za mną do foyer, minął główne schody. Ale nie wiedział o istnieniu tylnych schodów, kuchennych. Słyszałam, jak się kręci, otwiera i zamyka drzwi, póki ich nie znalazł. Dzięki temu miałam dość czasu, żeby wbiec do pokoju i zamknąć drzwi.

– Intryguje mnie, jak długo zabójca tu przebywał.

– Na tyle długo, że wiedział o istnieniu drogi przez las – odparła ponuro. – Tam zostawił samochód.

– Dlaczego osiemnaście lat temu twoja babcia nie chciała wezwać policji?

– Nie wiem, w każdym razie chyba chciała to zrobić, póki nie otworzyła walizki, ale jej zawartość sprawiła, że postanowiła nie wciągać w to policji. – Zawahała się. – Ale wiem jedno.

– Czyli?

– Osiemnaście lat temu Egan Webster miał w kieszeni prawie całą Cooper Island, włącznie z policją. Jego fundusz hedgingowy rozwijał się z dnia na dzień, pieniądze płynęły strumieniami i kupował za nie wszystko i wszystkich.

– Czyli możliwe, że zawartość aktówki dotyczyła Webstera lub jego rodziny i Edith uznała, że Webster nie chciałby, by te informacje ujrzały światło dzienne.

– To jedna z moich teorii, które snułam przez te lata. Ale mogło też być inaczej. Może były w niej narkotyki albo brudne pieniądze, należące do mafii, terrorystów i ub kartelu narkotykowego? Jednak ilekroć chciałam porozmawiać o tym z babcią, powtarzała: nie budź licha, kiedy śpi.

Wyszli z hotelu bocznymi drzwiami i szli przez piękny dawniej ogród. Teraz przypominał scenerię mrocznej baśni, pomyślał Jack. Chwasty rosły bujnie, tłumiły kwiaty i krzewy, jakby natura chciała za wszelką cenę odebrać ucywilizowaną, ułagodzoną część wyspy.

Madeline poszła przodem, prowadziła do furki w zapadającej się altance oplecionej na wpół uschłymi pędami winorośli.

Za altanką stała drewniana szopa. Małe okienka zasnuły lata deszczowych dni. Nikt od dawna ich nie mył. W jednej ze ścian wstawiono drzwi garażowe. Drugie, tradycyjne, zamknięte na kłódkę, znajdowały się w najdalszym skraju budynku.

Szopa na narzędzia, domyślił się. Zerknął na Madeline. Nie patrzyła w tamtym kierunku.

Z trudem opanował narastającą w nim lodowatą wściekłość. Upomniał się, że Edith Chase i Tom Lomax zabili tego, kto zaatakował Madeline.

– Domek Toma – powiedziała. – Jedyne, którego okien nie zabito deskami.

Zapewne przed laty urocze małe domki, które przycupnęły na urwisku nad kamienistą plażą, wydawały się gościom cudownie malownicze. Teraz jednak stanowiły jedynie kolejny element krajobrazu mrocznej baśni o hotelu Aurora Point.

Za nimi widział ciemną linię drzew. Dostrzegł też altankę.

– Czy to... – zapytał. Nie dokończył.

– Tak.

Madeline nie patrzyła na altankę, tak samo, jak odwróciła wzrok od szopy.

Obeszła domek dokoła, weszła na ganek. Nacisnęła klamkę. Ta ustąpiła bez oporu. Zatrzymała się na progu.

– Przygotuj się – uprzedziła. – Już osiemnaście lat temu Tom był zbieraczem. I fotografem amatorem. Nigdy nie wyrzucał swoich prac.

– Jestem gotowy – zapewnił.

Madeline otworzyła drzwi i zniknęła w mroku małego saloniku. Skarby minionych dekad otaczał duszny, stęchły zapach.

– Fuj – skrzywiła się.

Jack spojrział na nią.

– Spokojnie, to nie jest zapach trupa.

Posłała mu szybkie, zdumione spojrzenie.

– Dobrze wiedzieć. Dzięki za radosną nowinę. Czy powinnam pytać, skąd wiesz, jak śmierdzi dom zbieracza, a jak rozkładające się zwłoki?

– Byłem konsultantem FBI, nie pamiętasz?

– Babcia coś wspominała. Wywnioskowałam z jej słów, że nie zajmowałeś się profilowaniem hazardzistów internetowych czy złodziei sztuki.

– Czasami, niestety, za rzadko. Mój wydział specjalizował się w profilowaniu innego rodzaju przestępców.

Gwizdnęła cicho.

– Seryjnych morderców.

– Po pewnym czasie zmieniłem branżę.

– Chyba nawet rozumiem dlaczego.

Spojrział na nią dziwnie.

– Nie wszyscy to rozumieją.

– Oglądają za dużo telewizji. – Zatoczyła łuk ręką, zamykając w tym geście wnętrze domku. – I co powiesz o tym miejscu?

Jack rozglądał się uważnie.

– Że przez te osiemnaście lat Tom Lomax nie przestał gromadzić. I wiem, co miałaś na myśli, mówiąc, że nie wyrzucał swoich zdjęć.

Na pierwszy rzut oka było widać, że domek umeblowano niechcianymi meblami z hotelu – wiekowy fotel pokryty wytartą skórą, lampa z podartym, pożółkłym abażurem, drobiazgi z różnych epok, zasłony w wyblakłe kwiaty.

Pomieszczenie wypełniały okruchy wielu lat życia na skraju paranoi. W kątach piętrzyły się sterty pożółkłych, rozsypujących się gazet. W plastikowych pojemnikach leżały żarówki i baterie, zapewne od dawna niezdatne do użytku. Z pudeł wysypywały się narzędzia i zwoje kabli, z kartonów wylewała się rzeka korespondencji – rachunki, reklamy, katalogi.

I wszędzie poniewierały się fotografie wszelkich możliwych rozmiarów – biało-czarne, w sepii, kolorowe. Z tego, co udało mu się zobaczyć, Jack wnioskował, że Lomax fotografował głównie Cooper Island. Zorza polarna nad wyspą – fantastyczne zdjęcia zielono-fioletowych płomieni na tle nocnego nieba. Przejmujące fotografie szalejących burz. Klimatyczne zdjęcia hotelu Aurora Point w różnych stadiach rozkwitu i upadku.

Kilkanaście powiększonych oprawionych fotografii wisiało na ścianach.

– To jego ulubione – wyjaśniła Madeline. – Jedyne, które podpisał. Uważał się za artystę, a te ściany to jego prywatna galeria.

Tylko na kilku z nich byli ludzie – a dokładnie – dwie dziewczynki, o krok od kobiecości. Na niektórych zdjęciach biegły beztrudnie, szalenie, po kamienistej plaży. Na innych siedziały rozmarzone na skraju urwiska. Kilka z nich przedstawiało je na tle zachodzącego i wschodzącego słońca. Ale na każdej fotografii na horyzoncie gromadziły się burzowe chmury.

Każde zostawiało widza z tym samym wrażeniem, ze świadomością, że dziecięca naiwność nie potrwa długo. Prawdziwe życie zaleje je burzą.

Jack spojrzał na Madeline.

– Ty z Daphne?

– Tak – uśmiechnęła się smutno. – Tom był świetnym fotografem, ale nie lubił uwieczniać ludzi, wolał krajobrazy. Babcia prosiła go, żeby nas sfotografował, żebyśmy miały pamiątki dla naszych dzieci. Zgodził się, ale koniec końców zdjęcia zostały tutaj; chyba żadna z nas nie chciała niczego, co przypominałoby jej o wyspie i hotelu.

– Zrozumiałe.

Jack odwrócił się od zdjęć.

– Tom chyba nigdy niczego nie wyrzucał – zauważyła Madeline.

– Cierpiał na paranoję. Ludzie cierpiący na poważną odmianę tej choroby obawiają się wyrzucić cokolwiek. Nigdy nie można wykluczyć, że ktoś znajdzie coś, co będzie mogło być użyte przeciwko tobie: numer konta w banku, kompromitujące zdjęcie. Nigdy nic nie wiadomo.

Madeline uśmiechnęła się blado.

– Domyślam się, że nieraz miałeś z kimś takim do czynienia.

– Oczywiście. To moi ulubieni podejrzani. Zawsze można u nich coś znaleźć.

– Bo nigdy czego nie wyrzucają. Rozumiem.

– Jutro rozejrzemy się tu dokładniej, teraz chciałbym tylko pobieżnie się zorientować.

Z saloniku przeszedł do miniaturowej kuchenki. Mnóstwo garnków i patelni, za to mało talerzy i kubków, te, które się uchowały, wyglądały jak kolejne resztki z hotelowej kuchni.

Lodówka świeciła pustkami, za to w zamrażarce były zapasy mrożonych posiłków wystarczające chyba na rok. Szafki pękały od konserw. Na ścianie wisiał staroświecki kalendarz. Jack zdjął go i przejrzał pobieżnie. Nie dostrzegł niczego ciekawego w odręcznych notatkach, ale zwinął go w rulon i wsunął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Już miał wyjść, gdy jego uwagę zwrócił wycinek z gazety przyczepiony do ściany. Ze zdjęcia uśmiechała się atrakcyjna para. Nieśli kosz piknikowy.

„Patricia Webster zdradza rodzinny przepis na miejscowym pikniku”.

Madeline stanęła w progu.

– Znalazłeś coś?

– Przepis na chleb kukurydziany. – Rozejrzał się ponownie. – Chociaż Lomax chyba nie przepadał za gotowaniem.

– Z tego co pamiętam, raczej nie. – Madeline weszła do kuchni, zerknęła na fotografię. – A więc tak teraz wygląda Travis Webster. Młodsza wersja ojca.

– Ciekawe, czemu Lomax zachował ten przepis.

– Nie mam pojęcia.

Jack przebiegł artykuł wzrokiem.

„Patricia Webster, świeżo poślubiona żona naszego sąsiada z Cooper Island, Trávisa Webstera,

zjawiła się na corocznym pikniku z okazji Dni Wyspy z koszem chleba kukurydzianego, który wzbudził powszechny zachwyt. Zasypywana pytaniami, pani Webster zdradziła, że upiekła go na podstawie starego rodzinnego przepisu, w którym główną rolę gra pewien tajemny składnik...”

Jack przebiegł wzrokiem listę składników.

– Hm.

– Co?

– Co?

– Tajemny składnik w przepisie Patricii Webster to kwaśna śmietana.

Madeline pytająco uniosła brwi.

– Masz z tym problem?

– Tak, mam z tym problem. Są pewne zasady co do chleba kukurydzianego.

– Żadnej kwaśnej śmietany?

– Nie w mojej kuchni.

– O rany – uśmiechnęła się. – Gotujesz.

– Masz z tym problem?

– Skądże. Lubię jeść.

Nie bardzo wiedział, jak zinterpretować nutę w jej głosie. Intrygowało go, czy z nim flirtowała, tak troszeczkę, ale bał się zapytać.

Wyszedł z kuchni, pokonał korytarz, skręcił do łazienki.

Nie zawracał sobie głowy ciasnym pomieszczeniem. Tu także nie było miejsca, wszędzie piętrzyły się paczki papieru toaletowego, których wystarczyłoby na przetrwanie Apokalipsy.

Ostatni pokój to sypialnia. Przed dłuższą chwilę patrzył na łóżko.

– Jedna poduszka – zauważył.

Madeline zatrzymała się w progu.

– A to oznacza...?

– Że zapewne miałaś rację, mówiąc, że nie miał dziewczyny, w każdym razie nie takiej, która regularnie spędzałaby u niego noc.

Minął posłanie, otworzył drzwi do szafy. Zobaczył w niej dokładnie takie ubrania, jakich się spodziewał – identyczne flanelowe koszule i sprane, wiekowe drelichowe spodnie.

I ciężkie robocze buty.

Dwie pary zniszczonych, znoszonych butów. Ta sama marka. Ten sam styl. Ten sam okres.

Uniósł jeden z nich, przyjrzał się podeszwie. Zmierzył jej długość długopisem. Podniósł głowę i zobaczył, że Madeline przygląda mu się z rezygnacją w oczach.

– To był Tom, prawda?

– Możemy spokojnie założyć, że zanim my tam weszliśmy, Lomax był ostatnim, który przebywał w pokoju dwieście dziewięć.

– Pytanie, czemu to zrobił. I dlaczego akurat teraz?

Rozdział 11

Daphne przyciskała telefon do ucha i patrzyła na sznur pasażerów z Phoenix. Nie miała pojęcia, jak będzie wyglądał jej ochroniarz, ale zakładała, że Abe Rayner będzie bardzo przypominał bramkarza z nocnego klubu. Albo zawodnika rugby.

Na chwilę jej uwagę zwrócił niski, mocno zbudowany mężczyzna w okularach w ciemnych oprawkach, z plecakiem i torbą na laptopa. Odruchowo usiłowała odgadnąć jego osobowość na podstawie jego stylu. To była jej ulubiona zabawa od lat. Miał na sobie bojówki, których kieszenie wypełniały różne elektroniczne gadżety, sportowe buty i koszulkę z krótkimi rękawami. Ciemne włosy związał na karku rzemykiem. Obrazu dopełniała sfatygowana zamszowa kurtka i krawat z rzemienia, spięty kawałkiem turkus.

W jego ruchach było coś, co dawało do zrozumienia, że nie cały czas spędzał przed ekranem komputera. Skrzyżowanie informatyka z szeryfem z Dzikiego Zachodu, stwierdziła. Gdyby nie była tak spięta, uśmiechnęłaby się na widok takiego połączenia.

Ponownie skupiła się na mężczyznach wysiadających z samolotu. O Abie Raynerze wiedziała tylko tyle, że to mężczyzna i że jej się wylegitymuje, gdy w końcu tu dotrze. To niewiele, zważywszy na okoliczności. Może to wszystko to jedna wielka pomyłka. Może niepotrzebnie spanikowała. Może traci rozum.

Za jej plecami rozległ się męski głos z przeciągłym akcentem z Arizony.

– Daphne Knight?

Podskoczyła nerwowo, instynktownie gotowa do ucieczki. Z bijącym sercem odwróciła się, szukając twarzy pasującej do głosu.

Zobaczyła informatyka z Dzikiego Zachodu. Uśmiechnął się przepaszająco i poprawił okulary zsuwające się z nosa.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć – mruknął. – Abe Rayner. Miałem nad panią tę przewagę, że znalazłem w Internecie pani zdjęcie. Jack mi je przysłał. Zaraz pokażę pani prawo jazdy.

– Pan Rayner. – Wzięła się w garść. Wstała.

Z tej pozycji widziała, że Abe Rayner był od niej niższy o dwa czy trzy centymetry i z całą pewnością nie przypominał ani bramkarza, ani zawodnika rugby. Był szczupły, umięśniony, emanował energią, jakby nie mógł się doczekać kolejnej komputerowej zagadki do rozwiązania. Tyle jeśli chodzi o mężczyznę, którego sobie wyobraziła. Być może Abe Rayner ma przy sobie wielki pistolet. Pracował w firmie ochroniarskiej, więc chyba był dobry w swoim fachu.

Nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że go ocenia, nie dawał po sobie poznać. Bez słowa wyciągnął rękę z prawem jazdy. Spojrzała na dokument z Arizony i zerknęła na wizytówkę.

Abraham Raphael Rayner
Analityk

Podniosła wzrok znad wizytówki, napotkała jego ciemne spojrzenie. Miała wrażenie, że rozbawiła go jej reakcja.

– Czym dokładnie zajmuje się analityk, panie Rayner? – zapytała.

– Analizowaniem. Jestem Abe.

– No dobrze. – Oddała mu dokumenty. – Daphne.

– Bardzo mi miło, Daphne. Niestety nie są to najlepsze okoliczności. Twoja przyjaciółka, Madeline, przesyła pozdrowienia. Za półtorej godziny mamy lot do Seattle. Co powiesz na kawę i coś do jedzenia? Nie wiem jak ty, ale ja jestem już głodny.

– Dla mnie tylko kawa – odparła. – Nie chce mi się jeść.

Powiedziała to odruchowo. Już od bardzo dawna nie chciało jej się jeść.

Abe zmrużył oczy. Najwyraźniej nie wierzył w jej brak apetytu, ale tego nie skomentował.

– Poszukajmy spokojnego miejsca, żeby usiąść i porozmawiać – zaproponował. – Pewnie masz mnóstwo pytań. Nie na wszystkie znam odpowiedzi, ale jestem pewien, że jedno, co mam ci do powiedzenia, bardzo cię zainteresuje.

– A co?

– Nasza legenda.

– Legenda?

– Tak. – Chwycił rączkę jej walizki na kółkach i ruszył korytarzem. – W Rayner Risk Management uważamy, że lepiej dmuchać na zimne. Co powiesz na rolę działającej incognito konsultantki z branży hotelowej?

Nie mając nic innego do roboty, zrównała swój krok z jego tempem.

– Incognito? – powtórzyła, usiłując poukładać sobie dynamicznie zmieniającą się rzeczywistość.

– Jack uważa, że wszyscy czworo powinniśmy mieć jakiś powód, żeby nagle zjawić się na Cooper Island. Na razie jedziemy tam jako konsultanci z branży hotelowej pracujący dla twojej przyjaciółki Madeline.

– Konsultanci do spraw...?

– Teoretycznie ściągnęła nas tam po to, żebyśmy zdecydowali, co zrobić z hotelem Aurora Point: sprzedać czy wyremontować.

– To akurat proste. – Daphne zacisnęła dłoń na pasku torebki. – Sprzedać.

– Tak? A dlaczego?

– A jak myślisz? To stary, pusty hotel. Nawiedzony.

Skinął głową.

– Rozsądny powód.

Poprowadził ją do jednej z lotniskowych restauracji, posadził przy stoliku, usiadł naprzeciwko i otworzył torbę z komputerem. Obserwowała, jak wyjmuje mały notebook, świadoma, że to wszystko intryguje ją coraz bardziej. Minął rok, odkąd ostatnio czuła to dawniej znajome uczucie.

– Opowiedz mi o tej roli incognito – poprosiła.

– Za chwilę. – Sięgnął po kartę dań. – Najpierw coś zamówimy.

Podszedł do nich kelner. Nie pytając jej o zdanie, Abe zamówił dwie kawy i dwie grzanki z grillowanym serem.

– Mówiłam ci, nie jestem głodna – zauważyła.

– Nie martw się, jeśli nie dasz rady, zjem za ciebie. A teraz, jeśli chodzi o naszą legendę...

Rozejrzała się. Co prawda nikt nie siedział na tyle blisko, że mógłby ich podsłuchać, ale i tak na

wszelki wypadek ściszyła głos i pochyliła się nad stolikiem.

– Masz broń? – zapytała.

– Oczywiście, że nie. – Nawet nie podniósł głowy znad komputera. – Przed chwilą wysiadłem z liniowego samolotu bez nadanego bagażu, zapomniałaś już?

– No dobra, a kiedy nie latasz?

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Mój szef twierdzi, że w dzisiejszych czasach detektyw nie nosi już spluwy, tylko liczy na inteligentną analizę danych.

– Twój szef, czyli twój brat?

– Tak.

– Wszystko pięknie, ale obawiam się, że mamy do czynienia z kimś bardzo niebezpiecznym.

– Ze mną jesteś bezpieczna, Daphne. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Jestem zawodowcem.

– Ale w domu lepiej nie ryzykować, co?

– No właśnie.

Doszła do wniosku, że Abe Rayner będzie działał jej na nerwy. Z drugiej strony, miał w sobie coś kojącego.

Kiedy podano grzanki, odruchowo sięgnęła po jedną i wbiła w nią zęby. Ser był ciepły i miękki, a grzanka smakowicie przyrumieniona.

Zjadła połówkę i sięgnęła po drugą.

Abe obserwował ją w skupieniu.

Przełknęła.

– Co jest? – zapytała.

– Jak ci smakowało? – zapytał podejrzenie niewinnym głosem.

Spojrzała na niedojedzoną kanapkę w dłoni. Była lekko zbita z tropu. Zwykła grzanka w lotniskowej knajpie, a smakowała jej bardziej niż wszystko, co ostatnio jadła – od ponad roku.

– Dobra – odparła. – Bardzo dobra.

– Czyli może jednak byłaś głodna.

– Może i byłam. To pewnie sprawa adrenaliny. Mam za sobą ciężki dzień.

– Wiem, Jack wspominał o włamaniu. Kiedy ostatnio jadłaś porządny posiłek?

– Rano zjadłam jogurt. Skąd to nagłe zainteresowanie moim odżywianiem?

– Jesteś bardzo chuda i tyle.

Poczuła, jak się rumieni.

– Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że nie powinieneś komentować wyglądu klientów?

– Nie. A to jakaś zasada?

– Owszem, to jakaś zasada. Lepiej zmieńmy temat. Powiedz mi, co właściwie dzieje się na Cooper Island.

– Nie wiemy tego na pewno, ale twoja przyjaciółka Madeline uważa, że to ma związek z pewną nocą sprzed osiemnastu lat.

– Mama zawsze twierdziła, że pewnego dnia ta sprawa wróci i nie da nam spokoju.

Rozdział 12

Twój brat działa mi na nerwy – oznajmiła Patricia.

Travis obserwował, jak wsuwa kolczyk do przekłutego ucha. Nawet ten drobny ruch przepełniała zmysłowa kobiecość. Jego śliczna żona to uosobienie zmysłowej kobiecości, pomyślał. Kiedy zacznie się kampania, media oszaleją na jej punkcie.

– Mnie też – przyznał. Odnalazł w lustrze jej wzrok. – Do cholery, on wszystkim w rodzinie działa na nerwy.

Patricia uśmiechnęła się współczująco.

– Wiem.

Sięgnęła po drugi kolczyk.

Niewinnie jasnowłosa, cudownie szczupła, nosiła ciuchy znanych projektantów z wdziękiem supermodelki. Miała pociągłą twarz o delikatnych rysach, arystokratyczny nos i wielkie niebieskie oczy o zewnętrznych kącikach lekko uniesionych. Jednak jej największą zaletą był niezłomny charakter i ambicja, niezbędne, by przetrwać czekającą ich kampanię.

Rok temu, gdy wspólny znajomy przedstawił ich sobie w Seattle na balu dobroczynnym, wiedział od razu, że Patricia doskonale się nadaje na żonę kandydata. Okazała się bystrą partnerką.

Doceniał także fakt, że nie narzekała na tygodniowy pobyt na Cooper Island, a to w końcu nie jest najbardziej atrakcyjne miejsce na ziemi. Ale cała ekipa uważała, że niezbędne jest, żeby media widziały kandydata w odpowiednim świetle. Ten tydzień znaczył, że jest bardzo związany z rodziną i miasteczkiem swego dzieciństwa. Patricia łaskawie udawała, że jest zachwycona krajobrazem i miejscowymi, odkąd tu przyjechali przed dwoma dniami.

To oczywiście była ta łatwiejsza część. Prawdziwe aktorstwo było potrzebne, gdy na scenę wkraczała jego rodzina – a zwłaszcza brat Xavier.

– Nie możemy bez końca trzymać go na tym stanowisku. – Patricia wpięła drugi kolczyk w płatek ucha. – Od wielu miesięcy zachowuje się nienagannie, ale wcześniej czy później znowu dojdzie do załamania, wiemy o tym oboje. A jeśli dojdzie do tego w niewłaściwym momencie, jeśli wyrządzi zbyt wiele szkód, zniszczy wszystko, co udało się nam osiągnąć.

Travis stanął za nią. Położył dłoń na jej szczupłej talii.

– Wiem o tym, zapewniam cię – odparł. – Ale póki nie wymyślimy, jak to rozegrać, lepiej mieć go na oku, a najlepszym sposobem jest pozwolić mu zaangażować się w pracę przy kampanii.

Patricia uniosła brwi.

– Najzabawniejsze, że w sumie całkiem dobrze sobie radzi, pisząc komunikaty prasowe.

– Mój brat zawsze umiał czarować otoczenie. A powiedzmy sobie szczerze, media to łatwa ofiara dla kogoś o jego talencie. Bestia newsów domaga się żarcia przez całą dobę, siedem dni w tygodniu. Najlepsi w tym są ludzie pokroju Xaviera, którzy z byle drobiazgu zrobią sprawę, w świetle której kandydat wydaje się człowiekiem wielkodusznym, bystrym i oddanym.

Roześmiała się.

– Kiedy ty naprawdę jesteś wielkoduszny, bystry i oddany.

– Dzięki. – Pochylił się i pocałował łuk jej szyi. – Lubię to słyszeć z ust mojej żony.

Spoważniała.

– Wiesz, czego się obawiam? Że kiedy, nie jeśli, tylko kiedy, Xavier zaatakuje, zrobi to tak podstępnie, że nie zorientujemy się, aż będzie za późno. Wystarczy kilka historyjek z podwójnym dnem. Mogą być całkiem wyssane z palca, to będzie bez znaczenia. Kiedy zaczną się plotki, nic ich nie powstrzyma.

– Uwierz mi, doskonale zdaję sobie sprawę, jak niebezpieczny może być Xavier. Ale jednocześnie go znam. Można by powiedzieć, że obserwuję go od pierwszego dnia mojego życia. Musiałem się szybko tego nauczyć, żeby przeżyć. Wiem, co na niego działa, co go prowokuje. Wychwytyuję znaki ostrzegawcze. Zapewniam, lepiej mieć go na oku, tak, żebym mógł go kontrolować. O wiele gorzej byłoby, gdyby zdany sam na siebie czał się gdzieś w mroku.

– Zazdrości ci.

– Zawsze mi zazdrościł. To on miał być złotym chłopcem, następcą tronu. To on, jak liczył ojciec, miał zasiąść w Senacie, a później, jeśli się uda, także w Białym Domu.

– Twoi rodzice zdają sobie sprawę z tego, jak bardzo jest niebezpieczny?

– Do pewnego stopnia, ale żadne z nich nie chce przyznać, że dla Xaviera nie ma ratunku. W głębi duszy to nadal jest ich złoty chłopiec. Wydali majątek na leczenie, na prochy i terapię, aż w końcu zamknęli go w prywatnym psychiatryku. Opowiadali wszystkim, że to ekskluzywna szkoła z internatem, ale to było kłamstwo.

– Co się stało?

– Rok później w instytucie uznano, że wyzdrowiał i odesłano go do domu. – Travis wzruszył ramionami. – Niedługo później znowu tam trafił. I tak było przez całe jego dojrzewanie, większość czasu spędzał w instytucie. Jako dorosły też kilkakrotnie tam wracał.

– Rodzice pewnie bardzo cierpią – zauważyła Patricia.

– Problem w tym, że Xavier jest genialnym aktorem. Ilekroć stamtąd wraca, wydaje się normalny. Zrównoważony. Opanowany. Nie może grać bez końca i rodzice chyba o tym wiedzą. Ten cykl powtarzał się już tyle razy, że zdają sobie sprawę, że wcześniej czy później znowu dojdzie do wybuchu.

– Wielkie szczęście, że nikogo nie zabił, kiedy wpada w ten swój szał.

Travis puścił ją.

– Szczerze? Wcale nie jestem pewien, czy nikogo nie zabił.

Odwróciła się gwałtownie. Otworzyła szeroko oczy.

– Mówisz poważnie?

– Jeśli chodzi o mojego brata, zawsze mówię poważnie. Xavier jest bardzo inteligentny i ma wysoce rozwinięty instynkt samozachowawczy. Jeśli naprawdę kogoś zabił, dopilnował, żeby nie zostawić żadnych śladów. To akurat dla nas dobrze. Mało prawdopodobne, żeby go aresztowano.

Patricia wyprostowała się.

– Trzeba coś z nim zrobić.

– Wiem. – Podeszedł do szafy, wyjął koszulę.

– I to szybko.

– I to szybko – zgodził się. – Porozmawiam z rodzicami. Dawniej zawsze sobie z nim radzili.

– Nie możemy pozwolić, by zrujnował ci przyszłość.

– Uwierz mi, rodzice do tego nie dopuszczą.

Żonę miał doprawdy prawie idealną, rozmyślał, zapinając koszulę. Martwiło go tylko jedno. Przeczuwał, że gdy uzna, że jego niebezpieczny brat stanowi zbyt duże obciążenie, ucieknie.

Take kobiety jak Patricia nie zadają się z nieudacznikami.

Rozdział 13

Oczywiście, że cię pamiętam, Madeline. – Heather Lambrick wyszła z restauracyjnej kuchni, którą wypełniały kłęby pary, i wytarła ręce o biały fartuch. Zamknęła Madeline w serdecznym uścisku. – Bardzo mi przykro z powodu twojej babci. Zawsze ją lubiłam. Dała mi pracę, kiedy tego bardzo potrzebowałam.

– Bardzo mi jej brakuje – przyznała Madeline.

– Zawsze tęsknimy za dobrymi ludźmi. Tak już jest. – Heather cofnęła się o krok i zmierzyła ją wzrokiem. – Mój Boże, ale się zmieniłaś. Kiedy wyjeżdżałaś z Cooper Island, byłaś małą dziewczynką.

Heather była już po pięćdziesiątce. Madeline zapamiętała ją jako zapracowaną samotną matkę, wiecznie wyczerpaną i zabieganą. Pracowała na dwóch etatach, żeby utrzymać siebie i syna. Za dnia stała za barem w knajpce Crab Shack, wieczorami gotowała w hotelu Aurora Point.

– Tak się cieszę, że cię widzę. – Madeline uśmiechnęła się. – Świetnie wyglądasz.

Nie przesadziła. Heather naprawdę świetnie wyglądała. Zarumieniona od kuchennego żaru, w niczym nie przypominała tamtej zabieganej, umęczonej kobiety sprzed osiemnastu lat. Teraz było widać, że panuje nad swoim życiem.

Madeline nagle zorientowała się, że Heather ciekawie zerka na Jacka.

– Jack Rayner – przedstawiła go. – Konsultant z branży hotelowej. Poprosiłam, żeby pomógł mi zdecydować, co zrobić z Aurora Point.

Heather uśmiechnęła się promiennie.

– Bardzo mi miło, Jack.

Skinął głową.

– Heather. – Zerknął w stronę kuchni. – Nie wiem, co tam gotujesz, ale pachnie smakowicie.

Rozpromieniła się.

– Zupa rybna według mojego własnego przepisu. Podawana z chlebem na zakwasie.

– Poproszę – zdecydował Jack. – W każdym razie na początek.

Heather zachichotała.

– Nie chcesz najpierw zajrzeć do karty dań?

– Jasne, ale na pewno wezmę zupę rybną.

– Ja też – zawtórowała Madeline.

– Proszę bardzo. – Heather wskazała im stolik. – Siadajcie. Dzisiaj mamy tu pustki, ale od jutra zacznie się weekendowy ruch. Od twojego wyjazdu sporo się tu zmieniło, Madeline. W weekendy zjeżdżają tłumy turystów.

– Widziałam nowe sklepy i knajpki – przyznała.

Heather weszła do kuchni, ale zaraz pojawiła się w okienku, przez które wydawała dania.

– Pewnie słyszałaś już, że Travis Webster szykuje się do startu w wyborach do Senatu?

Madeline opadła na siedzenie obite czerwonym winylem.

– Słyszałam.

– W przyszłym tygodniu jego rodzice wydają uroczystą kolację w Cooper Point. Zaprosili wszystkich mieszkańców wyspy. Wiesz, pod hasłem: miejscowy chłopak wyrusza do Waszyngtonu, tego drugiego Waszyngtonu.

– A ty zapewniasz catering?

– Chyba żartujesz. Nie ma mowy. – Heather zabawnie przewróciła oczami. – Ściągają kogoś z Seattle. Lokalna kucharka nie zaimponuje potencjalnym sponsorom i ludziom ze świata mediów. Ale i tak coś nam skapnie. Ludzie muszą gdzieś jeść.

Podeszła do nich młoda kelnerka.

– Coś do picia?

Jack zamówił piwo.

– Dla mnie czerwone wino – poprosiła Madeline.

– Oczywiście.

Kelnerka oddaliła się w stronę baru.

Madeline obserwowała Heather krzątającą się w kuchni.

– Wiesz, Heather, babcia zawsze powtarzała, że pewnego dnia będziesz miała własny lokal. Mówiła, że wiecznie o wszystko pytałaś i podpatrywałaś organizację pracy w kuchni.

Heather uniosła siwiejące brwi.

– A mówiła ci też, że udzieliła mi nieoprocentowanej pożyczki, żebym mogła kupić ten lokal po śmierci poprzedniego właściciela?

– Nie, nigdy o tym nie wspominała. – Nagle Madeline oczy zaszczyły łzami. – Zawsze powtarzała, że ma oko do wyłuskiwania talentu.

– Dziękuję, ale przede wszystkim była dobrym człowiekiem. – Heather pokręciła głową. – I pomyśleć, że przyjechałaś zaledwie wczoraj i znalazłaś ciało Toma Lomaxa.

– Wieści szybko się rozchodzą.

Heather prychnęła.

– Tak to jest w małych miasteczkach – urwała, wyjrzała przez okienko. – Mówią, że Tom zdybał włamywacza na gorącym uczynku.

– Na to wygląda.

– Co za szkoda. – Pokręciła głową. – Z Toma był co prawda dziwak, ale nieszkodliwy.

– Jeden z policjantów sugerował, że niewykluczone, iż Tom zdziwaczał bardziej, niż nam się wydaje.

– Tak? – Heather zdziwiła się wyraźnie. – Moim zdaniem wszystko było z nim w porządku, przynajmniej tych kilka razy, kiedy widziałam go ostatnio. Nawet lepiej niż w porządku.

– Jak to? – zainteresował się Jack.

Madeline zerknęła na niego. Po raz pierwszy zabrał głos w tej rozmowie.

Heather umilkła, szukała argumentów na poparcie swoich słów. W końcu wzruszyła ramionami.

– Trudno to wytłumaczyć – przyznała. – To takie drobiazgi. Kilka miesięcy temu widziałam, jak wychodzi od fryzjera. Ostrzygł się porządnie po raz pierwszy od lat. I chyba znowu regularnie się golił. Żartowałam z niego, pytałam, czy znalazł sobie dziewczynę.

– A co on na to? – zapytał Jack.

– Poczzerwieniał, burknął, żebym nie wtykała nosa w nie swoje sprawy i zaraz odjechał tym swoim tysiactletnim pikapem. Zrobiło mi się głupio. Niepotrzebnie mu dokuczałam.

W tej samej chwili, gdy kelnerka stawiała przed nimi piwo i wino, drzwi otworzyły się, wpuszczając do środka podmuch wilgotnego powietrza. W ślad za nim do knajpki weszła grupa ludzi, w modnych czarnych ciuchach. Nieśli ze sobą mnóstwo nowoczesnych sprzętów. Kilku sprawdzało pocztę

elektroniczną na telefonach, inni rozmawiali szybko, nagłaco, jakby chcieli dać do zrozumienia wszystkim dokoła, że mają do czynienia z Bardzo Ważnymi Ludźmi omawiającymi Bardzo Ważne Sprawy.

– Wywiady od rana do nocy, nie dłuższe niż pięć minut. Podkreślamy, że Webster przyjechał tu na rodzinną imprezę...

– Opracować nowy zestaw tematów. Chodzi o miłe chwile na łonie rodziny...

– Pokazujemy rodzinną więź i ducha małego miasteczka...

Z tłumu wyróżniał się jeden mężczyzna, nie ze względu na czarne ciuchy czy jasne włosy, tylko ze względu na emanującą od niego energię. Madeline nie widziała Xaviera Webstera od osiemnastu lat, ale nie miała wątpliwości, że patrzy na młodszego syna Egana i Louise. W dzieciństwie był ślicznym chłopcem, teraz – pięknym mężczyzną, którego otaczała aura wielkości, jak gwiazdora rocka. Była gotowa się założyć, że rozjaśnił złote włosy pasemkami.

– Ej, bar jest tam! – zawołał.

Poprowadził swoją świtę do kontuaru. Szli posłusznie.

Najprawdziwszy Szczurołap z Hameln, pomyślała Madeline.

– Strzelałem w ciemno, ale jestem pewien, że właśnie widzieliśmy sztab wyborczy Trávisa Webstera – mruknął Jack.

– I pewnie trafiasz w dziesiątkę. – Madeline upiła łyk wina. – Mieliśmy szczęście, że udało nam się dostać pokoje w pensjonacie. – Zerknęła na Heather, która wyszła z kuchni, niosąc dwa talerze z parującą zupą. – Chyba jednak dzisiaj też będziecie mieli pełne ręce roboty.

Heather skrzywiła się, stawiając naczynia na stole.

– Słyszałam, że przyjechał już kilka dni temu. Miałam nadzieję, że wzgardzi miejscową kuchnią.

– Nie widziałam go, odkąd wyjechałyśmy z babcią z wyspy.

– No to szczęściara z ciebie. – Heather zacisnęła usta w wąską kreskę. Zniżyła głos. – Tu, na wyspie, usłyszysz o nim tylko jedną pozytywną rzecz: że przez większość czasu go tu nie było. Przepraszam was, ale muszę pomóc Sarah. Wolałabym, żeby nie stała za barem sama, w każdym razie póki jest tu ten piękniś.

– Rozumiem – szepnęła cicho Madeline.

– Daj znać, gdybyś potrzebowała wsparcia – dodał Jack.

Heather spojrzała na niego zaskoczona, a potem uśmiechnęła się z aprobatą.

– Dzięki – mruknęła. – Przy odrobinie szczęścia będzie grzeczny. Jakkolwiek by było, Websterom zależy na powodzeniu Trávisa. Stawiają wszystko na jedną kartę.

– Co oznacza, że taki Xavier ma kolejny powód, żeby pokrzyżować bratu szyki – zauważyła Madeline.

Heather westchnęła ciężko.

– To prawda. – Zniżyła głos do szeptu. – Pewnego dnia ktoś raz na zawsze rozprawi się z Xavierem Websterem. I jeśli o mnie chodzi, ten dzień może nadejść choćby jutro.

Odeszła szybkim krokiem.

Jack oparł łokcie na stole i przeciągle spojrzał na bar.

– Co jest nie tak z tym Xavierem? – zapytał.

Madeline starannie składała serwetkę, jakby robiła origami.

– Któż to wie? Pamiętam, że gdy mieszkaliśmy na wyspie, dorośli wiecznie o nim szeptali. Jedni uważali, że jest chory psychicznie, inni że po prostu potrzebuje pomocy. Kiedy był grzeczny, wszystko było w porządku.

– A kiedy nie był?

– Był przerażający. Na szczęście Websterowie spędzali większość czasu w Seattle, więc bywał tu tylko czasami w weekendy i w czasie letnich wakacji. Ale jeśli o mnie chodzi, już tego było za wiele. W

końcu rozeszła się wieść, że wysłali go do bardzo ekskluzywnej szkoły z internatem. Cała wyspa odetchnęła z ulgą. Niestety, mimo to pojawiał się tu co jakiś czas.

– Sprawiał kłopoty?

– O, tak. Kiedy go poznałam, był nastolatkiem, bardzo bystrym, bardzo inteligentnym. Działy się różne rzeczy, ale nigdy nie była to jego wina.

– Jakie złe rzeczy?

– Xavier lubił igrzać z ogniem, i to dosłownie. I sprawiać ból. Któregoś dnia znalazłyśmy z Daphne na plaży szczątki kota. Było jasne, że biedactwo... Zresztą nieważne. Nie chcę o tym mówić. Byłyśmy pewne, że to Xavier zamęczył go na śmierć, ale nie miałyśmy na to żadnych dowodów. A jednak wszyscy instynktownie wiedzieli, że trzeba mieć go na oku. Aż pewnego dnia popełnił błąd. Tom Lomax przyłapał go, jak usiłował podpalić jeden z domków Aurora Point. Byli w nim turyści, spali, bo to był środek nocy. Gdyby Tom go nie zobaczył...

– I co się stało?

– Tom poszedł do babci, a ta od razu poszła do Cliff House.

– Cliff House?

– Rezydencja Websterów. Nie wiem, co takiego powiedziała Eganowi i Louise Websterom, ale następnego dnia cała rodzina wyjechała do Seattle. A niedługo później dotarła do nas wiadomość, że Xaviera posłano do tej szkoły z internatem.

– Weź głęboki oddech. Idzie tutaj.

– No proszę, a myślałam, że ten dzień już gorszy być nie może.

– Madeline Chase. Nie poznałem cię w pierwszej chwili, gdy tu wszedłem. – Xavier paradował przez restaurację jak drapieżny ptak o barwnym upierzeniu. Oślepiął uśmiechem. – Ależ wyrosłaś! Co za miłe spotkanie! – W ułamku sekundy przesadna radość na jego twarzy ustąpił autentycznej trosce. – Słyszałem o śmierci twojej babci. Bardzo mi przykro. Taka tragedia.

Wyrósł na doskonałego aktora, stwierdziła. Kiedy był młodszy, co jakiś czas maska spadała mu z twarzy, ale teraz było jasne, że przez lata opanował sztukę kamuflażu do perfekcji.

– Xavier – mruknęła.

Starła się zachować chłodny ton i zakończyć rozmowę, zanim na dobre się rozwinie. Jack obserwował Xaviera tak, jak rozsądny człowiek patrzy na jadowitego węża.

– Jak to? To tak się wita starego przyjaciela? – Xavier pochylił się, złapał ją za ramiona, dźwignął na nogi. – Nie dostanę nawet całusa?

W pierwszej chwili była zbyt zdumiona, by zareagować. Xavier ścisnął ją bardzo mocno. Była jak w pułapce, uwięziona, przytłoczona jego siłą. Poczwała, jak narasta panika i wściekłość.

– Puść mnie – wycedziła przez zęby. – Puść. Mnie.

Zignorował jej słowa, przyciągnął do siebie. Dostrzegła błysk tryumfu w jego oczach. Odruchowo uniosła rękę, żeby go odepchnąć.

Kątem oka dostrzegła ruch. Jack zrywał się z miejsca.

Chwilę później była wolna, zatoczyła się do tyłu, chwyciła oparcia krzesła, żeby nie upaść.

Jak przez mgłę usłyszała głuchy huk. Opuściła wzrok. Xavier leżał na ziemi. Jack podciął mu nogi.

Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund, ale lodowaty błysk w niebieskich oczach Xaviera zdradzał, że nie obejdzie się bez konsekwencji.

Inni dopiero teraz zauważyli, że coś się dzieje. Goście restauracji odwracali głowy, zaintrygowani, co się stało. Heather stanęła w progu. Szybko zorientowała się w sytuacji. Wydawała się bardzo przejęta.

– To moja wina – rzucił lekko Jack. – Bardzo przepraszam. Ciasno tutaj, co? Straciłem równowagę. – Wyciągnął rękę, jakby chciał pomóc Xavierowi wstać. – Przepraszam, że na ciebie wpadłem. Jack

Rayner, tak przy okazji. Słuchaj, postawię ci drinka, w ramach przeprosin.

Madeline wstrzymała oddech i wiedziała, że wszyscy wokół robią to samo. Przez jedną stresującą chwilę wyglądało na to, że Xavier odrzuci szansę, by wyjść z tego z twarzą. W jego pociemniach oczach pojawił się mroczny błysk.

Ale nie stracił panowania nad sobą.

Zignorował wyciągniętą rękę Jacka, zerwał się na równe nogi, otrzepał z kurzu. Przez chwilę jego rysy wykrzywiała wściekłość, zaraz jednak uśmiechnął się promiennie.

– Straszna z ciebie fajtapa, co? – zapytał lekko. – Uważaj, dobrze ci radzę. Na Cooper Island bywa niebezpiecznie. Co roku ginie tu kilku turystów. – Znow spjrzał na Madeline. – Później pogadamy, Maddie. Będzie fajnie, prawda? Słyszałem, że odziedziczyłaś po babci sieć hoteli. Nieźle.

Odszedł, nie patrząc za siebie i zniknął w tłumie przy barze.

Madeline poczuła, że dygocze na całym ciele. Osunęła się na czerwone siedzenie, sięgnęła po wino. Jack także usiadł. Nie spuszczał z niej oka. Pozostali goście szybko zajęli się swoimi sprawami, ale ich rozmowy były odrobinę głośniejsze niż przed tą krótką, intensywną scysją.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jack cicho.

– Tak. – Odetchnęła głęboko. – Dzięki. Ale obawiam się, że to jeszcze nie koniec.

– Nie – przyznał. – Tacy jak on nie odpuszczają.

Madeline upiła łyk wina i ostrożnie odstawiła kieliszek.

– Nie jest dobrze, Jack. Doceniam to, co zrobiłeś, ale nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że teraz to ty jesteś jego głównym wrogiem.

– Właśnie o to mi chodziło – odparł.

Rozdział 14

Madeline siedziała na skraju łóżka i patrzyła, jak Jack przechadza się nerwowo po jej pokoju, sprawdza zamek w drzwiach, upewnia się, że okna są pozamykane. Uspokojony, podszedł do drzwi łączących ich pokoje. Otworzył je.

– Masz za sobą długi cień – zauważył. – Prześpij się.

– Tak – mruknęła. Czowała, że nie uda jej się zasnąć, ale nie było sensu o tym mówić.

– Zostawię drzwi uchylone – zdecydował. – Jeśli usłyszę coś podejrzanego, zajrzę do ciebie, dobrze?

– Tak – skrzywiła się. – Nie, niedobrze. Boję się.

– Xaviera Webstera?

– Boję się o ciebie. Wydawało się, że Xavier panuje nad sobą, ale już jako dziecko był bardzo przebiegły. Mówiłam ci, rzadko kiedy udawało się złapać go na gorącym uczynku. A teraz, gdy dorósł, pewnie maskuje się jeszcze lepiej.

Jack przyglądał się jej przez długą chwilę.

– Nie po raz pierwszy mam do czynienia z dupkiem pokroju Xaviera Webstera – powiedział w końcu.

– Pozwól, że będę robił swoje.

Skrzywiła się.

– Przepraszam. Nie chciałam sugerować, że nie wiesz, co robisz. Chodzi mi tylko o to, że tacy jak Xavier są niebezpieczni.

– A tobie nie podoba się, że potrzebujesz czyjejś pomocy. To sprawia, że czujesz się bezradna.

– To tak oczywiste?

– Każdy ma jakiś słaby punkt. Rzecz w tym, żeby zdawać sobie sprawę z własnych słabości i wad, żeby wiedzieć, jak je chronić. Ty postąpiłaś rozsądnie, zatrudniłaś fachowca. Postąpiłaś jak mądry człowiek, który znajdzie się w sytuacji przekraczającej jego kompetencje.

Uśmiechnęła się.

– Każdemu klientowi serwujesz takie kazanie?

– Tylko uparciuchom.

– Dobranoc – mruknęła.

– Dobranoc.

Poszedł do siebie i przytknął drzwi, ale nie zamknął ich do końca.

Trzymała się, gdy szykowała się do snu. Umyła zęby, umyła twarz, włożyła nocną koszulę. Otuliła się hotelowym szlafrokiem, zawiązała pasek w talii, zgasła światło.

Tymczasem w pokoju obok było ciemno i cicho. Najwyraźniej Jack szybciej niż ona był gotów do snu. Cisza sącząca się przez uchylone drzwi sprawiła, że intrygowało ją, czy naprawdę tak szybko zasnął.

Podeszła do okna. Odchyliła zasłonę. Widziała stąd światła rezydencji Websterów na urwisku nad zatoką. Światła jaśniały i w głównym budynku, i w domkach gościnnych.

Aurora Point stał na urwisku po drugiej stronie zatoki. Straszyl ciemnym ponurym zarysem.

Przypomniało jej się, jak znalazła umierającego Toma, a potem paniczna ucieczka na piętro, strach przed niewidzialnym zabójcą, decyzja, by ściągać Jacka na wyspę. Dumiała o tym, że być może przyjaciółka z dzieciństwa także znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. I o Jacku, który naraził się na, jak się domyślała, atak niebezpiecznego socjopaty. I wreszcie o tym, że niewykluczone, iż Edith Chase padła ofiarą morderstwa.

I to wszystko jej wina. Przeszłość wracała, by nękać wszystkich – przez nią. Łzy paliły ją pod powiekami.

Odwróciła się od okna, poszła do łazienki. Przynajmniej zachowa się przyzwoicie i oszczędzi Jackowi kobiecego szlochu. I bez tego miał dość na głowie.

Zamknęła za sobą drzwi, zapaliła światło, przysiadła na chłodnej porcelanowej wannie, ściągnęła miękki ręcznik z wieszaka, wtuliła w niego twarz.

I rozplakała się. Nie po raz pierwszy od śmierci Edith Chase szlochała w samotności.

Rozdział 15

Jack czekał, aż drzwi do łazienki znowu się uchylą, a kiedy to nie nastąpiło, przebiegł w myślach możliwe powody nienaturalnej ciszy w sąsiednim pokoju. Przychodziły mu do głowy tylko dwa lub trzy możliwe powody – choroba, atak paniki albo łzy. Problemy żołądkowe mógł raczej wykluczyć, bo nie słyszał szumu spuszczonej wody i odkręcanego kranu. Czyli zostały panika albo łzy. I jedno, i drugie było bardzo prawdopodobne.

Nie przechadzała się nerwowo. A zatem to wykluczało atak paniki. Czyli łzy.

Niech to szlag.

Odczekał jeszcze chwilę. Kiedy drzwi do łazienki ciągle się nie otwierały, odrzucił kołdrę i usiadł na skraj łożka. Co prawda w łazience był hotelowy szlafrok, ale nawet wtedy nie czuł się w pełni ubrany. W rozmowie z klientką lepiej jest mieć ciuchy na sobie.

Wstał, sięgnął po spodnie. Zakładał je powoli, cały czas licząc, że jednak usłyszy szcęk otwieranych drzwi do łazienki. Nic z tego. Sięgnął po kaburę z pistoletem. Nie ma to jak rekwizyty, upomniał się. Poza tym miał swoją strategię, jeśli chodzi o broń – jeśli zakładał, że w danym zleceniu może się przydać, zawsze miał ją w zasięgu ręki.

Usatysfakcjonowany stanem swego odzienia, pchnął drzwi łączące oba pokoje i wszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Na łóżku odrzucono kołdrę, ale pościelenie było nietknięte. W świetle księżycy widział małą czekoladkę na poduszce.

Zawahał się, nasłuchiwał czujnie. Nadal niczego nie słyszał. Jeśli płakała, robiła to bardzo cicho.

Zebrał się w sobie i zapukał w drzwi łazienki.

– W porządku? – zapytał.

Cisza a po chwili:

– Tak. W porządku.

Mówiła niskim, ochryplym głosem. Zastanawiał się, co dalej. W podręczniku dla początkujących detektywów nie było ani słowa o takiej sytuacji. Nie po raz pierwszy miał do czynienia z załamana klientką, ale do takich scen dochodziło zazwyczaj w biurze. Nie bez powodu zdecydował nie przyjmować zleceń dotyczących rozwodów i zaginięć; nie bez powodu przekreślił swoją karierę, przechodząc do branży hotelarskiej, zostawiając za sobą profilowanie w FBI.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytał, gdy nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

– Nie. – Ciche chlipnięcie. – Idź stąd. Nic mi nie jest, po prostu jestem zmęczona.

Usłyszał szum wody w umywalce.

– Masz na sobie szlafrok? – zapytał.

Chwila wahania za drzwiami.

– Dlaczego? – Wyraźnie słyszał podejrzliwość w jej głosie.

– Bo uważam, że powinniśmy porozmawiać, a rozmowa z półnągą klientką to kiepski pomysł.

– Na miłość boską! – Gwałtownie otworzyła drzwi. Od płaczu miała czerwoną, zapuchniętą twarz.

Włosy spływały jej na ramiona, wilgotne, bo opryskała się zimną wodą. Ale poza tym w pełni nad sobą

panowała. Jej oczy lśniły gniewnie. – Mówiłam ci już: wszystko w porządku – urwała, przyjrzała mu się dokładnie. – Ubrałeś się.

– Oczywiście. Jak powiedziałem, są zasady dotyczące stroju podczas rozmowy z klientką.

Zaskoczyła go bladym, ale jednak szczerym uśmiechem.

– Podobne zasady obowiązują w branży hotelowej. Przepraszam, nie chciałam, żebyś pomyślał, że świat wali mi się na głowę. Wracaj do łóżka.

Sama ruszyła w kierunku posłania, jednak na widok jego kabury i pistoletu zatrzymała się w pół kroku.

– Nie wiedziałam, że masz broń – zauważyła.

Była zbita z tropu, jakby nie bardzo wiedziała, co z tym zrobić.

– Mówiłaś, że podejrzewasz morderstwo – przypomniał jej.

– No tak. Jasne.

Niemal widział, jak podejmuje decyzję, by nie pytać dalej o broń.

– Prześpij się – mruknął. – Pójdę już. Jak sama mówiłaś, to był bardzo długi dzień.

– Tak.

Nie wiedział, co jeszcze mógłby jej powiedzieć. Nie miał powodu, by dłużej tu zostać, ale nie chciał odejść.

Odwrócił się, upewnił się, że drzwi wejściowe są zamknięte i ruszył do swego pokoju energicznym krokiem.

– Jack? Dzięki za wszystko, co dzisiaj dla mnie zrobiłeś.

– To moja praca.

Uśmiechnęła się słabo.

– Wiem.

Nie mógł tego dłużej wytrzymać. Nie chciał ani jej wdzięczności, ani roli tego, który sprawdza jej potencjalnych partnerów. Wrócił do siebie, zostawiając drzwi łączące oba pokoje lekko uchylone.

Przez dłuższą chwilę stał i nasłuchiwał. Nie położyła się. Słyszał, jak podchodzi do okna. Wiedział, że stoi tam, wpatrzona w ciemność.

I nagle doskonale wiedział, o czym myśli. Sam już nieraz tam był.

Ponownie otworzył drzwi. Stała przy oknie, jak przypuszczał, że splecionymi rękami, ukrywając dłonie w długich rękawach szlafroka.

– Nie rób tego – powiedział.

Odwróciła się.

– Czego?

– Nie obwiniaj się. To nie twoja wina, nic z tego wszystkiego to nie twoja wina. Ani śmierć Lomaxa, ani to, że twojej przyjaciółce może grozić niebezpieczeństwo, ani zajście z Xavierem Websterem. Ani decyzja babki sprzed osiemnastu lat. To nie twoja wina.

Obserwowała go uważnie.

– Mam wrażenie, że stoję pośrodku paleniska, w którym ogień zaproszono tamtej nocy osiemnaście lat temu.

– Ugasimy go.

– Jack...

Odłożył broń na stolik, podszedł do Madeline. Powoli, delikatnie, mając w pamięci jej reakcję, gdy Xavier podniósł ją siłą, położył jej dłonie na ramionach. Nie wzdrygnęła się ani nie odsunęła.

– Razem dowiemy się, o co chodzi i położymy temu kres – obiecał.

– Dobrze – mruknęła.

Uśmiechnął się.

– A w zmian za to już nigdy nie poprosisz mnie, żebym sprawdzał twoich potencjalnych partnerów.

Pokręciła głową, lekko rozbawiona.

– Naprawdę założyło ci to za skórę, co?

– O wiele bardziej, niż się spodziewałem – przyznał.

– Ale dlaczego?

– Pewnie ze względu na konflikt interesów. Kiedy będzie już po wszystkim, chciałbym zaprosić cię na randkę, a jeśli się zgodzisz, ktoś inny będzie musiał mnie sprawdzić.

Czekał na oznakę gniewu albo chociaż zaskoczenia.

Znieruchomiała. W ciemności nie mógł wyczytać niczego z jej oczu.

– Miałeś rację – szepnęła.

– Z czym?

– Jeśli chodzi o Williama. Kamień spadł mi z serca, gdy zobaczyłam twój raport. Gdyby nie twoje rewelacje, musiałabym poszukać innego pretekstu, żeby z nim zerwać, a dzięki tobie miałam powód na tacy. A zatem wykorzystałam cię i za to przepraszam.

– Nie musisz.

– Muszę. Bo od trzech miesięcy zastanawiałam się, jak zareagujesz, jeśli zaproszę cię na randkę.

Zaskoczyła go. Przesunął dłonie z jej ramion na policzki. Nie odsunęła się.

– Zgodzę się – szepnęła.

– Bardzo dobrze. Przykro mi, że sprawy tak się pokomplikowały.

– Przestań w końcu przepraszać. Dobry szef nigdy nie przeprasza.

– To jedna z teorii zarządzania – przyznała. – Ale chyba nie do końca w nią wierzę.

– W każdym razie komplikacje nie mają znaczenia.

– Nie?

– Nie, bo rozwiązywanie to moja specjalność, zapomniałaś już?

Wysunęła dłonie z rękawów szlafroka i jednym palcem dotknęła jego podbródka.

– Jak mogłabym zapomnieć? – szepnęła.

Pocałował ją lekko; to był pierwszy pocałunek, kuszący, uwodzicielski. Taki pocałunek ma uspokajać, dawać do zrozumienia, że z nim jest bezpieczna. Przecież tyle już przeszła. Ostatnie, czego jej trzeba, to szybki numer, którego mogłaby żałować następnego ranka. Ostatnie, czego trzeba jemu, to rola faceta, z którym pochopnie wylądowała w łóżku.

Początkowo zachowała rezerwę. Tego się spodziewał.

Nie spodziewał się natomiast, że tłący się między nimi żar buchnie jasnym płomieniem letniej błyskawicy. Nie wiadomo kiedy znaleźli się w strefie zagrożenia. Jej dłonie zacisnęły się jak szpony na jego barkach. Miała gorące, wilgotne usta. Drżała w jego ramionach, chciwie chwytając powietrze. Przywarła do niego.

Z wysiłkiem oderwał się od niej.

– To nie jest dobry pomysł – wykrztusił.

W pierwszej chwili nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Potem zeszywniała. Wręcz czuł ogarniający ją chłód. Delikatnie odsunął ją od siebie.

– Mamy za sobą kiepskie dni, zapomniałaś już? – Czułym gestem założył jej kosmyk włosów za ucho. – Musisz się przespać.

Cofnęła się o kolejny krok, ponownie splotła ręce na piersi, ukryła dłonie w rękawach szlafroka. Niewiele widział w ciemności, nie wiedział, czy jest speszona, czy urażona, ale tak czy siak było jasne, że spieprzył sprawę.

– Racja – mruknęła. Odzyskała panowanie nad sobą. W jej uśmiechu kryła się żelazna determinacja. –

To był błąd. I to moja wina.

– Nie zaczynaj – rzucił.

– Przepraszam, że postawiłam cię w tak niezręcznej sytuacji. Chciałeś mnie pocieszyć, a ja próbowałam to wykorzystać.

– Nieprawda, to wcale nie tak.

– Mam nadzieję, że nie uznasz, iż w związku z tym musisz zrezygnować z pracy, choć zrozumiałem, jeśli podejmiesz taką decyzję. Jeśli zdecydujesz się odejść, proszę, żebyś polecił mi inną firmę, która sprosta takiemu zleceniu.

Ogarnął go gniew.

– Znowu chcesz mnie zwolnić?

– Nie. Doskonale się odnajdujesz w zaistniałej sytuacji. Poza tym nie uśmiecha mi się poznanie kolejnego fachowca.

– Nie bardzo wiem, do czego zmierzasz – burknął – ale darujmy sobie ten melodramat.

– Sam zaczęłeś, z tymi bzdurami, że nie chcesz mnie wykorzystać.

Zabolało.

– Taka jest prawda – mruknął. – Postąpiłem, jak mi się wydawało, najlepiej w danych okolicznościach.

– O ile sobie przypominam, jeśli chodzi o moje życie osobiste, nie chciałeś być posłańcem?

– Tamta sprawa nie ma nic wspólnego z naszą sytuacją.

– Nie zgadzam się – oznajmiła ostrym, energicznym głosem. – Ustaliliśmy, że nie będziesz więcej sprawdzał moich potencjalnych partnerów. A zatem nie tobie decydować, czy jesteś dla mnie odpowiedni.

– Oszalałaś.

– Możesz, oczywiście, sam we własnym zakresie zdecydować, czy angażowanie się w związek ze mną to rozsądny krok – dodała.

– Coś takiego.

– Jack, to był tylko pocałunek. Oboje byliśmy w odpowiednim nastroju, potem ty przerwałeś i ja to szanuję. Ale nie wmawiaj mi, że zrobiłeś to ze względu na mnie, dobrze?

– Czyli tyle mam z chęci zachowania się jak dżentelmen?

– Nie, takie są skutki wkurzania mnie – poprawiła.

– Kiedy następnym razem do tego dojdzie, nie będę zawracał sobie głowy, czy pójdzie z tobą do łóżka to dobry pomysł.

– Świetnie. A więc wszystko jasne. Nie zerwiesz umowy, ja cię nie zwolnię, więc do zobaczenia rano.

– No tak. – Wziął pistolet ze stołu i ruszył do drzwi łączących ich pokoje, zatrzymał się jednak i spojrzał na nią. – A tak z czystej ciekawości, często się tak kłócisz z potencjalnymi partnerami?

– Nie, to mój pierwszy raz. – Posłała mu promienny uśmiech. – I szczerze mówiąc, cudownie podzielał mi na nastrój. Czuję się o wiele lepiej niż dwadzieścia minut temu.

– Przeróżająca myśl.

– Raczej oczyszczająca.

– No cóż, cieszę się, że ci lepiej.

Zdziwił się, ile siły woli wymagało wyjście z godnością, bez trzaskania drzwiami.

Rozdział 16

Abe jechał powoli przez Cooper Cove. Daphne siedziała w fotelu pasażera sztywna i spięta. Wpatrywała się w sklepiki i galerie przy głównej ulicy.

– Poznajesz coś? – zagaił.

Zdawała sobie sprawę, że chce wciągnąć ją w rozmowę, żeby mogła się rozluźnić.

– I tak, i nie – odparła. – Wiele z tych sklepów jest nowych. Miasteczko jest trochę większe niż przed laty, ale atmosfera jest ta sama.

– Większość miasteczek ożywających w sezonie turystycznym i w weekendy ma podobny klimat – zauważył. – Zimą zapadają w sen zimowy, a latem budzą się do życia.

– I wszystkie małe miasteczka wiedzą, jak skutecznie ukrywać swoje tajemnice.

– Pewnie takie małe społeczności przypominają pod tym względem rodziny i małżeństwa. – Abe zacisnęła dłonie na kierownicy. – Intruz nigdy nie dowie się do końca, co się dzieje za beztroską fasadą.

Spojrzała na niego z ukosa. Jego nonszalanckie, zadziwiająco trafne uwagi o naturze ludzkiej już jej nie dziwiły. Znali się od niecałych dwudziestu czterech godzin, ale przekonała się w tym czasie, że Abe jest o wiele bardziej złożony, niż się wydawało na pierwszy rzut oka.

Wczoraj wieczorem poczuła niepokój, gdy zameldowali się w sąsiadujących pokojach hotelowych, połączonych wewnętrznymi drzwiami, niedaleko lotniska Sea Tac. Nie wątpiła, że Madeline wybrała poważną, godną zaufania firmę, ale jednak Abe był dla niej obcym człowiekiem. Niepokój minął, gdy obserwowała, jak poważnie, metodycznie i fachowo sprawdza zamki w drzwiach i oknach.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zasnęła, ledwie przyłożyła głowę do poduszki i obudziła się dopiero, kiedy rano Abe zapukał do drzwi. Po raz pierwszy od pogrzebu Brandona przespała całą noc, niedręczona niespokojnymi snami i nagłą pobudką.

– Masz żonę? – zapytała, zanim zdążyła ugryźć się w język przy tak osobistym pytaniu.

– Miałem, przez dwa lata – odparł.

– Rozwód?

– Tak. Chciała odejść.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Kiedy to w końcu zrobiła, odczułem coś na kształt ulgi. Wiedziałem, że nigdy nie będę facetem, którego sobie wymyśliła.

– Czyli?

Abe leciutko uniósł kącik ust w uśmiechu.

– Bardzo bogatym.

– Och.

– Kiedy się poznaliśmy, oboje pracowaliśmy w dobrze rokującej młodej firmie. Większość takich projektów przepada z kretesem, ale jeśli któremuś się uda, zazwyczaj to strzał w dziesiątkę. Wszystko wskazywało na to, że właśnie naszej firmie się uda. Więc całkiem spontanicznie postanowiliśmy się

pobrać.

– Ale nie zbiliście majątku?

– Nie.

– Co się stało?

– Założyciele firmy mieli świetnego prawnika od kontraktów. Kiedy wielkie firmy z branży technologicznej wykupiły nasze małeństwo, zarobili na tym tylko założyciele, a cała reszta odeszła z pustymi rękami. Ten zawód położył się cieniem na naszym małżeństwie. Alice chciała, żebym założył kolejną firmę, ja z kolei doszedłem do wniosku, że wole branżę ochrony. Alice uznała, że brakuje mi ambicji.

– I odeszła.

– Koniec końców oboje dobrze na tym wyszliśmy. O ile mi wiadomo, wyszła za specja od finansów. Jest ambitny i bogaty, i wszyscy są szczęśliwi.

– Ty też?

– Lubię to, co robię – odparł.

– Masz szczęście. Nie każdy może sobie pozwolić na taki luksus.

Zerknął na nią, ale nie mogła wyczytać niczego z jego oczu, ukrytych za ciemnymi okularami.

– Nie lubisz swojej pracy?

Zamyśliła się.

– Dawniej lubiłam, uwielbiałam projektować. Cieszyło mnie tworzenie przestrzeni takiej, jaką sobie wymarzyłam.

– A teraz?

– Ostatnio miałam... inne sprawy na głowie.

Skinął głową.

– Długo mieszkałaś na wyspie?

– Prawie trzy lata. Przeprowadziłyśmy się tu z mamą, gdy odszedł od nas ojciec. Mama wmówiła sobie, że małe miasteczko to idealne miejsce dla dziecka. Bezpieczne.

– Co tylko dowodzi tego, że dranie znajdą się wszędzie.

– Fakt.

– No to jesteśmy – stwierdził. – Pensjonat Cove View. – Skręcił na parking. – Tutaj zatrzymali się Jack i pani Chase.

Napięcie, które towarzyszyło jej, odkąd wyjechała z Abe'em z Seattle, zacisnęło się nagle jak pętla. W końcu zrozumiała, czego się bała. Nie wiadomo dlaczego nagle panicznie bała się spotkania z Madeline. Bez sensu, a jednak tak właśnie było.

Choć zdarzenia pewnej ciemnej nocy połączyły je na zawsze, los pchnął je w różne strony. Ona została niezłą projektantką wnętrz, a Madeline niedawno odziedziczyła sieć hoteli. Były zupełnie innymi osobami niż wtedy, gdy się zaprzyjaźniły. Tak wiele się zmieniło w ich życiu.

Abe skręcił na parking i wyłączył silnik. Spojrzał na nią.

– Bez obaw – mruknął. – Jesteśmy z szefem naprawdę dobrzy w tym, co robimy.

– Nie w tym rzecz. – Odpięła pas bezpieczeństwa. – No, może częściowo. Myślałam właśnie, że w innych okolicznościach pewnie byśmy się z Madeline już nie spotkały, a teraz nasze drogi się krzyżują z powodu wydarzeń z przeszłości. To... dziwne. Może nawet się nie poznamy.

– Tak?

– Osiemnaście lat to kawał czasu. – Pokręciła głową. – Mam teraz inną fryzurę. – No dobra, to słaby argument.

Spojrzał na nią.

– Mnie się podoba.

Nagle poczuła niemal każdy krótki, miodowy włoszek na głowie. Po śmierci Brandona zmieniła w życiu wiele, byle odciąć się od przeszłości. Sprzedała dom, w którym z nim mieszkała, kupiła apartament i ścięła włosy. Fryzjer zapewniał, że z nową fryzurą wygląda młodo i zadziornie, ale nie była tego taka pewna.

– Dzięki – mruknęła.

– Mogę ci udzielić zawodowej rady?

Uśmiechnęła się blado.

– Jasne.

– Nie myśl za dużo.

Otworzył drzwi od swojej strony i wysiadł, obchodząc samochód, żeby przytrzymać jej drzwiczki, ale uprzedziła go i wyskoczyła sama. To w końcu agent ochrony, a nie chłopak czy szofer, stwierdziła. Otwieranie jej drzwi nie mieści się w zakresie jego obowiązków.

Wiatr od zatoki szarpał skraj jej płaszcza. Nadciągał sztorm. Było rano, ale niebo już pociemniało. Dawniej uwielbiały z Madeline energię rodzącej się burzy, teraz jednak widziała w tym zły omen.

Abe wyjął z plecaka jej walizkę i swój plecak. Wyrwała mu rączkę walizki na kółkach. Wzruszył ramionami, ale nie oponował.

Razem szli do drzwi pensjonatu.

– Po śmierci babki nawet nie wysłałam jej kondolencji – martwiła się Daphne.

Do tego stopnia pochłonęły ją własne problemy, że nawet nie zadała sobie trudu, by postąpić zgodnie z wymogami dobrego wychowania.

– I znowu to robisz – zauważył Abe.

– Za bardzo się gryzę?

– Tak.

Przytrzymał jej drzwi.

Wmawiała sobie, że to w porządku – to tylko dobre maniery, a nie oznaka tego, że nie szanuje jego pozycji zawodowej.

Słumiła westchnienie i wciągnęła walizkę do środka. Abe miał rację co do jednego – rzeczywiście za dużo myślała. Ktoś z zewnątrz mógłby uznać, że skupia się na drobiazgach, żeby nie myśleć o innych ważniejszych sprawach – jak choćby to, że niewykluczone, iż dwie znane jej osoby padły ofiarą morderstwa.

Weszła do przytulnego holu pensjonatu Cove View i rozejrzała się po nim fachowym okiem. Drewniany parkiet, belki na suficie, ogień wesoło buzujący na kominku, a do tego mnóstwo ciepłych barw ziemi i przyjemnie zużyte meble. Zza drzwi prowadzących do malej salki jadalnej docierały smakowite zapachy kawy i świeżego pieczywa.

Dochodziła jedenasta i w salce nie było nikogo, nie licząc dwóch osób przy stoliku przy oknie. Nawet w pozycji siedzącej mężczyzna górował nad kobietą. Była drobna i wyraźnie spięta. Mężczyzna wydawał się rozluźniony, ale Daphne wiedziała, że to tylko pozory, bo dostrzegła, jak czujnie wpatrywał się w drzwi wejściowe. Przypominał policjanta albo żołnierza.

Abe skinął mu głową i podszedł do recepcji.

A więc to jest Jack Rayner, pomyślała Daphne. Czyli ta spięta kobieta to Madeline.

Siostra od serca.

Jack odstawił kawę i wstał. Jego towarzyszką postawiła filiżankę z cichym brzękiem, zerwała się na równe nogi i odwróciła do drzwi. Daphne po raz pierwszy zobaczyła jej twarz.

I nagle czas się cofnął. Owszem, zostawił ślady w jej rysach, ale jej oczy... I wiedziała, że Madeline

też ją rozpoznała.

– Daphne.

Madeline ruszyła do niej, początkowo szła, po chwili już biegła.

Daphne puściła walizkę i podbiegła do niej.

– Maddie. O Boże, Maddie. Nie wierzę.

Uściskały się mocno, poruszone cudem tego spotkania. Szczęśliwe.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślała Daphne. Rozpoznałaby ją zawsze i wszędzie.

Madeline cofnęła się o krok i uśmiechnęła szeroko.

– Superfryzura.

Rozdział 17

Żle zniósł scenę w Crab Shack. Mało brakowało, a straciłby panowanie nad sobą, jak dawniej. Musi bardziej uważać. Stawka jest zbyt wysoka.

Xavier schodził wąską ścieżką z urwiska na plażę. Musiał pomyśleć. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem, побыć sam, by ucichła szalejąca w nim burza. Nadciągał sztorm. Fale wściekle waliły o brzeg, wiatr zawodził głośno. Energia w pogodzie współgrała z tym, co czuł.

Był już u stóp wąskiej stromej ścieżki. Z dłońmi w kieszeniach szedł w stronę najdalszego skrawka plaży. Przepelniała go wściekłość; był równie groźny jak burza. Najchętniej wykrzyczałby swój gniew w nadciągającą wicher, ale wolał nie ryzykować. Co prawda wichura zapewne zagłuszyłaby jego słowa, jednak morski wiatr bywa kapryśny. Mogło się wydarzyć, że porwałby jego słowa w górę, aż do domu na urwisku. Ostatnie, czego mu brakowało, to żeby zaczęli go szukać. Musiał побыć sam.

Szedł coraz szybciej, chcąc wyrzucić z siebie gniew.

To wina Raynera, że wczoraj wieczorem mało brakowało, a straciłby panowanie nad sobą. Upokarzający upadek w restauracji to nie był żaden przypadek. Rayner zrobił coś stopą, szybki, niemal niewidoczny ruch. Pewnie sztuki walki. Wyraz jego twarzy, gdy podawał mu rękę, mówił wszystko. Rayner się z niego nie nabijał – o kpinie Xavier wiedział wszystko, bo to jego stała broń. Ale w zimnym spojrzeniu drania nie było drwiny – tylko lodowata obietnica.

W tamtej przerażającej chwili rozumiał, że Rayner wie, kim jest. Raynera nie da się oczarować ani zastraszyć, ani wypłoszyć. A zatem był najbardziej niebezpiecznym przeciwnikiem na planszy.

Xavier przyspieszył kroku. W instytucie wiele się nauczył, kiedy faszerowali go prochami i poddawali tym swoim idiotycznym terapiom. Minęło trochę czasu, zanim wszystko zrozumiał – ci idioci naprawdę liczyli, a może po prostu łudzili się – że uda im się go zmienić. Chcieli, żeby wydawał się normalny, bo dzięki temu uwiarygadniał wszystko, w co wierzyli o sobie.

– Tak, pani Webster, oczywiście, jesteśmy w stanie nauczyć małego Xaviera panowania nad impulsami.

– Problem w tym, pani Webster, że Xavier jest o wiele mądrzejszy niż otaczający go ludzie. Nie rozumie innych, nie ma w nim empatii, i dlatego traci do nich cierpliwość, a to z kolei prowadzi do nieakceptowanych społecznie wybuchów agresji.

– Tak, pani Webster, oczywiście, że możemy pomóc pani synowi. Nowoczesne terapie sprawią, że będziemy w stanie zapewnić mu pomoc i podać lekarstwa, dzięki którym odzyska równowagę emocjonalną i nauczy się nad sobą panować.

Początkowo nie było łatwo, zwłaszcza gdy był mały, ale kiedy w końcu zdał sobie sprawę, że odzyska wolność tylko pod jednym warunkiem – udając normalnego, ugiął się i zaczął pilnie obserwować. Stał się wspaniałym aktorem; ilekroć wcielał się w rolę, zasługiwał na Oscara.

O tak, w instytucie wiele się nauczył.

Oczywiście granie było bardzo męczące. Czasami musiał trochę odpocząć, na chwilę zdjąć maskę i

być sobą. Odkrył hobby, o wiele skuteczniejsze niż leki. Raz, dwa razy do roku urządzał sobie wakacje w jednym z odległych zakątków świata, gdzie śliczne młode kobiety kupuje się i sprzedaje jak tanią biżuterię. Kupował jedną z nich i rozkoszował się katharsis, na poziomie fizycznym i emocjonalnym, nurzając się w seksie i przemocy. Nic tak bardzo nie stawiało go na nogi.

Ogień usprawiedliwiał śmierć i zacierał wszelkie ślady. Ogień tak cudownie oczyszcza.

Te wyjazdy uspokajały go i pozwalały wracać na scenę.

Ostatnio jednak nie było już tak dobrze. Coraz częściej tracił panowanie nad sobą. Coraz trudniej było zakładać maskę. A najgorsze, że rodzina chyba w końcu przejrzała jego strategię.

Trochę to trwało, ale w końcu zrozumiał, że Travis tak naprawdę wcale nie chce, żeby zajmował się kontaktami z mediami w jego kampanii. Nie, Travis po prostu chciał mieć go na oku.

Wyczuwał, że budzi niepokój w całej cholernej rodzinie. Byli bardzo czujni; pewnie przeciwko niemu spiskują, bo to miał być czas Trávisa. Jakkolwiek by było, to Travis jest normalny; to on miał być następcą wielkiego Egana Webstera. Tylko że Travis jest miękki. Słaby.

Naprawdę sądzisz, że będę beczynie stał z boku i patrzył, jak odbierasz to, co mnie się należy? To ja jestem prawowitym dziedzicem, nie ty.

W pewnym sensie fajnie byłoby obserwować, jak miotają się nerwowo, ale to niebezpieczna rozrywka. Musiał być ostrożny.

Zaczęło padać. Xavier puścił się biegiem. I jednocześnie zadawał sobie pytanie:

Dlaczego konsultant z branży hotelowej zna sztuki walki?

Rozdział 18

– Nie mieści mi się w głowie, że spotykamy się w końcu z powodu tamtej historii sprzed lat – powiedziała Madeline.

– To idiotyczne – przyznała Daphne. – Ale wszyscy dorośli mieli wtedy jak najlepsze intencje. Chcieli nas chronić. Po rozmowie z twoją babcią mama była przerażona. Nigdy nie czuła się bezpieczna, wszędzie było za blisko do Cooper Island. Wyobrażasz sobie, że na kilka lat wyładowałyśmy na Florydzie? Mama zresztą została tam do dzisiaj.

– Wiem – mruknęła Madeline. – Pamiętam wyraz jej twarzy, gdy wyjeżdżałyście. Była śmiertelnie przerażona i chciała za wszelką cenę wywieźć cię jak najdalej od tego wszystkiego.

– Podobnie jak twoja babcia.

– Wiem.

Stały w domku Toma. Na łóżku leżały dwie walizki. Plan był prosty – oficjalnie we czwórkę rozglądali się po posesji, żeby dokonać wstępnej oceny i zdecydować, czy warto odnawiać Aurora Point.

W rzeczywistości Jack chciał, żeby szukali wszystkiego, co mogłoby w jakiś sposób wyjaśnić zmiany w zachowaniu Toma w ostatnich miesiącach jego życia.

Jack i Abe sprawdzali szopę. Madeline wiedziała, że Jack nie wyśle ani jej, ani Daphne do środka, chyba że będzie to absolutnie niezbędne.

Daphne rozglądała się po ponurym wnętrzu.

– Sądząc po stanie tego domu, nie myślę, żeby Tom się jakoś szczególnie zmienił przez te lata. Zawsze był zbieraczem, a z czasem te tendencje tylko się nasiliły.

– Babcia powtarzała, że Tom traktuje recykling ze śmiertelną powagą. – Madeline spojrzała na stos winylowych płyt. – Ale zawsze dbał o czystość.

Daphne otworzyła szafę. Jęknęła głośno.

– Jack jest pewien, że to właśnie Tom rozbił ścianę i wyciągnął aktówkę.

– Tak, ale ciągle nie pojmuję, czemu miałyby to zrobić. I dlaczego akurat teraz?

– Bez względu na to, czym się kierował, dzięki temu się spotkałyśmy. I z tego się cieszę.

Madeline odłożyła płyty.

– Nigdy ci nie podziękowałam za to, co dla mnie zrobiłaś tamtej nocy. Byłam w takim szoku, że nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, co się dzieje, a kiedy wróciłam na ziemię, was już nie było.

Daphne uśmiechnęła się.

– Ja tylko pobiegłam po pomoc. Na moim miejscu zrobiłabyś to samo.

Madeline czuła łzy pod powiekami.

– Uratowałaś mnie, a ja dopiero teraz mogę ci podziękować. Nie do wiary.

– No to już podziękowałaś. – Daphne zamrugła szybko i otarła oczy rękawem. – Jezu, Maddie, brakowało mi ciebie. Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy jak bardzo.

– Mnie też. – Madeline uśmiechnęła się z trudem. – A teraz w końcu przestańmy płakać i bierzmy się do pracy.

– Dobra.

– Ty zacznij od tej strony. – Madeline otworzyła szufladę. – A ja od tej.

Daphne uśmiechnęła się.

– Tak jest.

Madeline spojrzała na nią z ukosa.

– Co?

– Nic, pomyślałam o tym, jak przejmujesz kontrolę i wydajesz rozkazy. Już jako dziecko taka byłaś.

Władcza. Urodzona do kierowania.

Madeline przeglądała stertę wyblakłych fotografii.

– Zdziwiłabyś się, ilu osobom działa to na nerwy.

– Czyżby? – Daphne ściągnęła pudło z półki w szafie. – Komu na przykład?

– Mogłabym wymienić całą listę byłych facetów, którzy potwierdzą, że moja władczość bardzo ich wkurza.

– Długa ta lista?

– No cóż, nie krótka. – Madeline przeglądała kolejne szuflady.

– Nie jesteś z tego dumna?

– Nie. – Madeline przekładała zgromadzone latarki. – Niestety, nie jestem femme fatale. Ale mam wielki talent, jak się okazuje. Widzisz, perspektywa odziedziczenia sieci hoteli to wielka zaleta przyszłej żony.

– Och. Rozumiem.

– Ostatni drań chciał, żebym sfinansowała jego badania w terapii małżeńskiej, przy czym jeden z aspektów tych badań dotyczył związku terapeuty z żoną pacjenta, którą także leczył. Powiedzmy, że wyszło na jaw, iż doktor Fleming wcielał w życie to, co badał.

Daphne gwałtownie podniosła głowę.

– Żartujesz.

– Niestety nie.

– Skąd wiedziałaś, że Fleming sypia z pacjentkami?

– Kazałam go sprawdzić. Jak każdego faceta. Zawsze tak robię, babcia na to nalegała.

– Hm. W sumie to niezły pomysł. – Daphne zacisnęła usta. – W dzisiejszych czasach ostrożności nigdy nie za dużo.

– Babcia mówiła to samo.

– A kto konkretnie sprawdzał tego doktora?

Madeline uniosła brwi.

– Zawsze robi to firma zapewniająca ochronę naszej sieci.

Daphne szeroko otworzyła oczy.

– Rayner Risk Management?

– Powiedzmy. Dostałam, czego chciałam, ale usłyszałam, że na tym koniec i na przyszłość mam się zwrócić do innej firmy.

– Jack Rayner ci to powiedział? Tymi słowami?

– Mniej więcej. Taki był sens.

– Ale właściwie dlaczego nie chciał... Och, już rozumiem. – Daphne spojrzała na nią znacząco.

– Tak?

– Pewnie uważa, że sprawdzanie potencjalnych facetów to konflikt interesów.

Madeline upuściła staroświecki aparat fotograficzny, który przed chwilą podniosła.

– Dokładnie to samo mi tłumaczył. Jak na to wpadłaś? Czytasz w myślach?

– Nie, Maddie, ale nie jestem też idiotką. Widziałam, jak na ciebie patrzy. To jasne, że mu się podobasz. Co więcej, myślę, że czujesz to samo. Wyczuwa się napięcie między wami.

Madeline jęknęła.

– To aż tak oczywiste?

– Dla siostry tak.

– Siostry, która mnie nie widziała od osiemnastu lat i nie była świadkiem serii katastrof, jakimi okazały się moje związki. Mówiąc krótko, nawet gdyby nie podejrzania, że każdy zainteresowany mną facet ma na oku moje hotele, muszę przyznać, że mam problem z bliskością. I to zawsze komplikuje sprawę.

– To zrozumiałe w twojej sytuacji. – Daphne zajrzała pod łóżko i skrzywiła się z niesmakiem. – Ale jeśli o mnie chodzi, nie sądzę, żeby Jacka Raynera interesowały twoje hotele.

– Ja też nie sądzę. – Madeline uchyliła wieko pudła z kolejnym aparatem. – Ale zostają jeszcze moje problemy z bliskością.

– Byłaś na terapii?

– Nie. Nie było sensu zwracać się do terapeuty. Wiem, co mnie dręczy, skąd się to wzięło i wiem także, że nie chcę o tym rozmawiać.

– Tajemnica.

Madeline odłożyła pudło i rozejrzała się po zagrożonym pomieszczeniu.

– Tajemnica, którą Tom Lomax postanowił ujawnić, z niepojętych powodów.

– Niekoniecznie. – Daphne wstała. – Może chciał wyjąć ją ze ściany, bo obawiał się, że ktoś obcy dowiedział się, gdzie jest? Może chciał ukryć ją w innym, bezpiecznym miejscu?

Madeline zamysliła się.

– To możliwe. Tom powiedział, że nas zawiódł, ale myślę, że pod koniec majaczył.

Daphne obeszła łóżko i objęła ją serdecznie.

– Z tego, co wiem, wczoraj o mało nie zginęłaś. Wszystko przez tę cholerną aktówkę.

– Nie chodzi tylko o tę cholerną aktówkę. Pozwolę sobie przypomnieć ci o zwłokach pod altanką.

Rozdział 19

Jack omiół wzrokiem wewnątrz niskiej, posępnej szopy.

– Wygląda na cmentarzysko starych, zużytych narzędzi ogrodniczych.

Mdłe słoneczne światło z trudem przedzierało się przez brudne szyby i szopę spowijał półmrok. Powietrze przesycił zapach typowy dla starych garaży – charakterystyczna mieszanka benzyny, oleju i środków czyszczących.

Najdalszy kraniec wypełniały narzędzia ogrodnicze i połamane meble. Jack i Abe stali w przeciwnym końcu, w części, która służyła za warsztat.

W betonowej podłodze był staroświecki kanał mechaniczny. Dawniej zapewne wymieniano tu olej w pojazdach należących do hotelu, Teraz wypełniały go stare materace i poźółkłe abażury.

– To nie cmentarzysko, tylko śmietnisko – zauważył Abe, podniósł ciężki młot i obejrzał go z podziwem. – Śmietnisko pełne skarbów. – Odłożył go. – Czego szukamy?

– Nie mam pojęcia.

Abe skinął głową.

– To jedna z cech, które zawsze w tobie podziwiam, szefie. Twoje profesjonalne podejście do kwestii śledztwa. O tak, szefie, uczę się od ciebie każdego dnia.

– Nie mam pojęcia, czego szukamy, ale mam pytanie – dodał Jack.

– Jakie niby?

– Interesuje mnie, co Edith i Lomax zrobili z samochodem.

Abe spojrział na niego czujnie.

– Z samochodem Portera?

Jack przesunął latarkę na stertę zardzewiałych szczątków wiertarki.

– Wiemy, co zrobili z ciałem i aktówką, ale ani Madeline, ani Daphne nie mają pojęcia, co się stało z samochodem. Wiedzą jedynie, że następnego dnia już go nie było, podobnie jak wszelkich śladów po rezerwacji Portera.

Abe rozejrzał się.

– No dobra. Wiemy też, że nie ukryli go tutaj, w każdym razie nie na zawsze. Nie ma tu żadnego wozu. Zresztą za mało na to miejsca.

– Ale osiemnaście lat temu, gdy hotel działał, miejsce pewnie było. – Jack skierował snop światła na kanał mechaniczny i rząd puszek z olejem. – Wygląda na to, że dawniej Lomax dbał o wszystkie pojazdy.

Abe zajrzał do kanału.

– Czyli mogli tu ukryć wóz Portera na kilka dni, póki nie wymyślili co dalej.

– No właśnie. Ale co można zrobić z autem nieboszczyka na wyspie?

– Zastanów się nad tym, bo ja mam inne pytanie.

– Tak?

– Co jest między tobą a Madeline Chase? – wypalił Abe. – Bo chyba coś więcej niż znajomość

służbowa.

– To skomplikowane.

– No chyba. Nie tak dawno pani Chase chce nas zwolnić i stajesz na głowie, żebyśmy zachowali to zlecenie, a dzisiaj rano widzę was, jak sączyście sobie kawkę jak stare małżeństwo. Irytuje cię zapewne, co mi przeszkadza w tej wizji?

– To nasza klientka, Abe.

– No właśnie. Największa, najważniejsza klientka.

– Do czego zmierzasz?

Abe wbił wzrok w kolekcję kluczy francuskich na szerokim blacie.

– Nie mam pojęcia, szefie.

Jack zerknął na niego. Wydawało mu się, że brat uśmiecha się pod nosem.

– Nie uszło mojej uwadze, że jesteś w dobrej komitywie z Daphne – zauważył Jack.

– Och, sam wiesz, jak to jest. Trochę czasu razem i już mówi się drugiej osobie po imieniu.

– No tak. – Jack rozluźnił się odrobinę. – Co o niej sądzisz?

– Daphne? Jest za chuda.

– Towarzyszysz jej od wczoraj i do tego sprowadza się twoja profesjonalna opinia o Daphne Knight? Że jest za chuda?

– Powinna więcej jeść.

– Jak przypuszczam, nie zauważyłeś niczego, co mogłoby się nam przydać w naszym malutkim śledztwie w sprawie o morderstwo?

– Jej mąż zmarł rok temu.

– Wiem o tym. Z przyczyn naturalnych.

– Tak, ale chyba nie do końca się z tym uporała. – Abe schylił się i wyciągnął plastikowy szlauch spod półki. – Wracając do intrygującego nas problemu; gdybym miał się pozbyć samochodu nieboszczyka, zepchnąłbym go do morza z wysokiego urwiska.

– Moim zdaniem to kiepski pomysł, zwłaszcza na tej wyspie. Pływy są bardzo silne. Istniałoby spore ryzyko, że po sztormie lub podczas odpływu wrak wypłynie na powierzchnię.

– Dobra, racja. W takim razie może Lomax odczekał tydzień lub dwa, pojechał nim na prom i porzucił gdzieś na lądzie.

– Możliwe. – Jack buszował w skrzynce na narzędzia. – Ale zawsze istnieje ryzyko, że ktoś na niego trafi i dotrze do właściciela.

– Fakt. Nie możemy też zapominać, że ktoś mógłby zobaczyć Lomaxa w cudzym samochodzie i zaraz zaczęłyby się plotki. Małomiasteczkowe wścibstwo i tak dalej. – Abe odsunął taczki i przyglądał się sprzętom w kącie. – Masz pomysł, co było w tej aktówce?

– Bez względu na to, co to było, przeraziło Edith Chase i Lomaxa tak bardzo, że woleli zatuszować przestępstwo, które większość sędziów uznałaby za działanie w obronie własnej.

Abe odsunął łopatę tak, żeby widzieć lepiej, co kryje się za roboczym blatem.

– Wiesz, jak to jest w małych miasteczkach: mają swoistą hierarchię. A na jej szczycie stoją zazwyczaj miejscowi bogacze, którzy kontrolują też policję.

– W naszej sytuacji to rodzina Websterów.

– Czyli jeśli zabijasz gwałciciela wnuczki, a potem nie wzywasz policji, robisz to zapewne dlatego, że nie chcesz drażnić Websterów.

– Powoli. Na świecie jest wiele złych ludzi. Mafia. Kartele narkotykowe. Politycy. Terrorysty. – Jack ukląkł, żeby poświecić latarką pod zardzewiałą pralkę. – Ale tak, to mi wygląda na lokalną sprawę.

– Wiemy coś jeszcze?

– Zabójstwo Lomaxa miało wyglądać jak wypadek, w najgorszym wypadku – jak dzieło włamywacza przyłapanego na gorącym uczynku. Ktoś uderzył go w głowę i zepchnął ze schodów.

Są fachowcy, którzy pozorują takie wypadki.

– Ale tutaj i czas gra rolę, i wskazuje lokalne źródło – mruknął Jack. – Niby dlaczego ktoś szukałby tej aktówki akurat teraz, kiedy Travis Webster startuje w wyborach?

– Może ważniejszym pytaniem jest: kto wiedział, że w aktówce może kryć się coś groźnego?

– Jak sam powiadasz, tajemnica, którą zna więcej niż jedna osoba, przestaje być tajemnicą. Jestem pewien, że Daphne milczała. Zaklina się, że nie pisnęła ani słowa, podobnie jak jej matka.

– To samo mogę powiedzieć o Madeline i Edith Chase – zapewnił Jack. – Czyli zostaje Tom Lomax.

– Daphne i Madeline twierdzą, że był odludkiem.

– Który ostatnio się ostrzygł i zaczął golić.

Latarka odbiła się w płaskim metalowym przedmiocie pod pralką. Jack wstał.

– Pomóż mi z tą pralką – mruknął.

Abe pokonał zagraconą przestrzeń i pomógł mu przepchnąć ciężką pralkę. Jack poświecił na metalowy przedmiot.

– Chyba już wiemy, co się stało z wozem Portera – mruknął. – Nadal tu jest.

Rozdział 20

A ty? – zainteresowała się Madeline. Obserwowała, jak Daphne przegląda kolejną stertę starych zdjęć.

– Chodziłaś na terapię?

– Nie. – Daphne odłożyła fotografie na bok. – Z tego samego powodu co ty. Wiedziałam, skąd się biorą moje problemy, ale nie mogłam nikomu o tym powiedzieć. Tylko kilka razy rozmawiałam z mamą. W kółko powtarzała mi, że nic nam nie grozi i że nie mam powodu do zmartwień. Ale ja ciągle miałam senne koszmary. Boże, Madeline. Było tyle krwi i bałam się, że to twoja.

– Nie tylko ciebie trapią koszmary. Do dzisiaj czasami budzę się z uczuciem, że się duszę.

– A ja do dzisiaj nie mogę oglądać thrillerów czy horrorów. – Daphne skrzywiła się. – Mąż nabijał się z moich słabych nerwów.

– Szkoda, że nie znał prawdy. Byłaś bardzo dzielna i uratowałaś mi życie.

– Byłam przerażona.

Madeline spojrzała na nią.

– Słuchaj, gdybyś nie była przerażona, nie byłby to akt wielkiej odwagi. Chciałam ci powiedzieć, że nie tylko byłam ci bardzo wdzięczna przez te wszystkie lata, ale także bardzo cię podziwiałam. Byłaś bohaterką tamtej nocy.

– Bez przesady.

– No właśnie – Madeline wpadła jej w słowo. – Bez przesady.

– Powinnyśmy były wtedy o tym porozmawiać. Nigdy się z tym nie uporałyśmy.

Madeline się skrzywiła.

– Wątpię, czy to w ogóle możliwe.

– A teraz obie mamy problemy.

– A kto ich nie ma? Ja tam staram się pogodzić z moimi. Traktuję je jako swego rodzaju barierę ochronną.

– Niezły pomysł. Może zrobię to samo.

Głos Daphne był zbyt spokojny, zbyt obojętny. Madeline spojrzała na nią.

– Co się stało, Daph?

– Zakochałam się. Wyszłam za męża.

– To się zdarza, jak słyszałam.

– Brandon zmarł rok temu. Guz mózgu.

– Wiem. Jack mówił, że straciłaś męża. Dowiedział się, kiedy szukał cię w Internecie. – Madeline cisnęła na łóżko stertę starych czasopism fotograficznych i serdecznie objęła Daphne. – Tak mi przykro.

– Powinnam patrzeć przed siebie, ale mam wrażenie, że wciągają mnie ruchome piaski.

– Każdy zmaga się z żałobą na swój sposób. Nie ma jednej metody.

– Nie żal nie daje mi spokoju, tylko gniew.

– Rozumiem. Mówi się, że jest kilka etapów żałoby. Gniew jest jednym z nich.

– No dobra, jestem wkurzona, tak. – Daphne przeczesła palcami nastroszone włosy. – Ale nie mogłam nikomu powiedzieć dlaczego. To zbyt upokarzające.

– Jak to?

– Na pogrzebie Brandona zjawiała się kobieta, koleżanka z banku, w którym pracował. Miała na imię Jennifer. Widziałam się z nią kilka razy, odwiedzała go nawet w szpitalu. Podziękowałam jej, że przyszła na pogrzeb. I zauważyłam, że bardzo ją poruszyła jego śmierć.

– Ojej.

– No właśnie, ojej. Kiedy porządkowałam jego rzeczy, trafiłam w jego komputerze na ich korespondencję. Sięgała trzy lata wstecz. Byli kochankami, jeszcze zanim go poznałam. Ona miała wtedy męża. Z maili wynikało, że postanowili przestać się spotykać, gdy mi się oświadczył i przez pewien czas chyba naprawdę dali sobie spokój. Ale nie na długo. Kilka miesięcy później znowu byli kochankami.

– Co za dwulicowy drań.

Daphne zaskoczyła jej reakcja. Uśmiechnęła się ponuro.

– Każdego ranka budzę się z tymi słowami na ustach. Przypomina mi się, ile razy mi mówił, że mnie kocha, zwłaszcza pod koniec.

– Kiedy chciał, żebyś przy nim była, bo nie chciał umierać sam – syknęła Maddie.

– Kiedy poznałam prawdę, poczułam się wykorzystana, inaczej nie sposób tego nazwać. Z jednej strony chciałabym cofnąć czas i wygarnąć mu, co o nim sędzę, a potem wyjść i zostawić go samego, w szpitalu, wśród tych rurek i machin.

– Spójrz na to inaczej. Jego już nie ma, a ty żyjesz nadal. Jeśli chodzi o zemstę, chyba nie ma lepszej niż przeżyć sukinsyna.

Daphne umilkła, wyraźnie oszołomiona. A potem zaczęła się śmiać. Początkowo był to cichy, nerwowy chichot, ale już po chwili śmiała się głośno, aż za głośno. Histerycznie. Po policzkach spływały jej łzy.

Madeline objęła ją serdecznie i trzymała, póki oczyszczający śmiech nie ucichł. Puściła ją, gdy Daphne ponownie wzięła się w garść.

Daphne wyjęła chusteczkę z kieszeni i wytarła oczy.

– O rany – mruknęła. – To było niezłe.

– My, władcze kobiety, wiemy, jak nazywać rzeczy po imieniu.

– W przeciwieństwie do twoich eks, podziwiam to zwłaszcza w kobiecie, a szczególnie w siostrze. Dzięki, Maddie. Jak to się mówi, było mi to potrzebne.

– Proszę bardzo.

Madeline odwróciła się – i zobaczyła oprawioną w ramkę fotografię przy łóżku. Tom oprawił jedynie ulubione prace, te, w których sam widział sztukę. Ale to nie był jeden z jego krajobrazów. Na tym zdjęciu był on sam, młody, przystojny mężczyzna w sile wieku, dumnie preżący pierś w mundurze wojskowym. U jego boku stała ładna uśmiechnięta kobieta. Tom obejmował ją ramieniem charakterystycznym, władczym gestem. Strój kobiety zdradzał, że zdjęcie powstało przed wielu laty.

– Wygląda na to, że nasz Tom miał w przeszłości co najmniej jeden romans – powiedziała.

Daphne zerknęła jej przez ramię.

– Może na odwrocie jest nazwisko albo data. Choć nie wiem, co nam przyjdzie po zidentyfikowaniu jego starej miłości. Najwyraźniej nie ułożyło się między nimi.

– Może ona umarła, a Tom ją opłakiwał do końca swoich dni.

Madeline ostrożnie wyjęła fotografię z ramki i odwróciła zdjęcie.

I wtedy wypadła inna fotografia, ukryta za pierwszą. Zrobiono ją z oddali. Modelka wydawała się nieświadoma, że jest obiektem zainteresowania fotografa. Stała na urwisku przy Aurora Point. Wiatr

bawił się jej jasnymi włosami, ale nie zasłaniał twarzy na tyle, by nie dostrzegły jej rysów.

– Piękna, kimkolwiek jest – szepnęła Daphne. – I zobacz, jak jest ubrana, współcześnie, nie jak ta druga.

Madeline odwróciła fotografię. Na odwrocie widniał napis skreślony ręką Toma – „Ramona”, i data.

– Sprzed sześciu tygodni – powiedziała Madeline. – Myślisz, że Tom miał z nią romans?

– Za młoda dla niego – stwierdziła Daphne.

– A od kiedy niby młode, śliczne kobiety nie interesują starszych panów?

– Fakt. – Daphne się skrzywiła.

Uważnie przyglądały się fotografii.

– Chyba nie wiedziała, że ją fotografuje – orzekła Daphne. – Ciekawe, czy znajdziemy więcej zdjęć tajemniczej Ramony.

Na ganku rozległy się kroki.

– Pewnie Jack i Abe – domyśliła się Madeline. – Może coś znaleźli.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Jack i Abe czekali na ganku.

– Co z wozem Portera? – zapytała.

– Stał tu przez cały ten czas – odparł Jack. – W szopie.

Daphne zmarszczyła brwi.

– Przecież mówiliście, że nie ma tam żadnego wozu.

– Kiedy znaleźliśmy to, wiedzieliśmy, co się stało – odparł Jack.

Podniósł zardzewiały kawałek metalu w znajomym prostokątnym kształcie.

Madeline uniosła głowę. Serce zabiło jej żywiej.

– Wygląda jak stara tablica rejestracyjna.

– Otóż to. – Abe uśmiechnął się. – Podejrzewamy, że Lomax rozmontował wóz Portera w tej szopie.

Część kawałków zakopał, część nadal jest w środku, tyle że uda mi się ustalić właściciela.

Rozdział 21

Louisa uchyliła drzwi do swojego gabinetu, pomieszczenia, które uważała za swój azyl, i weszła do środka, jakby wkraczała do jamy zamieszkaanej przez niebezpiecznego gada. Przez okna sączyło się blade światło deszczowego popołudnia.

Xavier rozpierał się na krześle za jej biurkiem.

– Zapraszam, mamó – uśmiechnął się promiennie. – Tata jest zajęty, konferuje z Nowym Jorkiem. Pomyślałem, że to odpowiednia chwila, żebyśmy pogadali o rodzinnym przyjęciu z okazji urodzin taty, oprócz hucznej imprezy dla wszystkich.

Zamknęła drzwi i przygotowała się wewnątrz. Najbardziej przerażająca była nieprzewidywalność Xaviera.

– Już wszystko zaplanowane – powiedziała. – Rano rozmawiałam z cateringiem z Seattle.

– Wszystko na pewno uda się jak zawsze. – Pochylił się nad biurkiem. Światło biurowej lampy padało na jego długie, szczupłe palce, ale jego twarz była w cieniu. – Moi ludzie dopilnują, żeby w świat poszedł właściwy wizerunek kandydata i jego rodziny. Komunikaty prasowe już prawie gotowe. Zanim będzie po wszystkim, Travis będzie mógł zacząć tryumfalny marsz po mandat. Uwierz mi. Stanę na głowie, by go wybrano.

Louisa w duszy umierała ze strachu. Xavier był najgroźniejszy, gdy najbardziej czarował.

– O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

Opadł na krzesło.

– Wiedziałaś, że w mieście jest Madeline Chase? Spotkałem ją wczoraj w Crab Shack. Była ze swoim, że tak się wyrażę, konsultantem. Idę o zakład, że ją posuwa.

– Madeline chce załatwić sprawę hotelu. Po śmierci babki stał się jej własnością.

– Tak, słyszałem, że kopnęła w kalendarz. – Pokręcił głową, mlasnął językiem. – Nigdy jej nie lubiłem. Ani Toma Lomaxa. To przez nich za pierwszym razem trafiłem do tego pieprzonego więzienia, eufemistycznie zwanego instytutem, prawda?

Tyle jeśli chodzi o naiwną nadzieję, że Xavier zmienił się z upływem czasu; że tym razem nadal bierze leki. Powinna była mieć więcej rozumu w głowie. Matka zawsze zna swoje dzieci.

– Xavier, rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Wiesz, że oboje z ojcem uznaliśmy, że potrzebowałeś pomocy.

– Chcesz powiedzieć, że chcieliście mnie zamknąć, bo obawialiście, że coś zrobię waszemu cudownemu Travisowi.

– Nieprawda. Robiliśmy to, co naszym zdaniem było dla ciebie najlepsze. Musisz przyznać, że po powrocie z instytutu zawsze czułeś się lepiej. Uporałeś się z problemami. Odkąd ostatnio wróciłeś z kliniki, jesteś stabilny... normalny. Po co teraz wracać do przeszłości?

– Bo przeszłość nigdy nie znika, mamó – zachichotał. – Ale oczywiście masz rację. Czuję się dobrze. Tak dobrze jak nigdy. Cudownie, cholernie normalny, oczywiście dzięki troskliwej trosce twojej i ojca.

Niepokój Louisy lada chwila miał się przerodzić w atak paniki. Położyła rękę na brzuchu i powtarzała sobie, że gdy tylko Xavier wyjdzie, pobiegnie do łazienki i zażyje leki uspokajające.

– Xavier, mam dzisiaj mnóstwo pracy – powiedziała. – O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

– Pomyślałem, że może zainteresuje was konsultant towarzyszący Madeline. Niewiele wie o hotelarstwie. Ma firmę ochroniarską. Bardzo małą, pozwolę sobie dodać. Zatrudnia w sumie trzy osoby, z nim włącznie.

Louisa znieruchomiła.

– Jesteś pewien?

– Och, jak najbardziej. Intrygujące, co? No bo niby dlaczego Madeline Case sprowadza ochroniarza, żeby pomógł jej zdecydować, czy sprzedawać Aurora Point, czy nie.

Zrozumiała.

– Chodzi o Toma Lomaxa – szepnęła. – Podejrzewa coś w związku z jego śmiercią.

– Doszedłem do tego samego wniosku. Ciekawe, nie uważasz?

Rozdział 22

Kobieta w recepcji pensjonatu podniosła głowę, gdy do środka weszła Madeline w towarzystwie Daphne, Jacka i Abe'a.

Posłała jej zimny uśmiech.

– Mogę na chwilę prosić? – zapytała oschle.

Madeline podeszła do recepcji.

– Tak?

– Mam dla pani wiadomość. – Podała jej kopertę.

Madeline wzięła ją i spojrzała na eleganckie pismo. Kopertę zaadresowano do niej. Nazwisko nadawcy widniało na odwrocie. Louisa Webster.

Madeline przeszył lodowaty dreszcz. Wsunęła kopertę do torby.

Recepcjonistka odchrząknęła.

– Pani Chase? Obawiam się, że nastąpiła pomyłka w kwestii pani rezerwacji.

– Czyżby? – Madeline uśmiechnęła się chłodno.

– Rano chciała pani przedłużyć rezerwację w naszym pensjonacie dla pani i pani towarzyszy. W pierwszej chwili wydawało mi się, że to będzie możliwe, ale okazało się, że nastąpiła pomyłka. Niestety nie możemy państwa dłużej gościć.

Madeline uniosła brwi.

– Wyrzuca nas pani?

– Na weekend mamy pełne obłożenie. Akurat teraz odbywa się wielka wystawa malarstwa.

W jej szerokim uśmiechu było rozpaczliwe błaganie.

– Więc co pani sugeruje? – zapytała Madeline.

Recepcjonistka zamrugła szybko.

– Słucham?

– Mamy się wyprowadzić, choć rano zapewniła nas pani, że możemy się u was zatrzymać na dłużej – tłumaczyła Madeline cierpliwie. – Więc co nam pani radzi?

Recepcjonistka głośno przełknęła ślinę.

– Zaraz zadzwonię w parę miejsc.

– Super – mruknęła Madeline. – My tymczasem poczekamy tutaj.

Odwróciła się i podeszła do czekającej grupki.

– Co jest? – zapytał cicho Abe.

Jack zacisnął usta. Obserwował recepcjonistkę, rozmawiającą cicho przez telefon.

– To moja wina. Chodzi o to, co się wczoraj wydarzyło w Crab Shack, prawda?

– Niestety tak – przyznała Madeline. – Mówiłam, że wszystkim odbija, kiedy na wyspie zjawia się Xavier Webster. Jest znany z mściwości.

– I lubi ogień, o ile dobrze pamiętam – dodała Daphne. – Co za drań. Właściciele pensjonatu obawiają

się, jak zareaguje, jeśli pozwolą nam tu dłużej mieszkać.

– No właśnie – potwierdziła Madeline.

Recepcjonistka spojrzała na nią niespokojnie.

– Pani Chase?

Madeline podeszła do niej.

– Tak?

– W pensjonatach w miasteczku nie ma miejsc, ale są puste domki letniskowe. Rozmawiałam ze znajomym z agencji nieruchomości. Poleca Harbor House. Duży, stary dom na obrzeżach. Cztery sypialnie i trzy łazienki. Piękny widok. Ale jest pewien haczyk. Wynajmują go na co najmniej miesiąc.

– Biorę – zdecydowała. – Niech pani znajomy przygotowuje umowę najmu. Za godzinę wpadnę do niego załatwić formalności.

– Super. – Recepcjonistka wyraźnie odetchnęła z ulgą. – Doceniam pani wyrozumiałość.

– Nie ma sprawy. – Odwróciła się i spojrzała na pozostałych. – Co powiecie na lunch? Jestem głodna.

Niewiele później siedzieli w Crab Shack. Heather Lambrick przywitała ich i zniknęła w kuchni. Madeline studiowała kartę dań.

– Z knajp już mnie wyrzucano – dumiał Abe. – Ale z hotelu jeszcze nie.

– Harbor House nam wystarczy – zapewniła Madeline.

– Pamiętam ten dom – mruknęła Daphne. – Na początku dwudziestego wieku zbudował go bogacz z Seattle jako dom letniskowy. To piękny budynek, przynajmniej dawniej.

– Przy odrobinie szczęścia nie zabawimy tu długo. – Madeline spojrzała na kelnerkę. – Dla mnie krab Louie.

– Dla mnie nic – dodała Daphne.

Abe spojrzał na kelnerkę.

– Dla tej pani ryba z frytkami. Dla mnie też.

Daphne zmarszczyła brwi.

– Nie jestem głodna.

Jack odłożył menu.

– Ja też poproszę rybę z frytkami.

Kelnerka odeszła, zanim Daphne zdążyła ponownie zaprotestować.

Madeline zerknęła na Jacka.

– Dobrze się czujesz?

Pytająco uniósł brew.

– Tak, a co?

– Zazwyczaj poświęcasz karcie dań więcej uwagi.

– Tę znam na pamięć.

– Myślisz o czymś innym – odgadła.

– O tym, że po jedzeniu zadzwonię do naszej bibliotekarki.

Daphne uniosła brwi.

– Macie bibliotekarkę?

Abe zachichotał.

– Becky Alvarez. Teoretycznie to nasza recepcjonistka, ale ponieważ studiowała bibliotekoznawstwo, każe się tak tytułować.

– Tytuł to ważna rzecz – zauważyła Madeline. Spojrzała na Jacka. – Więc czemu chcesz do niej

zadzwoń?

– Poproszę, żeby w nocy zamówiła nam czujniki ognia i wykrywacze ruchu w naszym nowym domu – wyjaśnił. – Na wypadek, gdyby odwiedził nas ognisty duszek.

Madeline wstrzymała oddech.

– Och.

– Dobrze. – Daphne skinęła głową. Ona chyba także z trudem zaczerpnęła tchu. – Bardzo to dziwne, co?

– Z każdą chwilą dziwniejsze – przyznała Madeline.

Wyjęła kopertę z torebki. Jack, Abe i Daphne obserwowali ją w milczeniu.

Rozerwała ją, wyjęła sztywny arkusik z wytłoczonymi inicjałami Louisy Webster.

Madeline odczytała liścik, nie podnosząc głosu:

Szanowna pani,

słyszałam, że przebywa pani na wyspie w związku z porządkowaniem spadku po swojej babce. Bardzo smutny powód powrotu na Cooper Island po tylu latach, tym niemniej serdecznie panią witamy.

Chciałabym niniejszym skorzystać z okazji i zaprosić panią na prywatne przyjęcie z okazji urodzin mojego męża, w poniedziałek, piętnastego. Będzie to skromne spotkanie u nas w domu, bezpośrednio przed oficjalną imprezą. Chcemy z tego dnia podzielić się pewną wyjątkową nowiną.

Jak rozumiem, przybyła pani z towarzyszem.

Jego także serdecznie zapraszamy.

– Louisa Webster zaprasza cię na przyjęcie urodzinowe Egana? – Daphne niosła brwi. – Co najmniej dziwne.

– To jasne – przyznała Madeline. – Ale najbardziej mnie przeraża to: witamy w domu.

Abe skrzyżował ręce na piersi.

– Jak się domyślam, kiedy tu mieszkaliście, twoja babcia nie przyjaźniła się z Websterami?

– O ile pamiętam, nigdy jej nie zapraszali – odparła Madeline. – No, ale wtedy nie przyjaźnili się z nikim z miasteczka. Bywali tu tylko w lecie i weekendy.

– A teraz nagle zapraszają cię na prywatne przyjęcie – zauważyła Daphne. – Bardzo to dziwne.

– Niekoniecznie – wtrącił się Jack. – Madeline odziedziczyła sieć ekskluzywnych hoteli. Takie osoby jak ona chętnie zaprasza się na przyjęcia, zwłaszcza jeśli szukasz sponsorów do kampanii politycznej.

– No tak – przyznała Daphne. – Czasami zapominam o hotelach. To jasne, że widzą w niej potencjalną ofiarodawczynię.

Madeline usiadła wygodnie.

– Wiecie co? W pewnym sensie to pocieszające.

– Jak to? – zdziwił się Abe.

– Powiedzmy, że nie po raz pierwszy ktoś mi się podlizuje ze względu na majątek. Rozumiem to.

Abe skinął głową.

– Jasne.

Madeline spojrzała na Jacka.

– A ty co powiesz? Mam przyjąć to zaproszenie? Moglibyśmy przy okazji przyjrzeć się bliżej Websterom.

– Cóż, mamy okazję, by rzucić okiem na ich dom – mruknął.

Madeline wpadła w panikę.

- Oszalałeś? Zabraniam ci, słyszysz? Zabraniam tak ryzykować. Nawet o tym nie myśl.
- Urwała, po podeszła kelnerka z talerzami. Kiedy się oddaliła, Abe posłał bratu przeciągłe spojrzenie.
- W tej chwili komputerowiec mówi: Co niby mogłoby się nie udać? – rzucił.
- Daphne najwyraźniej zapomniała, że nie jest głodna, i wbiła widelec w kawałek ryby.
- Często łamiecie prawo? – zapytała, zaciekawiona, ale niezbyt poruszona.
- Nie – odparł Abe.
- Tylko dla specjalnych klientów – dodał Jack.

Rozdział 23

Kiedy Madeline w towarzystwie Jacka weszła do agencji nieruchomości, umowa już na nią czekała. Słowo „podpalenie” nie padło ani razu. Agent był zachwycony, gdy otrzymał czek pokrywający koszt miesięcznego wynajmu. Jack domyślał się, że jest na wyspie nowy i nie znał wszystkich miejscowych tajemnic.

W Cove View czekał na nich z Abe z informacjami na temat tablicy rejestracyjnej, którą znaleźli w szopie. Zebrali się w pokoju Madeline. Mieli godzinę na opuszczenie pensjonatu.

– Samochód był zarejestrowany na niejaką Sandrę Purvis – oznajmił Abe.

Jack widział, jak napięcie Madeline znika. Daphne także wydawała się zawiedziona.

– To bez sensu – mruknęła Madeline. – Może to rejestracja z innego samochodu.

– Ślepa uliczka – mruknęła Daphne. – Tyle jeśli chodzi o pierwszy trop.

– Och, kobiety małej wiary – skarcił je Abe. – Spokojnie, jeszcze nie skończyłem. Sandra Purvis mieszkała w San Diego w Kalifornii, przynajmniej wtedy, gdy wydawano tę tablicę rejestracyjną.

– Gdzie teraz jest? – zapytał Jack.

– W grobie. Pięć miesięcy temu przedawkowała heroinę. Zwieńczenie życia w nałogu.

– Kolejny świeży zgon osoby związanej z naszą zagadką – mruknął Jack.

– Do czego to zmierza? – zastanawiała się na głos Madeline.

– Okazuje się, że Sandra miała brata nazwiskiem Norman Purvis – ciągnął Abe. – Rzeczonny Norman osiemnaście lat temu zaginął bez wieści. Zapadł się pod ziemię. O ile mi wiadomo, nikt nigdy już o nim nie słyszał.

Jack widział, jak Madeline i Daphne wymieniły znaczące spojrzenia.

– To jeszcze nie wszystko. – Abe mówił dalej. – Norman Purvis pracował jako prywatny detektyw, póki nie odebrano mu licencji, bo został aresztowany za namawianie nieletniej do seksu. Poznacie go?

– Jak magik wyciągający królika z kapelusza odwrócił komputer w ich stronę.

Wszyscy spojrzeli na ekran. Stare zdjęcie z policyjnych archiwów przedstawiało mocno zbudowanego łysiejącego faceta o surowym spojrzeniu.

– O Boże – szepnęła Daphne. – To on. Porter.

Madeline w milczeniu wpatrywała się w fotografię.

Jack usiłował zdławić gniew ściskający go za gardło. Ten skurczybyk już nie żyje, powtarzał sobie.

Daphne wyciągnęła rękę i dotknęła barku Madeline, dzięki temu ta otrząsnęła się z transu.

– To on – potwierdziła.

Jej głos zabrzmiał nienaturalnie spokojnie, totalnie płasko.

Jack zdawał sobie sprawę, że obie przygotowały się psychicznie na to nazwisko i związek ze szczątkami samochodu, ale gdy kawałki układanki trafiały na miejsce, wszystko stawało się – może nie tyle bardziej rzeczywiste, bo było już wystarczająco rzeczywiste – tylko bardziej namacalne. Bezpośrednie. Jakby między nimi zjawił się duch, przemknęło mu przez głowę. Wiedział to, bo i jego

nieraz w snach odwiedzał martwy.

– Czyli Lomax naprawdę rozmontował jego wóz – mruknął. – To się nazywa dokładność.

– Mówiłam ci, wszyscy byli przerażeni – zauważyła Madeline.

Spojrzał na Abe'a.

– Coś jeszcze?

– Sprawdziłem adres Purvisa w San Diego – odparł. – Osiemnaście lat temu to był blok mieszkalny, ale dziesięć lat temu zburzono go, by zbudować nowoczesny apartamentowiec.

– Czyli nie ma szans wypytać o Portera dawnych sąsiadów – podsumowała Madeline.

– Purvisa – poprawił Abe odruchowo.

– Dla mnie zawsze będzie Porterem – odparła.

Nikt tego nie skomentował.

Jack spojrzał na brata.

– No dobra, mamy punkt wyjścia. San Diego. Jak stoisz ze sprawdzaniem poszczególnych członków rodziny Websterów?

– Zrobione. – Abe pochylił się nad klawiaturą. – Fundusz hedgingowy Egana ma siedzibę w Bellevue, w stanie Waszyngton. Okazuje się jednak, że zanim przeniósł się do Waszyngtonu i założył finansowe imperium, był maklerem w małej firmie w La Jolla w Kalifornii.

– To bardzo przyjemna dzielnica San Diego – dodała Madeline. – Z którego pochodził nasz Porter-Purvis.

Daphne zmarszczyła brwi.

– Co nam to mówi?

– Na razie nadal usiłujemy dopasować kawałki puzzli – odparł Abe. – Fundusz hedgingowy Webstera od razu odniósł sukces. Właściwie każda inwestycja to był strzał w dziesiątkę. Do dzisiaj jego roczne sprawozdania finansowe wyglądają bardzo obiecująco. Ale przyjrzałem się dokładniej kilku inwestycjom i znalazłem dziwne anomalie.

– Anomalie zawsze są dziwne – mruknął Jack.

– Niektóre z nich łamią złotą zasadę inwestowania, wyglądają zbyt dobrze, by były prawdziwe. – Abe znowu zerknął na ekran. – I tak jest, przynajmniej z tego, co udało mi się ustalić. Ale te anomalie nie mają wpływu na zyski Webstera. W oczach inwestorów nadal jest czarodziejem.

Madeline wbiła dłonie w tylne kieszenie dżinsów.

– Wyłudzenie?

– Nie po raz pierwszy okazałoby się, że pozornie cudowny fundusz hedgingowy wcale nie jest taki wspaniały – zauważyła Daphne.

– Fakt – przyznał Abe. – Ale w tym wypadku ciekawe jest co innego: że Webster tak długo odnosił sukcesy, zanim stracił dotyk króla Midasa.

Jack analizował jego słowa.

– Nie sposób wiecznie być na szczycie. Ten fundusz powstał... ile? Dwadzieścia lat temu?

– Tak. Dwa lata przed tym, jak Porter-Purvis zawitał na wyspę.

– Kiedy go zakładał, był koło czterdziestki – zauważyła Madeline. – Czyli nie był młodym, genialnym dzieckiem finansjery. Mówiłeś, że przedtem pracował jako makler. Jak mu szło?

Abe ponownie zajrzał do notatek.

– Nieźle, przynajmniej w ostatnim roku pracy. Przedtem, z tego, co udało mi się ustalić, raczej średnio. Ale miał imponującą listę klientów.

– To mogę sobie wyobrazić – rzuciła Madeline. – Jeśli chodzi o charyzmę i urok, wygrał genetycznego totolotka. Ostrożnie podchodzi do pracy w handlu albo w polityce. A ponieważ początkowo zapewne nie

miął pieniędzy na politykę, została mu sprzedaż.

Jack oparł łokcie na stole.

– Przez wiele lat nie wyróżniał się niczym. A potem nagle, dwadzieścia lat temu, przenosi się do Waszyngtonu, zakłada własny fundusz hedgingowy i zmienia się w finansowego cudotwórcę. A niedługo później prywatny detektyw, który stracił licencję ze względu na słabość do młodzieńskich dziewcząt, zjawia się na Cooper Island pod fałszywym nazwiskiem.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego.

Musimy chyba ustalić, co takiego sprawiło, że tak nagle odwrócił się los Webstera – stwierdził Jack.

– Poszperam dalej – zdecydował Abe. – Ale w sieci chyba więcej nie znajdę. Powinienem raczej pogadać z ludźmi, którzy znali Webstera jeszcze w La Jolla, co?

– Tak – przyznał Jack. – Poszukaj jego starych znajomych. Kochanek. Kogoś, kto go dobrze znał.

Daphne wyprostowała się gwałtownie. Nerwowo bębniła palcami w stół.

– Pojadę z tobą, Abe.

Teraz wszyscy patrzyli na nią.

Abe pierwszy odzyskał mowę.

– Co?

– Tu, na wyspie, do niczego się nie przydam – wyjaśniła. – Ale umiem rozmawiać z ludźmi. W mojej branży trzeba sobie radzić z różnymi typami. Analizując czyjś styl, dowiaduję się wiele o jego osobowości.

– Moim zdaniem to bardzo dobry pomysł – stwierdziła Madeline powoli.

Daphne wydawała się zadowolona, a Abe, zdaniem Jacka, był dziwnie uśmiechnięty.

Więc z kim tu dyskutować?

– Dobra – mruknął. – Jedźcie. Nie mamy czasu, żeby czekać na prom. Jedźcie do mariny i wynajmijcie wodolot do Seattle.

Rozdział 24

Ramona Lomax czekała na nich na podjeździe za domkiem Toma. Siedziała za kierownicą małego szarego samochodu. Otworzyła drzwi od strony kierowcy, opuściła jedną nogę na ziemię.

Jack zatrzymał suwa. Widząc samochód w tylnym lusterku, Ramona wysiadła, ale trzymała się blisko swojego wozu, jakby była gotowa w każdej chwili wskoczyć do niego z powrotem.

Zadzwoniła rano, gdy Madeline rozkoszowała się najlepszą jajecznicą, jaką w życiu jadła. Jack usmażył ją na wiekowej żeliwnej patelni, którą wynalazł w kredensie w Harbor House. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Już miała skomentować jego dziwną i chyba nienaturalną słabość do antycznego naczynia, gdy rozdzwonił się jej telefon.

Kobieta po drugiej stronie wydawała się zdyszana, nerwowa, przerażona:

– Nazywam się Ramona Lomax. Muszę z panią koniecznie porozmawiać. Chodzi o mojego dziadka.

Madeline przyglądała się Ramonie przez przednią szybę.

– To ta kobieta z fotografii w domku Toma.

– Zapisz numer rejestracyjny samochodu – polecił Jack.

Wyjęła z torebki notes i długopis i spełniła polecenie.

– Załatwione. Jest naprawdę śliczna. Nic dziwnego, że Tom zaczął się golić. Pewnie był z niej bardzo dumny i chciał, żeby i ona się go nie wstydziła.

Tego dnia zebrała długie jasne włosy w koński ogon. Obcisłe dzinsy podkreślały długie nogi. Obcisły był także kaszmirowy sweterek. Skórzana kurtka wyglądała na cudownie miękką. Słoneczne okulary zdobiło logo znanego projektanta.

Jack przyglądał się jej, gdy odpinała pas bezpieczeństwa.

– Sili się na luz, ale jest bardzo spięta.

Madeline zwróciła uwagę, że wygląd Ramony nie zrobił na nim takiego wrażenia, jak zapewne na większości mężczyzn na jego miejscu. Pozwoliła sobie na chwilę satysfakcji, ale zaraz ją zdławiła.

– Pewnie umiera ze strachu – potwierdziła. – Obawia się, że jej dziadka zamordowano w związku z czymś, co wydarzyło się tu przed laty i czuje, że nie może iść na policję. Jack, to przełom, na który czekaliśmy.

– Może.

– Słyszę brak entuzjazmu.

– Słyszałaś, że pewne rzeczy są zbyt dobre, by były prawdziwe? Spisałaś te numery?

– Tak. – Schowała notes do torby.

– Przekonajmy się, o co w tym chodzi – mruknął.

Uchylił drzwi i wysiadł. Madeline sama otworzyła swoje i wyskoczyła z wozu.

Ranny deszcz już ustał, ale nadciągał kolejny. Wiatr przybierał na sile. Lunie, i to wkrótce.

– Ramona Lomax? – Jack nie marnował czasu.

Ramona drgnęła, słysząc jego głos.

- Tak. – Skoncentrowała się na Madeline. – Madeline Chase?
- Tak. A to Jack Rayner. Bardzo mi przykro z powodu pani dziadka.
- Pani go znalazła, prawda?
- Tak.

Ramona schyliła głowę, wbiła wzrok w ziemię. Usiłowała zapanować nad sobą.

– Podobno zginął, bo przyłapał na gorącym uczynku włamywacza albo włóczęgę – szepnęła. Słyszeli drżenie w jej głosie.

– Tak twierdzi policja – zgodził się Jack. – Zapewne pani z nimi rozmawiała.

– Nie. – Ramona głęboko zaczerpnęła tchu. – Chciałam, ale... boję się. Tom... dziadek... mówił, że gdyby coś mu się stało, mam udawać, że nigdy go nie znałam. I że pod żadnym pozorem nie wolno mi zwracać się do policji na Cooper Island.

– Wspominał dlaczego? – zainteresował się Jack.

– Nie. Był bardzo skryty. Dopiero się poznawaliśmy. Nie chciał rozmawiać o przeszłości.

– Jak to się stało, że go pani odnalazła? – zapytała Madeline.

– Dopiero kilka miesięcy temu dowiedziałam się o jego istnieniu. Po śmierci ojca trafiłam na fotografie jego matki, mojej babki i Toma. Było jasne, że mieli romans. Zaszła w ciążę, ale wyszła za innego. Nawet jej mąż nie znał prawdy. To jeden z tych rodzinnych sekretów. W każdym razie moi rodzice nie żyją i postanowiłam odnaleźć dziadka, którego nigdy nie miałam. Nie było łatwo, zapewniam.

– Dlaczego pani to mówi? – zdziwiła się Madeline.

– Zmienił nazwisko. Nie powiedział dlaczego, tylko że w przeszłości działy się różne rzeczy. Byłam szczęśliwa, że go znalazłam, a on wydawał się równie podekscytowany. Mówił, że nie miał pojęcia o moim istnieniu.

– Skłamałabym, mówiąc, że dobrze znałam twojego dziadka – zaczęła Madeline. – Chyba nikt go tak naprawdę nie znał. Był samotnikiem, a wyjechałam z wyspy jako mała dziewczynka. Ale zapamiętałam go jako dobrego człowieka i wiem, że moja babcia darzyła go sympatią i szacunkiem.

– Dziękuję. To dla mnie wiele znaczy.

– Skąd pomysł, że jego śmierć to nie wynik spotkania z włamywaczem? – zainteresował się Jack.

Ramona z trudem panowała nad sobą. Podniosła głowę, wyprostowała ramiona.

– Tuż przed śmiercią pokazał mi pudełko pełne starych wycinków i zdjęć. Powiedział, że gdyby coś mu się stało, mam się skontaktować z Edith Chase, właścicielką sieci Sanctuary Creek Inns. Ledwie usłyszałam o jego śmierci, chciałam ją odnaleźć i wtedy okazało się, że ona także nie żyje, a stery firmy przejęła jej wnuczka. Nie wiedziałam, co robić, dlatego odezwałam się do ciebie, Madeline. Zdziwiłam się, że jesteś tutaj, na wyspie.

– Gdzie to pudełko z wycinkami? – Jack przeszedł do rzeczy.

Ramona przyglądała mu się podejrzliwie, zaraz jednak spojrzała pytająco na Madeline.

– W porządku – zapewniła Madeline. – Jack to mój przyjaciel. Moja babcia mu ufała, ja także.

Ramona nie wydawała się przekonana, ale w końcu wzruszyła ramionami.

– Twoja decyzja. Wiem tylko, że dziadek nalegał, by to pudełko trafiło tylko i wyłącznie w ręce twoje i twojej babki. Ściągnęłam cię tutaj, bo nie chcę być jedyną osobą, która wie, gdzie jest. Rozumiesz coś z tego? Chyba udzieliła mi się paranoja dziadka.

– Gdzie jest to pudełko? – zapytała Madeline.

– W szopie, dziadek je tam trzymał. Nie ma w nim zbyt wiele. Stara metalowa skrzynka pełna wycinków i fotografii. Najwyraźniej uważał, że są bardzo ważne i groźne, choć nie pojmuję, czemu tak sądził. I wcale nie chcę tego wiedzieć.

Ruszyła w stronę szopy. Madeline i Jack poszli za nią.

Jack podszedł bliżej do Madeline.

– Załatwię to.

– Nie. – Wyprostowała się. – To moja sprawa. Muszę to zobaczyć.

Chyba rozumiał.

– Dobrze – mruknął.

– Muszę zdecydować, czy wystawić hotel na sprzedaż, czy go wyremontować – zagaiła Madeline do Ramony. – Ale i tak będę musiała opróżnić domek Toma. Miałam zamiar wyrzucić jego rzeczy, nie wiedziałam, że ma wnuczkę. To zmienia postać rzeczy. Teraz wszystko należy do ciebie. Zapewne zechcesz to przejrzeć i zdecydujesz, co zachować, co wyrzucić.

Ramona pokręciła głową, smutna i rozbawiona zarazem.

– Dziękuję. Jedną z pierwszych rzeczy, których się o nim dowiedziałam, to fakt, że był zbieraczem. Większość jego skarbów można spokojnie wyrzucić. Tylko kilka przedmiotów miało dla niego jakąś wartość, jak te podpisane zdjęcia.

– Oczywiście – mruknęła Madeline.

Ramona spojrzała na nią.

– Wyraży współczucia, ty też straciłaś babcię. Przepraszam, że dopiero teraz o tym mówię, ale do tego stopnia pochłania mnie moja sytuacja, że...

– To zrozumiałe.

Resztę drogi pokonały w milczeniu. Madeline czuła napięcie emanujące od Jacka i powstrzymywała się, by co chwila na niego nie zerkać. Nie było sensu starać się wyczytać coś z jego twarzy. Był nieprzenikniony.

Doszli do szopy. Madeline podała mu klucz do kłódki. Otworzył ją.

Drzwi ustąpiły ze zgrzytem zardzewiałych zawiasów.

Madeline zawahała się. Powróciły wspomnienia. Nic się nie zmieniło, pomyślała. Zapach benzyny i smaru był jeszcze silniejszy niż tamtej nocy. Wspomnienia przybierały na sile. Serce biło jej coraz szybciej. Oddychała z trudem. Czuła, że lada chwila za gardło ścisnie ją stary znajomy – strach, rozpacz i bezradność.

Ramona weszła do środka, zatoczyła łuk ręką.

– Wyobrażacie to sobie? Tyle śmieci. Sześćdziesiąt lat rupieci w jednym miejscu.

Madeline wpatrywała się w ciemność, jakby patrzyła w przepaść. Póki Jack się nie odezwał, nie zdawała sobie sprawy, że zrobiła zaledwie jeden krok od drzwi.

– Poczekaj tutaj – zdecydował. Zdjął okulary przeciwsłoneczne. – Pójdę po tę skrzynkę.

Ramona zerknęła za siebie. Zmarszczyła brwi.

– Dobrze się czujesz?

Troskliwość Jacka i nagłe zdziwienie Ramony podziały na nią jak kubeł zimnej wody. Dam radę, pomyślała. Nie mam już dwunastu lat. A tamten drań nie żyje.

– Tak – odparła. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i weszła dalej w mrok. – Czekałam, aż oczy przywykną do ciemności. Strasznie tu ponuro.

– Mam latarkę – odezwał się Jack. Wyjął ją z kieszeni i spojrzał na Ramonę. – Gdzie pudełko?

– Pokażę wam.

Prowadziła ich coraz dalej w głąb pomieszczenia, wśród stert metalu, wiekowych pralek, obok narzędzi ogrodniczych i połamanych mebli.

Jack ponownie zerknął na Madeline. Wiedziała, że szacuje jej stan. Łypnęła na niego groźnie i z trudem wzięła się w garść.

Zrozumiał. Bez słowa ruszył za Ramoną w ciemność. Madeline szła za nim i starała się nie patrzeć na

stos worków w kącie. Tych przesiąkniętych krwią Portera nie ma już dawno, upominała się. Tom zakopał je razem z ciałem.

Ramona zatrzymała się przy stercie starych mebli hotelowych. Po jednej stronie krzesła piętrzyły się aż pod sufit. Po drugiej widniały połamane stoliki i biurka. Między nimi wiała się wąska ścieżka.

– Pudełko jest tam – wskazała.

Jack skierował snop światła w tamtym kierunku i Madeline zobaczyła staroświecką metalową kasetkę na drewnianej półce.

– Idę po nie – rzucił Jack.

Ramona odsunęła się, zrobiła mu miejsce, by wszedł w labirynt mebli.

Jack szedł w stronę kasetki. Ramona zmarszczyła nos.

– Poczekam na zewnątrz – powiedziała. – Niedobrze mi od tego zapachu.

Madeline stanęła bokiem, by ją przepuścić. Ramona oddalała się pospiesznie.

Madeline nie zwracała na nią uwagi. Widziała jedynie metalową skrzynkę.

Jack odłożył latarkę na bok i wyciągał obie ręce po kasetkę.

Madeline usłyszała trzask i nagły zgrzyt. Za skrzynką coś błysnęło. Usłyszała odgłos szybkich kroków.

Ramona gnała do drzwi.

Jack upuścił skrzynkę, porwał latarkę, odwrócił się, biegł do niej. Bardzo szybko.

– Uciekaj – rzucił cicho i władczo. – To zasadzka.

Nie protestowała. Ale już kiedy odwróciła się na pięcie i biegła między stertami mebli, wiedziała, że jest za późno.

Drzwi zatrzasnęły się i wewnątrz spowiała ciemność.

Madeline usłyszała stłumiony zgrzyt zamka i wiedziała, że Ramona zamknęła ich na klucz.

Rozdział 25

Pomylił się i teraz Madeline miała za to zapłacić. Fatalna chwila, żeby nawalić, pomyślał.

– Mamy tu mnóstwo narzędzi – zauważyła. – Wyważymy drzwi.

– Nie mamy na to czasu – syknął. – Wskakuj do kanału. Lada chwila to wszystko wybuchnie.

– Co?

– Dalej.

Pchnął ją w stronę prowizorycznego garażu. Tylko tu mieli szansę przeżyć nadciągający wybuch.

Iskra w ciemności, gdy dotknął kasetki, uświadomiła mu, jak bardzo wszystko spieprzył. W tej chwili ogień mknął po nasączonym benzyną sznurze wijącym się wśród pudeł. Tylko przez moment widział wielki metalowy kontener pełen butli z propanem, ale to wystarczyło. Umiał rozpoznać bombę domowej roboty.

Dobrze chociaż, że Madeline nie zadawała dalszych pytań. Była już przy kanale. Zbiegała po wąskich stopniach.

Był tuż za nią, cisnął latarkę na bok, podszedł do sterty materaców na dnie.

– Pomóż mi – sapnęła. – Musimy się nimi przykryć. Będzie morze odłamków.

Nie pytała o nic. Chwyciła pierwszy z brzegu, on sięgnął po drugi. Materace, stare, nie były tak ciężkie jak te nowoczesne.

Ściągnęli je na siebie.

– Właż – polecił.

Madeline niezdarnie wślizgnęła się pod spód. Jack ściągnął na nich jeszcze jeden i uznał, że więcej lepiej nie ryzykować.

Dołączył do niej, objął ją z całej siły, chcąc osłaniać ją też swoim ciałem.

– Ramona – sapnęła.

– Tak.

– Suka.

– Jasne. Uszy.

Posłusznie zakryła je dłońmi. Zrobił to samo.

Wybuch wstrząsnął pomieszczeniem. Siła eksplozji potwierdziła prawa fizyki. Kanał ich chronił, ale ziemia drżała w posadach, a huk ogłuszał.

A potem posypał się na nich deszcz odłamków.

Zdawał się trwać bez końca, choć w rzeczywistości ustał po sekundzie czy dwóch.

Jack wiedział, że ogień dopiero nabiera rozpędu.

Zrzucił z siebie materace, pomógł Madeline wstać.

– W porządku? – zapytał.

– Tak. – Pokręciła głową. – Ale dzwoni mi w uszach. – Znieruchomiała, widząc skutki eksplozji. – O Boże.

Padają im na głowy, bo siła wybuchu zerwała dach i zniszczyła trzy z czterech ścian.

Pierwsze, co zobaczył, to że samochód Ramony zniknął.

Powietrze wypełniał ciemny gęsty dym.

– Chodźmy – zdecydował. – Tu wszędzie jest mnóstwo łatwopalnych substancji. Zakryj usta i nos, lepiej nie wdychać tych oparów.

Madeline zakryła twarz rękawem i weszła na stopnie.

– Samochód – zaczął.

– Ramona?

– To wyspa. Niby dokąd ucieknie? – Zerknął na zegarek. – Najbliższy prom odbija dopiero za kilka godzin. Mamy numer rejestracyjny i szczegółowy rysopis. Jeśli miejscowi gliniarze jej nie znajdą, będą musieli podać naprawdę przekonujący powód.

Kiedy dopadli do suwa, ogień rozszalał się na dobre. Madeline wsiadła do wozu. Jack widział, jak drży.

– Adrenalina – wyjaśnił. – I szok.

– Coś takiego.

Obszedł samochód, usiadł za kierownicą, sięgnął po telefon i zadzwonił pod numer alarmowy, opisał całą sytuację i rozłączył się, zanim padły kolejne pytania.

Razem obserwowali szalejące płomienie.

– Do hotelu raczej nie dojdzie – stwierdził w końcu. – Za dużo roślin po drodze.

– Nie mieści mi się w głowie, że ktoś chciał nas zamordować bombą domowej roboty – szepnęła.

– Tak? Bo mnie jak najbardziej.

– Co powiemy policji? – zapytała.

– Prawdę.

– Ależ to niewiarygodna historia. Kobieta, która podaje się za wnuczkę Toma Lomaxa, chce się ze mną spotkać, bo ma mi coś do pokazania w szopie. Wchodzimy do środka i uruchamiamy eksplozję. Z trudem wychodzimy z tego z życiem, tylko dzięki twojej przytomności umysłu, ale tajemnicza kobieta znikła bez śladu.

– Co nie stawia w dobrym świetle mojej przytomności umysłu, co?

– Jack, uratowałeś nam życie. – Wpatrywała się w płomienie. – Ale kto nam uwierzy?

– Policja z Cooper Island. Taką mam nadzieję.

– Po wybuchu nie będzie żadnych dowodów.

– Nie – przyznał. – Żadnych dowodów.

– W takim razie już wiem, czemu Tom wyjął aktówkę ze ściany pokoju dwieście dziewięć. Cudownie odnaleziona wnuczka Ramona przekonała go, że to niezbędne.

Zaskoczył sam siebie nagłym śmiechem.

Madeline zmarszczyła brwi.

– Co znowu?

– Ty. – Pokręcił głową. – Jesteś niesamowita. Ledwie wyszłaś z życiem z zamachu, a już bierzesz się do roboty. Pewnie masz rację. Cudem odnaleziona wnuczka tkwi w tym po uszy.

– Naprawdę myślisz, że to jego wnuczka?

– Myślę co innego – mruknął. – Że ktoś doszedł do wniosku, że cudem odnaleziona wnuczka najprędzej skłoni Lomaxa do rozmowy o tamtej nocy, gdy zginął Porter-Purvis. Co nasuwa kolejne pytania.

Madeline zerknęła na niego.

– Ktoś podążał tropem Portera na wyspę, do hotelu Aurora Point. Ktoś zorientował się, że osiemnaście lat temu dotarł aż tutaj.

W oddali rozległo się wycie syren.

Rozdział 26

Od piętnastu minut prowadzę badania terenowe i z prawie stuprocentową pewnością mogę stwierdzić, że w La Jolla występują tylko dwa typy psów – oznajmił Abe z ustami pełnymi rybnego taco. – Schroniskowiec i Superekskluzywny Pies Wystawowy.

Daphne upiła łyk shake'a i przyglądała się starannie ostrzyżonemu terierowi brykającemu na końcu smyczy. Mężczyzna na drugim jej końcu nie biegł, co mu wcale nie przeszkadzało paradować w drogim stroju treningowym i równie kosztownych specjalistycznych butach.

Teriera szybko doganiał potężny stwór o bliżej nieokreślonym drzewie genealogicznym. Równie dobrze mógłby mieć na szyi tabliczkę z napisem: „ja ze schroniska, a ty?” Kobieta ze smyczą w dłoni sunęła na rolkach. Miała długie jasne włosy. Daphne mogłaby przysiąc, że uśmiechnęła się pogardliwie, gdy mijała teriera i jego człowieka w stroju biegacza. Obaj udawali, że nie widzą blondynki i kundla.

Daphne zamieszała shake'a słomką.

– Masz rację, tylko dwa typy, ale każdy w swoim stylu. Jakkolwiek by było to południowa Kalifornia.

Choć nagle znalazła się w niepokojącej, dziwacznej sytuacji, siedzenie na parkowej ławce w towarzystwie Abe'a sprawiało jej niespodziewaną przyjemność. Kalifornijskie słońce stanowiło miłą odmianę po chłodzie Cooper Island.

Zajadali lunch i obserwowali biegaczy, rolkarzy i psiarzy, mijających ich na nadbrzeżnej promenadzie. Już dawno nie czuła się w towarzystwie mężczyzny równie dobrze jak z Abe'em. Poprzedniej nocy znowu spała jak dziecko, ze świadomością, że on czuwa po drugiej stronie wewnętrznych drzwi.

Nie był w jej typie, to pewne. Zawsze podobali jej się mężczyźni, którzy jak ona kochali design, w każdej formie. Mężczyźni, którzy doceniali jej umiejętność zagospodarowania przestrzeni tak, by odzwierciedlała gust i charakter klienta. Mężczyźni, którzy cenili sztukę, mężczyźni, którzy ubierali się z klasą.

Jak Brandon.

Z tego, co wiedziała, jedyna sztuka, która budziła zachwyt Abe'a, to talent programisty komputerowego do pisania algorytmów. Nie, absolutnie nie był w jej typie, a jednak z jakiegoś powodu dobrze jej się siedziało z nim w słońcu.

Za promenadą rozciągała się piaszczysta plaża i lśniąca wody Pacyfiku. Było jeszcze za chłodno, by wylegli tłumnie miłośnicy opalania, a fale za niskie, by zjawili się surferzy, ale tu, w południowej Kalifornii, każdego dnia warto posiedzieć przy plaży i obserwować ludzi.

Zdumieniem napawał ją także fakt, iż smakował jej shake, którego Abe jej zamówił. Sprzedawca zapewniał, że zrobiono go z mleka od szczęśliwych krów, które w życiu nie widziały ani hormonów, ani antybiotyków.

– O czym myślisz? – zapytał Abe.

– O szczęśliwych krowach i modnych psach, ale teraz o Maddie i Jacku.

– Nie martw się, zaopiekuje się nią.

– Chyba jej bezpieczeństwo bardzo leży mu na sercu.

Abe skinął głową. Zamyślił się.

– To zrozumiałe. Sanctuary Creek Inns to nasz największy, najważniejszy klient. Jack chciał mieć oko na wszystko.

Daphne zamieszła shake'a.

– Widziałeś, jak na nią patrzy, ilekroć jest w pobliżu?

Abe zmarszczył brwi.

– Jak? Z natury jest podejrzliwy. To u niego odruch, Wiesz chyba, że pracował w FBI.

– Na miłość boską, Abe, nie patrzy na nią podejrzliwie, tylko z zainteresowaniem. To co innego.

– I tu się mylisz – poprawił Abe ze śmiertelną powagą. – Jest podejrzliwy z tego właśnie powodu.

– Bo mu się podoba?

– Jest z tego powodu podwójnie ostrożny. Podejrzliwy.

– Czemu?

– Bo to Jack. – Wbił zęby w taco. – Nie jest zbyt uczuciowy. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest pozbawiony uczuć, bo nie. Ale nie okazuje ich zbyt często. A ilekroć to się zdarza, czuje się z tym nieswojo.

– Czyli jest podejrzliwy wobec wszystkiego, co budzi w nim uczucia? No dobra, w pewien dziwaczny sposób to się nawet trzyma kupy.

– Ma też swoje zasady. Nigdy nie sypia z klientkami.

– Nie sądzę, żeby Maddie sypiała z pracownikami, ale wydaje mi się, że teraz wszystko jest inaczej.

Co byś powiedział na ich romans?

– Że to ich sprawa. A także, że zapewne nie potrwa długo – urwał. – Niestety.

– Skąd to przypuszczenie?

Wzruszył ramionami.

– Jack nigdy nie wiąże się na długo, odkąd narzeczona go zostawiła kilka lat temu. Właściwie od tego czasu chyba nigdy się nie związał. Mama ciągle suszy mu głowę, żeby w końcu wyszedł ze skorupy i wrócił do świata żywych. Obawia się, że ma problem z bliskością, choć moim zdaniem w tej chwili koncentruje się na firmie. Bo widzisz, kiedy Jack nad czymś pracuje, nie widzi świata poza tym.

– Takie odniosłam wrażenie.

– Jest jak taran, nie sposób go powstrzymać. Ten, kto stanie mu na drodze, ma do wyboru: uskoczyć albo wskoczyć na pokład. – Abe cisnął papierek po taco do kosza na śmieci. – Dość o Jacku i Madeline.

Porozmawiajmy o nas.

Poczuła dziwny dreszcz u nasady karku.

– O nas?

– Mamy rozmawiać z ludźmi, zapomniałaś? Musimy mieć jakąś legendę.

Dreszcz rozkoszy zniknął, ale zastąpił go przypływ adrenaliny. Dopija resztkę shake'a.

– No tak – mruknęła. – Legenda.

W tej chwili rozdzwonił się telefon Abe'a. Zmarszczył brwi, patrząc na monitor.

– Nic jeszcze nie wiem, Jack. Dopiero zaczynamy. – Chwila ciszy. – O cholera. Nic wam nie jest?

Daphne znieruchomiała.

– Co się stało?

Spojrzał na nią.

– Mało brakowało, a Jack i Madeline zginęliby dzisiaj rano w wybuchu i pożarze.

– O Boże. – Wpatrywała się w jego telefon. – Maddie? Jesteś tam?

– Tak i nic mi nie jest.

Abe położył telefon na ławce i wcisnął tryb głośnomówiący. Jack opowiadał wydarzenia poranka spokojnym, beznamiętnym głosem, który mroził Daphne krew w żyłach.

– Robi się coraz ciekawiej – zakończył Jack.

Rozdział 27

Na pewno nic wam nie jest? – zapytała Daphne po raz trzeci czy czwarty.

Madeline spojrzała na telefon na kuchennym stole. Jack włączył tryb głośnomówiący i opowiadał o porannych wydarzeniach takim samym tonem, jakby wspominał o minimalnym spadku cen na giełdzie. Kiedy skończył, przechadzał się po wielkiej, staroświeckiej kuchni i słuchał rozmowy obu kobiet.

– Zależy, co rozumiesz przez: w porządku – powiedziała Madeline. – Fakt, jestem lekko poruszona, ale my, kobiety biznesu, szcycimy się tym, że zawsze ze wszystkim sobie radzimy.

– Bomba domowej roboty to nie byle co – zauważył Abe. – Opowiedz mi o niej, Jack.

Jack zatrzymał się i spojrział na telefon.

– Prosta, ale skuteczna. Sięgając po kasetkę, uruchomiłem zapalnik, który skrzesał iskłę, a ta zapaliła sznur nasączony benzyną. Sznur prowadził do sterty pustych pojemników na propan, takich jak w przenośnym grillu. Stały w kałuży benzyny.

– Kanister propanu nigdy nie jest pusty – zauważył Abe. – Zawsze zostaje odrobina gazu, a jest on bardzo wybuchowy w odpowiednich warunkach.

– Ktoś wiedział, co robi, to pewne – zauważył Abe. – Co na to policja?

– Badają wybuch, ale nie bardzo jest co badać – przyznał Jack. – Pewnie uznają to za podejrzaną pożar, i na tym się skończy. Babka Madeline nie ubezpieczyła hotelu, więc inspektor ubezpieczeniowy nie będzie niczego kwestionował.

– A policja? – Daphne była oburzona. – Przecież na wyspie jest jeszcze niedoszła morderczyni! Ramona Lomax!

– Rozmawialiśmy z szeryfem Dunbarem – odparła Madeline. – Jest nowy, nie pamiętam go z dawnych czasów. Niewiele o nim wiemy. Powiedzieliśmy mu, co wiemy: że kobieta podająca się za wnuczkę Toma Lomaxa chciała nam pokazać stare dokumenty, które trzymał w szopie.

– Szukają jej samochodu, przy wjeździe na prom będzie czekał wóz patrolowy – dodał Jack. – Ale okazuje się, że na wyspie jest mnóstwo miejsc, gdzie można porzucić samochód. Wiemy jedynie, że nie wsiadła na ostatni dzisiaj prom.

– A jakieś robocze teorie władz? – zainteresował się Abe.

– Dunbar chyba naprawdę chce znaleźć Ramonę – stwierdził Jack. – Ale to małe miasteczko o ograniczonych zasobach, a teraz ma na głowie niewyjaśnione morderstwo i podpalenie. To go przerasta, delikatnie mówiąc.

– Gdybyście nie przeżyli, uznaliby wybuch za nieszczęśliwy wypadek – zauważył Abe. – Nikt nie wiedział przecież, że na miejscu wybuchu była też kobieta nazwiskiem Ramona Lomax. Niestety wyszliście z tego cało i teraz policja ma problem.

– Sprawdził jej numer rejestracyjny – przyznał Jack. – Wynajęła samochód w Seattle. Oczywiście nie jako Ramona Lomax, tylko pod innym nazwiskiem i na nieistniejący adres w Las Vegas.

– Prześlij mi te dane, zobaczę, co da się zrobić – zdecydował Abe. – Co powiesz o Dunbarze?

– Nie wiem, jest ostrożny – odparł Jack. – Ale wspominał, że wie, że brałem udział w scysji w lokalnej knajpce i że moim przeciwnikiem był członek lokalnej prominentnej rodziny. Coś mi mówi, że Dunbar wie, że ten członek w przeszłości lubił igrać z ogniem.

– Jeśli ma choć trochę oleju w głowie – mruknął Abe.

– Jasne, ale w tej chwili nie ma nic, co łączyłoby tego delikwenta z wybuchem. Ma tylko Ramonę Lomax, która przepadła jak kamień w wodę.

W La Jolla zapadła cisza. Madeline widziała oczami wyobraźni, jak Abe i Daphne wymieniają się spojrzeciami. Wiedziała, że wszyscy pomyśleli o Xavierze Websterze.

– Maddie, zbierajcie się stamtąd – powiedziała głośno Daphne.

– Nie możemy – zaprotestowała. – Najpierw musimy ustalić, co tu się dzieje.

– Grozi wam niebezpieczeństwo. – Daphne obstawała przy swoim. W jej głosie pojawiło się napięcie.

– Wiem, że brzmi to niezbyt logicznie – odezwał się Jack – ale w tej chwili tu jesteśmy, paradoksalnie, bezpieczniejsi niż gdzie indziej, przynajmniej na razie. Ten, kto zastawił na was pułapkę, miał dzisiaj pecha. Na razie da sobie spokój.

– Będzie szukał kolejnej okazji – ostrzegł Abe. – Chyba upatrzył sobie ciebie, Jack, a Madeline to tylko skutek uboczny.

– W takim razie co w tym wszystkim robi rzekoma wnuczka Toma? – rzuciła Daphne.

– Tego jeszcze nie wiemy, ale wiadomo, że mężczyźni pokroju tego, o kim myślimy, świetnie manipulują innymi – odparła Madeline. – Zwłaszcza kobietami.

– Musimy ją znaleźć – stwierdził Abe.

– Tak. A co u was? – zapytał Jack.

– Mamy adres – oznajmił Abe. – Kilku starych znajomych naszego geniusza finansjery, zanim jego gwiazda rozbłysła na firmamencie. Po południu złożymy im wizytę.

– Dzwońcie, gdy tylko będziecie coś mieli. Cokolwiek.

– Jasne.

Jack pochylił się i rozłączył. Wsunął telefon do paska. Madeline nerwowo bębniła palcami o stół.

W końcu poczuł na sobie jej wzrok.

– Co znowu? – zapytał, autentycznie zbity z tropu.

– Kiedy kończysz rozmowę, warto powiedzieć coś w stylu: do zobaczenia czy do usłyszenia.

Zmarszczył brwi

– Nie było już o czym gadać.

Jej telefon rozdzwonił się, zanim mogła dalej prawić mu kazanie. Odebrała. Nie знаła tego numeru.

– Halo?

– Pani Chase? Tu Louisa Webster. Dostałam numer pani telefonu z pensjonatu Cove View. Słyszałam, że miała pani okropny dzień, w miasteczku aż huczy od plotek o wybuchu. Tak się cieszę, że ani pani, ani pani towarzyszowi nic się nie stało.

– Wieści szybko się roznoszą.

– Cóż, to naprawdę małe miasteczko. No, ale pani dobrze o tym wie. Kiedyś była pani jedną z nas.

Madeline milczała.

– Zdaję sobie sprawę, że musi pani być bardzo zmęczona – ciągnęła Louisa – nie chciałabym się narzucać, ale bardzo mi zależy na tym, żeby z panią porozmawiać w cztery oczy. Chciałam zaproponować jutro albo pojutrze, kiedy dojdzie pani do siebie po tak strasznym przeżyciu. Niestety sprawa jest na tyle pilna, że muszę się z panią zobaczyć jak najszybciej. Czy mogłaby pani jeszcze dzisiaj po południu odwiedzić mnie w Cliff House?

Rozdział 28

Bardzo miło z pani strony, że udało się pani przyjść tak szybko – zapewniła Louisa. Zdjęła okulary do czytania gestem, który zdradzał wielkie znużenie, i odłożyła je na bok. – Naprawdę bardzo przepraszam. Miała pani dzisiaj ciężki dzień. Chciałam także powiedzieć, jak bardzo pani współczuję w związku ze śmiercią pani babki.

– Nie umarła śmiercią naturalną – zauważyła Madeline. – Niewykluczone, że padła ofiarą morderstwa.

Louisa przyglądała się jej wzrokiem łani schwytej w sidła reflektorów na nocnej szosie. Najwyraźniej tego się w ogóle nie spodziewała. Punkt dla mnie, pomyślała Madeline. W negocjacjach z kimś przyzwyczajonym do władzy opłaca się czasami zmylić przeciwnika.

– Nic o tym nie słyszałam – sapnęła wyraźnie poruszona Louisa. – Wydawało mi się, że to był zwyczajny wypadek.

– Tak twierdzi policja. Ja mam inne podejrzenia.

– Rozumiem. – Louisa odzyskała panowanie nad sobą. – A na czym je pani opiera?

– Nie mam konkretnych dowodów, ale po tym, co się dzisiaj stało, rozumie pani chyba, że mogłam zacząć coś podejrzewać. Dlaczego właściwie chciała się pani ze mną zobaczyć?

Ledwie przekroczyła próg obszernego holu w Cliff House, od razu ogarnęło ją dojmujące uczucie pustki, jakby w wielkim domu nikogo nie było, a przecież już w drzwiach powitała ją pokojówka, a wokół uwijała się ekipa florystek i innych fachowców, szykujących dom na wielkie przyjęcie.

A mimo to dom był pusty. Ciemny. Zimny.

Jack przywiózł ją do posiadłości Websterów, odprowadził do drzwi, poczekał na pokojówkę i dopiero wtedy wrócił do samochodu, czekającego na półkolistym podjeździe, tak że wszyscy wokół nie mogli go nie zauważyć. Było oczywiste, co chce powiedzieć: Madeline nie przyszła sama do jaskini lwa.

– Policjanci ustalili już, co spowodowało eksplozję w Aurora Point? – zainteresowała się Louisa.

– Jeszcze nie – odparła Madeline. – Dochodzenie jeszcze trwa.

– Podobno była to kobieta podająca się za wnuczkę Toma Lomaxa.

– Zdziwiające, że wie pani o tym tak wiele – powiedziała Madeline. – Przecież to wszystko działo się zaledwie kilka godzin temu.

– To małe miasteczko. – Louisa położyła dłonie na biurku. Drogie pierścionki lśniły w zimnym, bezlitosnym świetle. – Naprawdę tak było?

– Owszem, na miejscu zdarzenia rzeczywiście była kobieta, która podawała się za wnuczkę Toma.

– To mało prawdopodobne. – Louisa zacisnęła usta. – Tom Lomax był starym dziwakiem.

– Wszyscy mamy jakąś przeszłość, prawda?

Ku jej zdumieniu Louise poruszyły te słowa; przez jej twarz przemknął szok, zaraz jednak wzięła się w garść.

– Niby dlaczego wnuczka Toma Lomaxa chciałaby panią zabić? – zapytała w końcu.

– To dobre pytanie. Ale z drugiej strony wcale nie wiadomo, czy chodziło o mnie. Być może celem był

pan Rayner. – Madeline wstała. – Jeśli ściągnęła mnie pani tu tylko po to, żeby rozmawiać o tym, co się dzisiaj zdarzyło w Aurora Point, równie dobrze mogliśmy to załatwić przez telefon. Pójdę już.

– Nie. – W głosie Louisy pojawiły się nuty paniki. – Chciałam porozmawiać z panią o interesach. Proszę usiąść.

Madeline doszła do wniosku, że więcej się dowie, zostając, niż wychodząc, więc ponownie usiadła.

– O ile mi wiadomo, przyjechała tu pani, żeby przygotować hotel Aurora Point do sprzedaży – zaczęła Louisa. – Bardzo dobre posunięcie. Nigdy nie rozumieliśmy, czemu pani babka tak długo zwlekała z tą decyzją. Pewnie liczyła, że wartość posiadłości znacznie wzrośnie.

Louisa zawiesiła głos, czekając, aż Madeline potwierdzi lub zaprzeczy jej słowom, Madeline uśmiechnęła się tylko grzecznie.

Louisa straciła nadzieję, że dowie się czegoś więcej.

– Niestety ceny nieruchomości w tej okolicy nie zmieniają się od lat – powiedziała. – A czasami nawet spadają. Cooper Island nigdy nie stanie się turystyczną perłą północnego zachodu.

– Chyba nie – przyznała Madeline.

Louisa bębniła palcami w biurko. Pierścionki znowu zaśniły w świetle lampy.

– Budynek hotelowy i zabudowania gospodarcze są oczywiście bez wartości, ale sam teren ma pewien potencjał – ciągnęła. – Uważamy z Eganem, że warto urządzić tam park dla mieszkańców i dlatego chcemy go od pani kupić. Zaraz wypiszę czek.

– Oczywiście wezmę pani ofertę pod uwagę – odparła Madeline. – Ale jeszcze nie podjęłam decyzji.

Louisa zacisnęła nerwowo usta.

– Chodzi o wczorajsze zajście, tak? Uważa pani, że po tym incydencie w Crab Shack, z udziałem pani towarzysza i mojego syna, Xavier ponosi odpowiedzialność za ten wybuch, tak?

– Pani to powiedziała, nie ja.

Louisa zerwała się z krzesła.

– Nie pozwolę obrażać przy mnie członków mojej rodziny!

– Nikogo nie obrażam. To pani wymieniła imię Xaviera.

Louisa spoważniała. Jej oczy błyszczały tym samym zimnym blaskiem co jej pierścionki.

– Najlepiej byłoby, gdyby pani i pani tak zwany konsultant jak najszybciej opuścili Cooper Island.

– Więc w końcu dochodzimy do prawdziwego powodu, dla którego mnie tu pani dzisiaj zaprosiła. Żeby wyrzucić nas z wyspy.

– Proszę się nie wygłupiać. Sugeruję po prostu, że powinni państwo wyjechać, zanim wydarzy się coś jeszcze.

– A niby dlaczego miałyby się wydarzyć coś jeszcze?

– Jest pani inteligentną kobietą, Madeline. Mam nadzieję, że okaże się pani także osobą odpowiedzialną.

– Czy to oznacza, że nie jesteśmy już zaproszeni na urodziny pani męża?

W oczach Louisy pojawił się gniewny błysk.

– Miałam nadzieję, że mam do czynienia z poważną, dorosłą osobą.

– Jest pani przerażona, bo wie, że Xavier został upokorzony w Crab Shack. I boi się pani, że posunie się za daleko, żeby się zemścić.

Louisa znieruchomiała.

– Co za bzdury. Ale powiem szczerze: obecność pani i tego pani konsultanta sprawia kłopoty. Byłoby najlepiej, gdyby państwo natychmiast wyjechali. Proszę później nie twierdzić, że nikt pani nie uprzedzał.

– Proszę się nie obawiać, Louiso, nic takiego nie powiem. – Madeline znowu wstała i zarzuciła pasek torebki na ramię. – Wygląda na to, że już skończyliśmy. Przepraszam bardzo, ale konsultant na mnie

czeka.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

– Czy pani nic nie rozumie, do cholery? Działam w interesie nas wszystkich.

Madeline zatrzymała się z ręką na klamce.

– Nie, działa pani w interesie swojej rodziny. I owszem, rozumiem to. Nie wiem, czy pani mi uwierzy, czy nie, ale bardzo pani współczuję.

– Wynoś się. I to już.

Madeline otworzyła drzwi i wyszła do holu. Nikt nie czekał, by odprowadzić ją do drzwi wejściowych. Będzie musiała wyjść sama.

W nienaturalnej ciszy Cliff House wydawało jej się, że słyszy coś zza zamkniętych drzwi gabinetu. Louisa płakała.

Madeline wędrowała korytarzem. Już w holu zjawiała się pokojówka.

– Tak mi przykro – kajała się. – Pani Webster nie zadzwoniła po mnie, żebym panią odprowadziła.

– Nie ma sprawy – zapewniła Madeline.

Z ulgą graniczącą z euforią powitała widok Jacka opartego o samochód. Jego ciemne okulary mieniły się srebrzyście w pochmurnym świetle dnia. Wiele ją kosztowało, by do niego iść, a nie biec.

Przytrzymał jej drzwi.

– Jak było?

Wsiadła do wozu.

– Powiem tak: jednak nie pójdziemy na bal.

Rozdział 29

Ponure wspomnienia najczęściej wracały w nocy. Jack obudził się z nocnego koszmaru i leżał nieruchomo, myśląc o przeszłości...

Metaliczny odgłos harpuna uderzającego w jego butlę – to był pierwszy znak, że Victor Ingram chce go zabić.

Siła wystrzału sprawiła, że puścił linę wyznaczającą kierunek wędrówki w podwodnej jaskini. Odwrócił się gwałtownie, łudząc się, że Victor wystrzelił niechcący, ale jednocześnie jakaś jego cząstka – ta, która zawsze dbała o przeżycie – już analizowała fakt, że Victor chciał go zabić.

Oczy Victora rozszerzyły się za maską nurka. Nie spodziewał się, że spudłuje. Panika nie kazała na siebie długo czekać. Upuścił pusty karabinek na harpuny i sięgnął po nurkowy nóż. Z ostrzem w dłoni płynął szybko, wznosząc rękę do ciosu...

Odrzucił kołdrę, usiadł na skraju posłania, spojrzął na zegarek. Pierwsza dziewiętnaście. Wiedział z doświadczenia, że już dzisiaj nie zaśnie. Przez chwilę wsłuchiwał się w odgłosy starego domiszcza. Na dworze nadal szalał sztorm, wiatr uderzał w szyby, szarpał za drzwi, ale poza tym nie słyszał niczego podejrzanego.

Spojrzął na wyświetlacz telefonu. Żadnych sygnałów z czujników ruchu, które zainstalował po południu. Nie sądził, żeby morderca zaatakował tak szybko, ale zdarzało się już, że się mylił.

Założył dzinsy i koszulkę, sięgnął po broń w kaburze i wyszedł na korytarz.

Drzwi do pokoju Madeline były lekko uchylone, tak samo, jak kilka godzin wcześniej, gdy gasiła światło. Nasłuchiwał przez chwilę. Z jej pokoju nie dobiegał żaden dźwięk.

Po przeżyciach w szopie i nieprzyjemnej rozmowie z Louisą Webster była ledwo żywa. Musiała to odespać. Od wielu dni funkcjonowała dzięki adrenalinie i ponurym wspomnieniom, a to zawsze odbija się negatywnie na ciele, spokoju i umyśle. Taka mieszanka uniemożliwia jasne myślenie i zdrowy osąd.

Do kogo te słowa, pomyślał, do Madeline czy do niego samego?

Zbiegł do kuchni, usiadł przy stole, odpalił komputer. E-mail od Abe'a.

„Pomyślałem, że to cię zainteresuje. W tej firmie pracował Webster, zanim przeniósł się do Bellevue w Waszyngtonie”.

Link prowadził do strony z gazety z San Diego, sprzed nieco ponad dwudziestu lat.

„...Dzisiaj rano policjanci znaleźli zwłoki dwóch osób, prawdopodobnie ofiar włamania, które wymknęło się sprawcom spod kontroli. Mężczyzna to Carl Seavers, makler z La Jolla. Znaleziona z nim kobieta to Sharon Richards, pracująca w tej samej branży. Sąsiedzi zeznali, że w nocy nie słyszeli niczego podejrzanego.

Zdaniem kolegów, Seavers odnosił spore sukcesy jako makler. »Miał niesamowite wyczucie«,

powiedział jeden z nich. Policja sprawdza, czy w zbrodni nie chodziło o narkotyki”.

Jack sięgnął po telefon. Abe odebrał po czwartym czy piątym dzwonku, zaspany i zły.

– Jest wpół do drugiej w nocy – warknął.

– Opowiedz mi o tym włamaniu – polecił Jack.

– Na razie nic więcej ci nie powiem, bo sam nic nie wiem. Facet, z którym dzisiaj rozmawialiśmy, napomknął o tym, gdy wypytywaliśmy o tamtą firmę. Webster wyjechał do Bellevue, żeby założyć fundusz hedgingowy, mniej więcej miesiąc po śmierci Seaversa i tej kobiety. A teraz dobranoc. Może ty nie musisz sypiać, ale ja, tak.

Cisza w słuchawce. Jack zastanawiał się przez chwilę, ale koniec końców postanowił nie dzwonić ponownie.

Wstał, przeszedł do saloniku, podszedł do okna. Światło księżyca załamywało się w zimnej wodzie lodowatym blaskiem.

Wspomnienia czaiły się na skraju świadomości. Za dnia zazwyczaj je ignorował, ale w nocy było to o wiele trudniejsze.

Dwa lata temu pogodził się z faktem, że duch Victora Ingrama będzie go nawiedzał do końca życia. Wszystko ma swoją cenę.

Jednak dopiero kiedy poznał Madeline, w pełni do niego dotarło, jak wysoką cenę przyjdzie mu zapłacić.

Usłyszał jej kroki na schodach, nie odwracał się jednak, póki się nie odezwała.

– Jack?

Odwrócił się wtedy i zobaczył ją w progu. Jak duch zatrzymała się w poświacie nocnej lampki.

– Przepraszam – mruknął. – Nie chciałem cię obudzić. Sprawdzałem pocztę elektroniczną. Abe wysłał mi link do artykułu, z którego wynika, że nieco ponad dwadzieścia lat temu dwóch byłych znajomych z pracy Webstera, jeszcze w La Jolla, zginęło podczas włamania.

– Wiem, Daphne mi to przesłała. Dziwne.

– Bardzo dziwne.

– Ale co to dokładnie znaczy?

– Jeszcze nie wiem. Jutro Abe i Daphne pogadają z kimś z dawnej firmy Webstera.

Madeline uśmiechnęła się lekko.

– Tak między nami, wydaje mi się, że Daphne bardzo się spodobała rola pani detektyw.

– Dobrze, że komuś się to podoba. Fakt, że przeze mnie o mały włos nie zginęłaś, trochę popsuł mi zabawę.

– Nie przez ciebie. Przecież to ty uratowałeś mi życie.

– Inaczej to widzę.

Przekroczyła próg, zbliżyła się do niego. Była tak blisko, o krok, tak blisko, że czuł ciepło jej ciała, tak blisko, że otaczał go jej zapach, tak blisko, że widział zaproszenie w jej oczach.

– A ja właśnie tak – zapewniła. – Jeśli ci powiem, że chcę, żebyś mnie pocałował, każesz mi iść spać?

– Jeśli chcesz, żebyś mnie pocałował, bo wydaje ci się, że uratowałem ci życie, dziękuję, nie wchodzę w to.

– Nie przyjmuję takich argumentów. Sprawa jest prosta, wchodzisz w to albo nie. A żeby wszystko było jasne, nie ma to nic wspólnego z tym, że uratowałeś mi życie. Pozwolę sobie przypomnieć ci, że chciałam, żebyś mnie pocałował, jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło.

– Tamtej pierwszej nocy na wyspie byłaś poruszona. Rozchwiana.

– Dobra, tego już za wiele. – Zdecydowanie cofnęła się do drzwi. – Dla jasności: dzisiaj nie jestem

rozchwiana i wiem, co robię, choć może wydawać się inaczej. Tak przynajmniej było, póki bezczelnie nie zasugerowałaś czegoś innego.

– Do cholery, Madeline...

Była już przy schodach. Biegła na górę.

– Zapomnij o tym – zawołała. – Mam dość wymówek. Skoro nie chcesz iść ze mną do łóżka, powiedz to otwarcie. Obiecuję, że przestanę cię nękać.

– Poczekaj, Madeline.

Otrząsnął się z odrętwienia i pobiegł za nią.

Znalazł się na piętrze tak szybko, że widział, jak znika w mroku swojej sypialni.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Pchnął je błyskawicznie, tak że nie zdążyła zamknąć ich na klucz.

Opierała się, dumna i zawzięta. I bardzo podniecająca.

Gorączkowo szukał odpowiednich słów.

– Nic nie rozumiesz.

– A czego, przepraszam, nie rozumiem?

– Przyszłości.

– Co z nią?

– Nie mogę zaoferować ci przyszłości.

Znieruchomiała, wyraźnie poruszona.

– Jack, powiedz szczerze, cierpisz na nieuleczalną chorobę?

– Nie, nie, nic takiego – skrzywił się. – Przepraszam, nie chciałem, żeby tak to wyszło. Słuchaj, to... skomplikowane.

– Jak bardzo skomplikowane? Jesteś gejem?

– Nie.

– Masz żonę i gromadkę dzieci?

– Nie. Ale mam kiepską historię związków. Moje związki nigdy nie trwają długo. I zawsze jest to moja wina. Nie rozumiesz? Nie chcę, żeby były między nami jakieś nieporozumienia. Niczego nie mogę ci obiecać.

– Och. Problem z bliskością.

– Tak jakby.

Przemyślała to i skinęła głową.

– Dobrze.

– Dobrze? Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Zniosę twoje problemy, jeśli ty zaakceptujesz moje.

– Twoje to nic w porównaniu z moimi – sapnął.

– Co, teraz porównujemy problemy?

– Naprawdę uważasz, że sprawdzanie potencjalnego kochanka to poważny problem?

Ściągnęła brwi.

– Skądże. To zdrowy rozsądek. Nie, moje problemy są innej natury, ale nie będę o nich rozmawiać z facetem, który nie chce się ze mną wiązać. Dobranoc, Jack. Po raz kolejny.

– Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że nie przeszkadza ci mój problem z bliskością?

– Właśnie tak. A skoro skończyliśmy już tę rozmowę...

– To nie rozmowa, to cholerne negocjacje.

Uniosła brew.

– Czyżby?

– Żeby wszystko było jasne: chcesz się ze mną związać, wiedząc, że nie nadaję się do związku?

– Ja nie bardziej niż ty. – Skrzyżowała ręce na piersi. – Ale obstaję przy monogamii z obu stron, tak długo, jak długo potrwa ten nasz związek bez bliskości.

Mówiła z trudem, przez ściśnięte gardło, jak hazardzista stawiający wszystko na jedną kartę.

– Zgoda – mruknął. Nie chciał nawet wyobrazić jej sobie z innym mężczyzną. – Coś jeszcze?

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy – przyznała. – A tobie?

– Też nie.

– Czyli wygląda na to, że ustaliliśmy warunki naszego związku.

– I co, dasz mi teraz kontrakt do podpisu?

Zmarszczyła brwi.

– Co?

– To się nazywa romantyczne podejście do sprawy?

Przyglądała mu się przez chwilę. A potem wybuchła.

– Ty zacząłeś – syknęła.

Ochrypła z oburzenia, gniewu i, być może, bólu. A może, tylko może, to w nim buzowały te uczucia.

– Ja? – zachnął się. – To ty chciałaś porównywać problemy.

– Nie mieści mi się w głowie, że chcesz to wszystko zwalić na mnie.

Podszedł bliżej.

– Nie pozwolę, żebyś obwiniała mnie za tę klęskę.

– Najpierw zarzucasz mi brak romantyzmu, potem wróżysz klęskę. Masz rację. To, co się między nami wydarzy, zapewne nie potrwa długo, na pewno nie przy tempie, w jakim to niszcymy, więc radziłabym zabrać się do rzeczy, póki jeszcze coś się tli.

Pokonała dzielącą ich odległość, zacisnęła mu dłonie na ramionach, wspięła się na palce i pocałowała go.

W tym pocałunku była energia, która tliła się między nimi od trzech miesięcy; była w nim emocjonalna reakcja na wydarzenia w szopie, była w nim adrenalina, gniew i frustracja.

Podziałał jak benzyna na płomień, który buzował w nim, odkąd ją poznał.

– Pieprzyć problemy i przyszłość – szepnął w jej usta. – Dzisiaj liczy się tylko ta noc.

– I to mi wystarczy.

Rozdział 30

Zaskoczył ją przypływ pożądania. Przemknęło jej przez myśl, że właściwie powinna być na to przygotowana. Jakkolwiek by było, już raz się z nim całowała i wtedy także emocje wzięły górę. Ale wtedy Jack był panem sytuacji; to on decydował, czego jej trzeba i jak daleko się posunąć.

Dzisiaj było inaczej. Tym razem to ona zaczęła. To ona kontrolowała sytuację.

Zacisnęła dłonie na połach jego koszuli i oderwała się od jego warg.

– Ostatnio przestaliśmy, bo uciekłeś się do wymówki, że sama nie wiem, czego chcę – powiedziała. – Dzisiaj nie możesz znowu tego zrobić, jasne?

Ujął jej twarz w dłonie.

– To nie była wymówka.

– Moim zdaniem jednak była. Więc jeszcze jedno: jeśli dzisiaj chcesz przestać, musisz mi jasno, otwarcie powiedzieć, że mnie nie chcesz. Koniec udawania, że robisz to, co dla mnie najlepsze, jasne?

Przyglądał jej się gniewnie.

– Jezu, kobieto, czy zawsze tyle gadasz, zanim pójdziesz z kimś do łóżka?

Nie czekał na odpowiedź, i dobrze, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

Zamknął jej usta pocałunkiem, z którego wyczytała wszystko, co chciała wiedzieć. Tym razem nic ch nie powstrzyma, wszystko w jej rękach, a nie miała na to najmniejszej ochoty.

Zarzuciła mu ręce na szyję, rozchyliła usta. W tym pocałunku nie było nic uwodzicielskiego, nic zaplanowanego – bo szczerze mówiąc, nigdy nikogo tak nie całowała, z takim podnieceniem, oddaniem, zaangażowaniem.

Ten pocałunek przekraczał wszelkie granice, które wyznaczyła sobie przed osiemnastu laty; pocałunek, który przekraczał jej granice w sposób, o jakim nawet nie śniła. Deptał zasady.

Jack reagował równie silnie; nie było w nim finezji wytrawnego kochanka, tylko pierwotna siła i namiętność, które lepiej niż słowa zdradzały, że także dla niego ta noc będzie inna.

I to wystarczyło, by złamać zasady.

Niezdarnie podeszli do łóżka, a kiedy przy nim byli, Madeline drżała, dyszała, chwytła ciężko powietrze, jakby tlen był w nim rzadkością.

Jack puścił ją na chwilę, by ściągać koszulkę, dzinsy i slipy. Kiedy na nią patrzył, wyczuła w nim wahanie i wiedziała, że czeka, aż upewni się w swojej decyzji. Zrozumiała, że nie tylko ona zapuszcza się na nieznane terytorium. Jack chciał wiedzieć, że go pragnie, także teraz, gdy stanął przed nią nagi.

Podeszła bliżej, wspięła się na palce, pocałowała go. Poczowała na udzie jego erekcję. Wyciągnęła rękę, dotknęła go delikatnie.

Z jękiem przyciągnął ją do siebie. Zdała sobie sprawę, że zaraz upadną na łóżko. Ogarnęła ją panika. Już otwierała usta, żeby powiedzieć, że musi być na górze.

Ale nie musiała wcale tego tłumaczyć, jakby wyczytał to z jej myśli. Sam opadł na plecy i pociągnął ją tak, że upadła na niego. Czyli tam, gdzie chciała być.

W następnej chwili zniknął cały strach. Teraz szybowała, zagubiona w cudownej mgłę pożądania. Jakaś jej część wiedziała, że to nieracjonalne, że na pewno skończy się jak zawsze – upadkiem, nie eksplozją. A jednak w tej chwili ośmieliła się wierzyć, że jest normalna, że reaguje jak zwykła kobieta w ramionach seksownego mężczyzny, którego pragnie tak samo jak on jej.

Bo w to, że Jack jej pragnie, nie wątpiła – oszałamiała ją czułość, z jaką jej dotykał, jakby była najcudowniejszym, najbardziej kruchym skarbem, który wpadł mu w ręce.

Uniosła na chwilę głowę, by spojrzeć mu w oczy, przepełniona dziwną pewnością.

– W porządku – szepnęła. – Nie rozpadnę się na kawałki.

– Wiem o tym. Jesteś silna. – Objął ją i przyciągnął do siebie tak, żeby móc ją pocałować. – Rozpadnę się ja, jeśli to schrzanię.

– Nie schrzanisz – szepnęła.

Chciała dodać coś jeszcze, ale nie mogła, bo znowu ją całował. Drugą ręką błądził po jej ciele, dotykał ud, zadzierał skraj koszuli nocnej, aż do talii. Dotykał łuku pośladków, szukał jeszcze wrażliwszych zakątków.

Zaczerpnęła głośno tchu, gdy znalazł wewnątrz jej ud. Jack znieruchomiał. Otworzyła oczy i zobaczyła, że wpatruje się w nią intensywnie. Czowała, że panuje nad sobą z najwyższym wysiłkiem.

Błądziła ustami po jego ustach i klatce piersiowej, dotknęła go dłonią, mówiąc bez słów, że lubi jego dotyk.

Nie lubi; pragnie go. Nie chciała, by dotykał jej jakikolwiek inny mężczyzna, tylko Jack.

Poruszył biodrami, chciał, żeby rozsunęła uda. Zrobiła to, a wtedy dotknął ją znowu, budząc reakcję, która zaskoczyła ją samą. Pożądanie zapierało jej dech w piersiach.

– Teraz – szepnęła. – Już.

On jednak dalej pieścił ją jak delikatny kwiat, jakby nie pojmował, że pragnie więcej – o wiele więcej.

Unoszona narastającym napięciem, usiadła na nim. Jęknął, kiedy przyjmowała go w siebie, powoli, ostrożnie. Zacisnął dłonie na jej udach. Patrzył na nią tak, jakby w tej chwili świat ograniczał się tylko do niej.

Jęknął. Zacisnął zęby. Poruszał się powoli, ostrożnie, wypełniał ją sobą, oszałamiał.

Dodał jeszcze jedną pieszczotę. Muskał kciukiem jej łechtaczkę i wtedy zatraciła się kompletnie w rozkoszy. Jeszcze nigdy nie doświadczyła niczego podobnego. Fale rozkoszy zapierały dech w piersiach.

Pchnął jeszcze jeden raz, wszedł niewiarygodnie głęboko. Zadrżał, jęknął ochryple, gardłowo. Dała mu wspaniały dar, zrozumiała oszołomiona. Dała mu spełnienie.

A on dał jej coś o wiele wspanialszego. Tej nocy po raz pierwszy w życiu reagowała w sposób, który wydawał się jej niemożliwy, nie dla niej. Reagowała normalnie. Na niego.

Potrzebowała tylko odpowiedniego mężczyzny. Jacka, o którym ostatnie, co można powiedzieć, to że jest normalnym, przeciętnym facetem.

Rozdział 31

Egan nie zawracał sobie głowy zapalaniem światła w saloniku. Zasłony były rozsunięte. Zimny blask księżycy i latarnie w ogrodzie dawały dość światła, by trafił do barku z alkoholem. Zresztą dotarłby do niego nawet po omacku. Miał sporą praktykę.

Zawsze kiepsko sypiał. Lekarze co jakiś czas przepisywali mu różne tabletki, on jednak uparcie wracał do najlepszego środka nasennego – kilku szklaneczek dobrej whisky. W złe noce nie pomagało nic innego.

A dzisiaj była bardzo zła noc.

Wziął butelkę i nalał do szklanki pierwszą porcję. Przez chwilę stał przy oknie, sączył whisky i patrzył, jak światło księżycy ścieli się na wodach zatoki. Ostatnio coraz częściej myślał o przeszłości. Drażniło go to. Czyżby to cena starości? Podobno wiek przynosi dojrzałość i mądrość, on jednak nader często budził się w środku nocy i dumał, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby dokonał innego wyboru. Może nic nie byłoby inaczej. Może byłby w tym samym miejscu.

Drzwi otworzyły się cicho.

– Egan? – Louisa weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. – Wszystko w porządku?

Nie odwrócił się.

– Tak.

– Znowu miałeś kiepską noc.

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. Słyszał, jak podchodzi do barku, a po chwili rozległ się brzęk szkła. Wiedział, że nalewa sobie drinka. Louisa preferowała pomarańczowy likier.

Podeszła do niego przy oknie. Przez dłuższą chwilę w milczeniu sączyli alkohol. Nie po raz pierwszy razem odbywali ten rytuał. Od wielu lat ze sobą nie sypiali, miał jednak pewność, że do końca życia będą współnikami. Uzupełniali się wzajemnie.

– Zaproponowałam Madeline Chase, że odkupię od niej hotel – zaczęła Louisa.

– Odmówiła, jak się domyślam.

– Tak. Poradziłam jej także, żeby wyjechała z wyspy.

– Powiedziałaś, że tak będzie dla niej najlepiej?

– Nie musiałam. Wiedziała doskonale, co mam na myśli. Domyśla się, kto stał za wybuchem.

– I mimo to została. – Egan upił spory haust. – Pytanie, dlaczego nagle, po tylu latach, w ogóle tu przyjechała?

– Wiesz dlaczego. Jej babka nie żyje, Toma Lomaxa zamordowano. Nie wierzy już, że Edith Chase zginęła w nieszczęśliwym wypadku, zakładając oczywiście, że kiedykolwiek w to wierzyła, i pewnie podejrzewa, że śmierć Lomaxa ma z tym jakiś związek. Madeline Chase sprawdza wszystkie opcje, Egan, a to bardzo niebezpieczne.

Egan zakołysał szklanką.

– Rozmawiałem dzisiaj z Dunbarem. Nadal nie znaleźli tej kobiety, która, jak twierdzi Madeline Chase

i ten Rayner, była na miejscu wybuchu.

– Oboje wiemy, że na wyspie nie brakuje domków letniskowych, w których mogłaby się zaszyć, żeby doczekać nocy.

– Jest jeszcze jedna możliwość: współnik czekał na nią w motorówce, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Milczeli. Nie musieli mówić na głos, kto to mógł być. Imię Xaviera unosiło się w powietrzu, jakby wypisano je świeżą krwią. Od dziecka żeglował po tutejszych wodach.

– Póki nie posunie się za daleko, nie możemy nic zrobić – stwierdziła w końcu Louisa.

– Bardzo możliwe, że właśnie dzisiaj to zrobił.

– Nie ma dowodów – zauważyła.

– Nie rozumiesz? Jeśli aresztują Xaviera za morderstwo, Travis może się pożegnać z Senatem. Owszem, każdy polityk ma swoje tajemnice, ale to już przesada. Chory psychicznie brat morderca? Travis się z tego nie otrząśnie.

– Xavier nikogo nie zabił.

– Jeszcze. – Egan przełknął haust whisky. – O ile nam wiadomo. On jest bystry, Lou. Gdyby kogoś zabił, dopilnowałby, żeby nie zostawiać żadnych śladów.

Louisa znieruchomiała.

– Chodzi ci o Toma Lomaxa i Edith Chase, tak? Ale to bez sensu. Nie miał powodu ich zabijać.

– Jest bystry, ale też szalony. Nie musi mieć logicznego powodu, żeby działać.

Zazwyczaj Louisa szczyliła się swoim pragmatyzmem i chłodną logiką, jeśli jednak chodzi o syna, była jak zaślepiona, stwierdził Egan i doskonale ją rozumiał. Kiedyś reagował tak samo. Xavier wydawał się złotym chłopcem – silnym, zdolnym synem mającym dość charyzmy, inteligencji i bezwzględności, by sięgnąć po prawdziwą władzę.

Niestety okazało się, że Xavier ma niezmywalną skazę i teraz los rodziny spoczywał w rękach słabszego syna.

– Xavier ma obsesję na punkcie Raynera po tej scysji w restauracji – ciągnęła Louisa. – Widok Raynera... Działa mu na nerwy. Jeśli uda nam się przekonać Raynera i Madeline do wyjazdu, Xavier się uspokoi.

Egan analizował jej słowa.

– Pogadam z Raynerem. To człowiek interesu. Może uda mi się przekonać go, że wyjazd z miasteczka leży w najlepszym interesie jego i jego klientki.

– Daruj sobie. Nie wyjedzie bez niej, a jej nie kupisz – ucięła Louisa. – Już tego próbowałam, zapomniałeś? Zlekceważyła moją ofertę.

– To nie może ciągnąć się w nieskończoność. Musimy coś zrobić, i to szybko, zanim sprawy posuną się za daleko.

– Wiem – mruknęła.

Była bardzo zmęczona i zrezygnowana.

Jeszcze długo stali przy oknie ze szklaneczkami w dłoniach. Nie musieli nic mówić. Jeśli chodziło o trudne decyzje dotyczące rodziny, zawsze byli jednej myśli.

Rozdział 32

Żeby było jasne, niczego nie schrzaniłeś – powiedziała Madeline.

Odpywał, cudownie zrelaksowany, odprężony bardziej niż kiedykolwiek w ostatnim czasie, ale po tych słowach nie mógł się nie roześmiać.

Odrobinę uniół powieki i obserwował, jak się przeciąga. Przywodziła na myśl kota, była taka zwinna i giętka.

Jej włosy niesfornie rozsypały się na poduszce. W którymś momencie ściągnął z niej skromną nocną koszulę. Przykryła się kołdrą, ale znad jej skraju wystawały jej ramiona, zgrabne, spadziste. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek do tego stopnia fascynowała go ta część kobiecej anatomii. No, ale w Madeline fascynowało go wszystko.

– Dobrze wiedzieć, że nie schrzaniłem – mruknął. – Bo pod koniec wszystko mi się zlewa. Właściwie wszystko jest takie niewyraźne. Bardzo przyjemnie rozmazane, ale jednak rozmazane. Musimy to powtórzyć, najlepiej jak najszybciej, żebym mógł się dokładnie zorientować, co się dzieje.

Jeszcze przed chwilą uśmiechała się leniwie, zmysłowo, bardzo kobieco, ale w ułamku sekundy spoważniała. Przynęła się do niego, wsparła na łokciu, przyglądała mu się z poważną miną.

– Dla mnie też wszystko jest rozmazane – przyznała. – I to po raz pierwszy.

Przez chwilę usiłował zrozumieć, co to miało znaczyć, ale szybko dał sobie spokój.

– A to dobrze czy źle? – zapytał.

Uśmiechnęła się i jego świat zawirował.

– Dobrze, przynajmniej jeśli chodzi o mnie – wyznała.

– Tak?

– Zawsze miałam w tej kwestii pewne problemy.

Znieruchomiał.

– Znowu wracamy do problemów?

– Panikuję, kiedy nie jestem na górze. Dostaję ataku paniki.

Usiłował ogarnąć rozumem ogrom jej lęku. I nie dał rady.

Więc tylko wzruszył ramionami.

– Zrozumiałe, zważywszy, przez co przeszłaś w dzieciństwie. Nic dziwnego, że nie chcesz, żeby ktoś cię przytłaczał. To logiczne. Żaden problem.

Ściągnęła brwi.

– Jak to nie? Oczywiście, że to problem. Ataki paniki zdarzały mi się w bardzo niefortunnych momentach. Ten problem zepsuł już niejeden związek.

– Tak?

– Przekonałam się na własnej skórze, że faceci na początku myślą, że ta pozycja jest bardzo seksowna, ale wcześniej czy później dochodzi do jednej z dwóch sytuacji. Albo okazuje się, że szukają w łóżku partnerki dominującej, i wtedy ja odpadam, albo dochodzą do wniosku, że jestem zbyt opanowana, a

wtedy to oni rezygnują.

Najchętniej powiedziała by jej, że jej tak zwane problemy to nic w porównaniu z tym, co go dręczy, ale musiałaby wtedy wszystko tłumaczyć, a to z kolei oznaczałoby, że na jej barkach spocząłby kolejny ciężar. Nie miał prawa jej tego robić.

– Nie masz żadnych problemów, skarbie – mruknął tylko. – Masz tylko określone preferencje.

Uniosła brwi.

– Preferencje?

Uśmiechnął się, dumny z nietypowego u niego dyplomatycznego podejścia do sprawy.

– W seksie każdy ma jakieś preferencje – zauważył. – I nie tylko w seksie, jeśli już o tym mowa.

– To bardzo... wielkoduszne z twojej strony. A twoje preferencje?

Przyciągnęła go do siebie, tak, że leżała na jego klatce piersiowej.

– W tej chwili kręci mnie robienie tego, co sprawia, że świat ci się zamazuje – odparł.

Uśmiechnęła się.

– Bardzo to miłe z twojej strony.

– Bardzo – przyznał.

Roześmiała się, lekko, kobieco, szczerze. Ten śmiech wypełniał pustkę w nim i przez chwilę łudził się, że sam wcale nie ma żadnych problemów.

Rozdział 33

Daphne była przekonana, że dawniej Gillian Burns wyglądała fantastycznie, dumnie prezentując sztuczny biust i szczupłą sylwetkę w obcisłych bluzeczkach z głębokim dekoltem, teraz jednak zbliżała się do siedemdziesiątki. Dawna szczupłość przeszła w chorobliwą chudość, w nieproporcjonalną karykaturę hollywoodzkiej aktoreczki. Zbyt krótka, zbyt obcisła sukienka, buty na obcasach i suche jak siano blond włosy tylko podkreślały to wrażenie.

Papierosy też nie poprawiały sytuacji, przemknęło Daphne przez głowę. Gillian miała wąską zapadniętą twarz i niezdrową cerę, czego nie zdołaliby ukryć ani najlepszy chirurg plastyczny, ani najmocniejszy podkład pod makijaż.

– Jasne, że pamiętam Carla Seaversa – zapewniła. Roześmiała się. – Był naszym gwiazdorem. Młody geniusz. Inni maklerzy nie znosili go, bo zawsze typował w dziesiątkę. Przy nim wszyscy wychodzili na głupków, rozmiecie. Ale już od dawna nie żyje. Zamordowano go razem z dziewczyną z biura, Sharon coś tam. Czemu właściwie o niego pytacie?

Daphne spojrzała na Abe'a. Czekwała, co powie. Zanim przyszedli do restauracji na spotkanie z Gillian, ustalili wersję. Początkowo Gillian była nieufna, ale martini i ciekawość rozwiązały jej język.

Daphne podejrzewała, że w grę wchodzi jeszcze jeden powód. Gillian wyglądała na kobietę, która w młodości żyła szybko i ostro i zapewne miała wielu kochanków. Inne kobiety były w jej oczach rywalkami.

Teraz jednak mężczyźni odeszli, a Gillian, która dawniej nie zadała sobie trudu, żeby nawiązać więź z inną kobietą, została sama. I dlatego rozmowa z nieznanymi stanowiła nie lada rozrywkę, wypełniającą puste popołudnie.

– Rodzina chciała, żebyśmy zbadali okoliczności śmierci Carla Seaversa – odezwał się Abe. Poprawił okulary na nosie, odchrząknął. – Chodzi o kwestie patentowe, a to wpływa na masę spadkową.

– Hm. – Gillian wzruszyła ramionami. – Nie wiedziałam, że miał rodzinę. Nigdy o tym nie wspominał.

– Wiesz, jak to jest, kiedy w grę wchodzi forsa – zauważyła Daphne. – Zawsze znajdują się jacyś krewni, choćby bardzo dalecy.

– To akurat prawda. – Gillian wbiła zęby w oliwkę z martini. – Jak się ma kasę, zawsze ma się towarzystwo. Ale kiedy kończy się gotówka, nikt do ciebie nawet nie zadzwoni.

Daphne spojrzała znacząco na Abe'a. Milczeli oboje.

Gillian zastrzegła się.

– Cóż, niewiele wam powiem. Byłam recepcjonistką w firmie maklerskiej, w której Carl i Sharon pracowali aż do śmierci. Wylali mnie, kiedy naszą małą firmę kupiła wielka sieć. To była moja ostatnia porządna posada. Wiecie, jak trudno o przyzwoitą robotę po pięćdziesiątce?

– To podwójne morderstwo było pewnie wielkim szokiem dla wszystkich pracowników – zauważył Abe.

– O tak. – Gillian pociągnęła łyk martini. – Maklerzy udawali, że są wstrząśnięci, ale tak między nami,

niespecjalnie się przejęli. Moim zdaniem, cieszyli się nawet, że on nie żyje. Bo stanowił dla nich konkurencję.

– A Sharon Richards? – zainteresowała się Daphne.

Gillian się skrzywiła.

– Też tam pracowała. Ładniutka, młoda i cholernie seksowna. I umiała to wykorzystać. Spała z każdym, kto chciał wyświadczyć jej przysługę. I dlatego była z Carlem. Chyba wykombinowała sobie, że jeśli pójdzie z nim do łóżka, on czasem uchyli rąbka tajemnicy i powie jej, jak obstawiać. Ale jeśli na to liczyła, niewiele jej z tego przyszło.

– Fakt – mruknął Abe. Zapisał coś w komputerze. – Mieliście jakieś podejrzenia, kto ich zamordował?

– Wszyscy podejrzewali, że chodziło o narkotyki – odparła Gillian. – I pewnie to samo podejrzewali policjanci. Tajemnicą poliszynela jest, że w tamtych czasach wielu maklerów ostro brało, głównie kokainę.

– Carl Seavers też? – upewnił się Abe.

– No właśnie to jest najciekawsze. – Gillian wydeła usta i pokręciła głową. – Dałabym sobie rękę uciąć, że był czysty. Właściwie nawet nie pił. Za to miał obsesję na punkcie swojego komputera. Nosił go wszędzie ze sobą, nawet kiedy na nim nie pracował.

Daphne nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że Abe nagle nabrał czujności, ale kiedy się odezwał, mówił spokojnie i lekko – jak zawodowiec, ustalający wszystkie fakty.

– A Seavers dużo grał? W gry komputerowe?

– Chyba nie – odparła Gillian. – Czasami mu dokuczałam, pytałam, czy ogląda na komputerze pornografię, bo zawsze wpatrywał się w ekran z wypiekami na twarzy. Zaprzeczył, powiedział tylko, że to, co ogląda, jest o wiele fajniejsze, bo zapewni mu bogactwo.

Daphne skrzyżowała ręce na piersi.

– Wiadomo, co robił na tym komputerze?

Gillian wzruszyła ramionami, machnęła żyłastą ręką.

– Jakieś komputerowe czary. Mnóstwo symboli, dziwne słowa, no wiecie. To się jakoś nazywa.

– Chcesz powiedzieć, że Carl Seavers pisał kod? – rzucił Abe od niechcienia.

– Właśnie, tak, kod. No właśnie, nie grał, ale może pracował nad jakąś aplikacją czy coś takiego. Słyszałam, że można niezłe zarobić, jak się wymyśli coś takiego.

– Bardzo nam pomogłaś, Gillian. – Abe przewrócił stronę w notesie i wpatrywał się w nazwisko, jakby widział je po raz pierwszy. – Jeszcze tylko kilka pytań. W tym samym czasie pracował z wami ktoś jeszcze, niejaki Egan Webster.

– Ten dupek? – Gillian przewróciła oczami. – Pewnie, że go pamiętam. Sukinsyn miał żonę i dzieci, co mu nie przeszkadzało spać z każdą laską w mini i na obcasach. Podrywał mnie, ale kazałam mu spadać.

W jej głosie dawało się wyczuć gorzką dumę.

– Dlatego, że miał żonę i dzieci? – zapytała Daphne.

Gillian wzniosła oczy do nieba.

– Cóż, mogłabym skłamać i powiedzieć, że tak, ale tak naprawdę było w nim coś zimnego i nieprzyjemnego. Nigdy nie wiedziałam, co to dokładnie jest. Był przystojny, to trzeba mu przyznać. I miał charyzmę, a to przyciągało klientów. Nie wyobrażacie sobie nawet, kogo miał na swojej liście klientów. Mnóstwo starszków powierzało mu oszczędności całego życia. Zadziwiające. Podobno wyjechał do Waszyngtonu, założył fundusz hedgingowy i zbił majątek. W co, tak między nami, trudno mi uwierzyć.

– Dlaczego? – zdziwił się Abe.

– Bo kiedy u nas pracował, jakoś nie pokazał tego geniuszu – odparła. – Moim zdaniem był przeciętnym maklerem. Często sprzedawał to, co Carl. Ba, wszyscy usiłowali sprzedawać to, co Carl.

Ale ten Webster musiał jednak mieć ukryty talent, bo z nich wszystkich tylko on naprawdę wypłynął na szerokie wody.

– Dziękujemy, Gillian. – Abe wstał. Wyjął portfel i kilka banknotów. – To powinno wystarczyć na dzisiejszy rachunek.

Gillian spojrzała na banknoty na stole. Wytatuowane brwi niemal dotknęły linii włosów.

– Mój drogi, to pokryje rachunek do końca miesiąca. Dzięki.

Abe zabrał notatki i komputer i wstał. Daphne poszła w jego ślady. Gillian wpatrywała się w okno.

– W sumie to dziwne – mruknęła.

– Co? – zainteresowała się Daphne.

– Od lat nie myślałam o Websterze ani Seaversie, a tu nagle nie wiadomo skąd wszyscy chcą o nich rozmawiać.

Daphne wstrzymała oddech. Bała się patrzeć na Abe'a.

– Ktoś już pytał o Seaversa? – zapytał.

– Tak. Młoda kobieta, kilka miesięcy temu. Ładna, słodka. Postawiła mi martini, jak wy. Mówiła, że jest dziennikarką i pisze o Eganie Websterze, bo teraz jego syn startuje w wyborach do Kongresu. Zapomniałam, jak ten syn się nazywa.

– Travis Webster – rzucił Abe od niechcena.

Gillian energicznie skinęła głową.

– Tak, właśnie tak. Sami wiecie, że dziennikarze chętnie znajdują haki na polityków. Choć dobrze im tak. W każdym razie dziewczynę bardzo interesował Egan.

Abe położył komputer na stole, włączył, załadował zdjęcie Ramony, które zrobił Tom Lomax. Bez słowa odwrócił monitor w stronę Gillian. Starsza pani zmrużyła oczy.

– Tak, to ona – przyznała. – Nie pamiętam, jak się nazywała.

Daphne odchrząknęła.

– Co jej pani powiedziała?

– To samo co wam. – Gillian dopiła martini. – Jak mówiłam, dziwne, że po tylu latach wszyscy nagle interesują się Websterem. Ale pewnie tak to jest, kiedy ktoś pakuje się w politykę.

Rozdział 34

No dobra – stwierdził Abe. – Chyba mamy pierwszy kawałek układanki sugerujący autentyczną teorię spiskową.

– Co dokładnie masz na myśli? – zdziwiła się Daphne.

Siedzieli na, jak zwykła już myśleć, ich ławeczce. Parada psów, biegaczy i rowerzystów była wiecznie ta sama – podobne modne sportowe ciuchy, podobne rasowe i nie do końca rasowe psy. Jedyna różnica, to to, że tym razem ona jadła popcorn, a Abe pił napój energetyczny.

– Tak sobie myślę, że może nasz młody i bardzo zdolny pan Seavers wykombinował program przewidujący ruchy akcji – rzucił Abe. – I może, tylko może, Egan Webster zamordował go i zabrał komputer z tym programem.

Daphne odetchnęła głęboko, całym ciałem. Przez chwilę wstrzymywała powietrze.

– To poważne oskarżenie – powiedziała.

– Wiem, ale jak na razie wszystko trzyma się kupy.

– Cóż, to tłumaczy, dlaczego talent Webstera wybuchł z pełną siłą, dopiero kiedy odszedł ze starej firmy – przyznała.

– No właśnie.

Daphne chrupała popcorn i myślała intensywnie.

– Tylko że tu nie chodzi o jedno, ale dwa morderstwa. Nie zapominaj o kobiecie.

– Może z punktu widzenia Webstera była tylko skutkiem ubocznym.

– Jeśli masz rację, sprawa jest naprawdę poważna. A my nie mamy żadnych dowodów.

– Nie zapominaj, że to wszystko zaczęło się od sekretu tak strasznego, że Edith Chase bała się, że jeśli wyjdzie na jaw, ty, twoja mama i Madeline zginiecie. Od tajemnicy tak przerażającej, że nie poszła na policję na wyspie i natychmiast odesłała ciebie i twoją mamę na stały ląd, a potem sama szybko zamknęła hotel i wywiozła Madeline za granicę stanu.

Daphne zostawiła popcorn w spokoju. Patrzyła, jak słońce odbija się w wodzie.

– Webster był wtedy bardzo potężny. Właściwie był właścicielem całej Cooper Island. Wliczając w to policję.

– Webster miał fundusz hedgingowy, nad którym trząśł się jak nad jajkiem, i być może kilka trupów w szafie.

– A teraz ma syna, który stawia pierwsze kroki w polityce – dokończyła. – Jako ojciec senatora będzie miał jeszcze lepszy dostęp do władzy niż jako twórca funduszu hedgingowego. I stawka jeszcze wzrośnie.

– Jeśli to wszystko choć w małym stopniu jest prawdą, możemy założyć, że to, co było w aktówce, dowodziło związku Webstera z zabójstwami Carla Seaversa i Sharon Richards.

– Babcia Madeline mówiła, że to ich polisa ubezpieczeniowa – szepnęła Daphne.

– Co takiego?

– Zawartość aktówki – wyjaśniła. – Edith Chase nazywała ją polisą ubezpieczeniową.

Przez dłuższą chwilę analizowali to w milczeniu.

– Myślisz to samo co ja? – zapytała w końcu.

– Zależy. Chodzi ci po głowie śliczna dziennikarka, która kilka miesięcy temu zwróciła się do Gillian?

– No właśnie. Ramona Lomax.

– Co ona w tym wszystkim robi?

– Nie mam pojęcia – przyznał.

Wyciągnął telefon z kieszeni. Jack chyba odebrał po pierwszym dzwonku, bo Abe od razu zaczął mówić. Daphne obserwowała defiladę biegaczy i słuchała jego monologu.

Abe wyrzucił z siebie fakty i ich interpretację i zakończył rozmowę.

– I co? – zapytała.

– Spodobała mu się moja wersja, ale podkreślił, że mamy jeszcze kilka wielkich niewiadomych.

– Kto ma aktówkę i co chce z nią zrobić.

– I co teraz?

– Wracamy na Cooper Island i czekamy na ciąg dalszy.

– A Jack sądzi, że będzie ciąg dalszy?

– O, tak.

– Nigdy się nie myli w tych sprawach?

– Nigdy. Nie zapominaj, że był konsultantem FBI.

– Konsultantem?

– Profilerem. I był w tym bardzo, bardzo dobry. Mówiło się, że doskonale wczuwa się w sposób myślenia złoczyńcy.

Rozsiadła się na ławce, wyprostowała nogi.

– Podoba ci się taka praca, co?

Wzruszył ramionami.

– Chyba budzi się we mnie dawny gracz. Pod wieloma względami to jedna wielka gra.

Pokręciła głową, bardzo pewna złego.

– To raczej wielkie dzieło sztuki. Jeśli wszystko trafi na miejsce, odkrywasz fragment wszechświata.

A ty jesteś artystą, Abe, właśnie tak. I to bardzo, bardzo dobrym artystą.

Rozdział 35

Wydrukowałem ci plan. – Xavier wyjął z aktówki plik kartek i położył na biurku. Dokumenty były starannie spięte w lewym górnym rogu. – Masz go też na smartfonie, ale wiem, że wolisz wersję papierową.

– Dzięki. – Travis pochylił się nad biurkiem i sięgnął po dokumenty. Przejrzał listę planowanych wywiadów. – Widzę, że pociągałeś za różne sznurki. Niezły przekrój.

– Jest trochę małych, lokalnych stacji – zaplanowałem to na rano. Dodałem nawet szkolną gazetkę z Cooper Island. Sorry, ale wiesz, jakie są zasady.

– Nigdy nie lekceważ lokalnej prasy.

Xavier podszedł do okna.

– Miejscowi decydują o klęsce lub sukcesie, zwłaszcza na początku. Dzieciaki pewnie będą zachwycone, a jeśli nie one, to ich rodzice, a to w końcu właśnie rodzice głosują.

– Jasne. – Travis odłożył kartki na burko. – Coś jeszcze powinienem wiedzieć?

– Chyba już nie. Patricia już dostała swoją kopię. Chyba oboje jesteście dobrze przygotowani, ale na wszelki wypadek będę towarzyszył wam jak wierny pies, żeby w razie czego pospieszyć z pomocą.

– A rodzice?

– Zaraz do nich pójdę, wszystko jest gotowe. Najważniejsze to pilnować, żeby tata nie zboczył z tematu. Wiesz, dawniej to on był gwiazdą. Niełatwo będzie wycofać się w cień i ustąpić ci pola.

– Wiem. Robisz kawał dobrej roboty, Xavier. Doceniam to.

Xavier obejrzał się i spojrzał na niego. W niebieskich oczach lśnił entuzjazm.

– To dopiero początek. To pierwszy krok w drodze do Białego Domu. Zmienimy świat, zapomniawszy już?

– Nie – odparł.

Nawet po tylu latach imponowało mu, z jaką łatwością Xavier udaje ludzkie uczucia. W tej chwili był idealnym młodszym bratem, któremu zależy tylko na jednym – pomóc starszemu spełnić jego marzenie. Był w tym tak dobry, że czasami Travis łapał się na tym, że naprawdę chce mu uwierzyć.

Jednak już dawno temu nauczył się, że Xavier zawsze udaje. Czasami zastanawiał się, czy tylko on widzi zimnokrwistego gada pod uroczą maską.

– To wszystko na razie. – Xavier już szedł do drzwi. – Daj mi znać, gdybyś miał jakieś pytania.

– Tylko jedno – zawołał za nim Travis. – Wiesz może, co spowodowało ten wybuch w starym hotelu?

Xavier zastygł w bezruchu z ręką na klamce.

– Ojciec rozmawiał z szeryfem Dunbarem i dowódcą straży pożarnej. Pożar sklasyfikowano jako podejrzany, ale głównie dlatego, że Madeline Chase i ten Rayner upierają się, że na miejscu był ktoś oprócz nich, kobieta, która podawała się za wnuczkę starego Toma Lomaxa.

– Też to słyszałem. Mama nie wierzy, żeby to naprawdę była jego wnuczka, ale niewykluczone, że ktoś się za nią podawał. Pytanie tylko dlaczego. Lomax nie miał żadnego majątku, wszyscy to wiedzą. I po co

zabijać Madeline Chase i Jacka Raynera?

– Nie mam pojęcia. – Xavier otworzył drzwi. – Musisz ich o to zapytać.

Travis rozsiadł się wygodnie i złożył palce w wieżyczkę.

– A skoro o Raynerze mowa, wszędzie aż huczy od plotek o scysji między wami w Crab Shack. Co tam się właściwie stało?

– Jaka tam scysja. – Xavier niemal niezauważalnie zacisnął zęby. – Podszedłem przywitać się z Madeline, Rayner wstał gwałtownie i mnie potrącił, i to tak nieszczęśliwie, że upadłem. Krępujące, ale nic nikomu się nie stało.

Bzdura. Każdy, kto posłał Xaviera na ziemię – na oczach innych – narażał się na zemstę.

– Bądź ostrożny, Xavier. Sam mówiłeś, że Rayner pracuje w ochronie.

– Trzymam rękę na pulsie, uwierz mi. Mama zaprosiła Madeline i Raynera na urodziny starego.

Wybiorę się z Raynerem na spacer nad urwisko i wyjaśnimy sobie to i owo.

Być może Rayner stąpnie nieszczęśliwie i runie w przepaść, dumął Travis. Nie widział okazji dla ognia, to nie znaczyło jednak, że Xavier nie mógł improwizować.

Wyszedł. Travis został sam.

Xavier to niebezpieczny socjopata, ale nie można odmówić mu wybitnej inteligencji. Nie wiadomo, co planował, jasne jednak, że przekroczył pewną granicę. Trzeba coś z nim zrobić.

Rozdział 36

Trzeba było uciekać, stwierdziła Ramona. Zaciśnęła dłonie na kierownicy i mknęła przez deszczową noc. Trzeba było uciekać, gdy tylko usłyszała, że Madeline Chase i Jack Rayner wyszli cało z eksplozji.

A ona powtarzała sobie, że ma jeszcze czas. Bez trudu uciekłyby z wyspy na łodzi. Przy odrobinie szczęścia minęłoby kilka tygodni, zanim przyływ albo sztorm wydobyłyby z morza wynajęty samochód.

Nie szkodzi, ucieknie dzisiaj, gdy tylko dostanie ostatnią ratę. Wróci do Seattle i zniszczy wszystko, co łączyło ją z Ramoną Lomax, a potem weźmie starannie ukrytą torbę i ruszy na lotnisko. Miała w niej dość, by zacząć nowe życie pod nowym nazwiskiem. A także coś jeszcze – kopie wszystkich obciążających dowodów z aktówki. Kiedy robisz interesy z niebezpiecznymi ludźmi, warto zadbać o polisę ubezpieczeniową.

Deszcz przybierał na sile. Obawiała się już, że przegapiła szyld, więc odetchnęła z ulgą, gdy wynurzył się z mroku. Jaśniał neonowym blaskiem. Przydrożna restauracja kusiła podróżnych o każdej porze dnia i nocy.

Już prawie po wszystkim, pomyślała. Projekt dobiegał końca. Zgarnie największą wypłatę w karierze. Uśmiechnęła się pod nosem. Takie pieniądze. Z taką sumą będzie mogła zacząć nowe życie daleko, daleko stąd. Życie takie, jakiego zawsze pragnęła.

Od dziecka robiła małe przekręty, ale projekt Cooper Island to ten wielki numer, o którym zawsze śniła. Po tym wieczorze nic już nie będzie takie samo.

Restauracja znajdowała się niedaleko szosy. W oknach płonęły światła, choć dochodziła pierwsza w nocy i na parkingu prawie nie było samochodów. Ramona zakładała, że dwa auta od frontu należą do pracowników. Zajrzała do knajpy – nie widziała ani jednego gościa.

Powoli pojechała na tył restauracji, zgodnie z instrukcjami. Samotna latarnia oświetlała skrawki parkingu, ale przegrywała walkę z mrokiem na znacznej jego części.

W ciemności parkowały dwa samochody. W jednym siedzieli kobieta i mężczyzna. Okno od strony pasażera było uchylone.

W drugim był tylko mężczyzna, także przy otwartym oknie. Trwały negocjacje. Ktoś coś sprzedawał, ktoś kupował. Seks albo narkotyki, pomyślała Ramona. Była i tam w pewnym momencie swego życia. Ale już nie. Nigdy więcej.

Kiedy reflektory jej samochodu zakłóciły spotkanie, oba auta odjechały nagle. Zniknęły za zasłoną deszczu.

Zatrzymała się, ale nie zgasiła silnika.

Dzisiaj będzie po wszystkim. Żałowała tylko jednego – że nabrała starszka. Ku swemu zdumieniu poczuła do niego sympatię. Może w pewnym sensie naprawdę był dla niej dziadkiem, którego nigdy nie miała. Tak bardzo się cieszył na wieść, że ma wnuczkę, o której nigdy nie słyszał. Nie wiedziała wtedy, że miał umrzeć. Początkowo nawet wmawiała sobie, że może naprawdę zaskoczył włamywacza, tak jak twierdzili policjanci.

Ale kiedy kazano jej zwabić Chase i Raynera doszopy i zamknąć w niej na klucz, musiała spojrzeć prawdzie w oczy; pracowała dla bezlitosnego zabójcy.

Otworzyła schowek i wyjęła pistolet, który tam ukryła. Tak na wszelki wypadek.

Ciemność parkingu przecięły reflektory innego samochodu. Obserwowała go w lusterku. Zatrzymał się tuż za nią. Kierowca zbliżał się z aktówką w dłoni. Ramona odetchnęła z ulgą. Z aktówką pełną pieniędzy.

Uchyliła okno, nie puszczać broni, którą trzymała przy udzie, poza zasięgiem wzroku przybysza.

– Najwyższy czas – rzuciła.

Puściła pistolet, żeby obiema rękami chwycić ciężką aktówkę. Odwróciła się, chcąc ułożyć ją na tylnym siedzeniu.

Kątem oka dostrzegła broń, ale była za daleko, żeby sięgnąć po pistolet.

Trzeba było uciekać, pomyślała.

A potem było po wszystkim.

Wystrzał niósł się głośnym echem w nocnej ciszy, ale pracownicy restauracji nie byli głupi. Nie wyszli, żeby sprawdzić, co się dzieje na tylnym parkingu. Zamknęli drzwi na klucz i dopiero wtedy zadzwonili po policję.

Kiedy zjawili się funkcjonariusze, zabójca był już daleko.

Rozdział 37

Jakimś cudem kiedy byliśmy małe, wszystko wydawało się dużo większe – zauważyła Daphne. – Hotel, miasteczko, domek, w którym mieszkałam z mamą. Nawet plaża. Teraz to wszystko jest takie małe. Jak to możliwe?

– Patrzymy na to z innej perspektywy – odparła Madeline. – Dawniej Cooper Island była naszym całym światem.

– A potem zobaczyłyśmy inne miejsca i dlatego wyspa wydaje się o wiele mniejsza.

Madeline spojrzała na przeciwległy skraj kamienistej plaży i przypomniała sobie, jak duża wydała się im w dawnych czasach. Wtedy przybiegały tu, żeby dzielić się tajemnicami dzieciństwa przegradzającego się w kobiecość.

Dzisiaj chciały zaczerpnąć świeżego powietrza i odruchowo skierowały się ku ścieżce wijącej się w dół urwiska. Nie musiały nic mówić. Plaża wzywała je dawniej i teraz.

Dzień był rzeński, ale słoneczny. W blasku słońca, jak teraz, było zadziwiająco ciepło, lecz w cieniu nadal czaił się chłód.

– Chyba tak to działa – ciągnęła. – Patrzymy na to z innej perspektywy, mamy inny punkt odniesienia.

Daphne odwróciła głowę w jej stronę. Słońce odbijało się w ciemnych okularach.

– W takim razie, skoro z perspektywy czasu przeszłość jest taka mała, czemu spieszy nam na spotkanie z impetem meteorytu?

– Wiesz, co wbijają ci w głowę na kursie na prawo jazdy: samochody w tylnym lusterku są większe, niż się wydaje.

– Już dawno powinniśmy były coś zrobić z tym konkretnym meteorytem. Na przykład rozbić ścianę w pokoju dwieście dziewięć i obejrzeć zawartość aktówki. Przynajmniej wiedziałybyśmy, na czym stoimy.

– Co jakiś czas przychodziło mi to do głowy, ale zawsze mi się wydawało, że nie mam prawa tego zrobić – wyznała Madeline. – Uważałam, że ta tajemnica to sprawa dorosłych, babci i Toma. Ja byłam wtedy tylko dzieckiem.

– Ale teraz i my jesteśmy dorosłe.

– Tak.

Przez dłuższą chwilę szły w milczeniu. Dawniej prawie zawsze któraś coś mówiła – miały tyle ważnych tematów: chłopcy, szkoła, chłopcy, ciuchy, chłopcy, filmy, chłopcy. Były siostrami w drodze ku dorosłości i nie mogły się doczekać, kiedy dotrą do mety.

A potem nadeszła tamta noc krwi i przemocy, noc, która wszystko zmieniła. Podróż ku dorosłości trwała nieprzerwanie, ale żadna z nich nie wędrowała dłużej pod kojącą peleryną niewinności. Mężczyzna nazwiskiem Porter uchylił przed nimi rąbka mroku, który zawsze czaił się tuż pod powierzchnią, a kto raz go zobaczy, nie potrafi o nim zapomnieć.

– Chyba zrobiliście z Jackiem ważny krok, kiedy byliśmy w La Jolla – zaczęła Daphne.

– Aż tak to widać?

– Cóż, zważywszy, że śpicie w jednej sypialni, tak, aż tak to widać. Zresztą od początku wiedziałam, że coś was łączy. Napięcie między wami było nie do wytrzymania.

– Obserwowaliśmy się od trzech miesięcy. Babcia zatrudniła go tuż przed śmiercią. Przejęłam go w spadku.

Daphne uśmiechnęła się.

– Interesujący początek związku.

– Przynajmniej mogę sobie darować przesiadywanie w barach i wypełnianie kwestionariuszy na portalach randkowych.

– Fakt. Myślisz, że to coś poważnego?

– Nie. Od początku dał mi jasno do zrozumienia, że nie ma przed nami przeszłości. Jak powiedziałaaby babcia, mężczyźni jego pokroju się nie żenią.

– Jack to powiedział?

– Dał mi jasno do zrozumienia; chciał, żeby wszystko było jasne, zanim wylądujemy w łóżku.

– Hm. Cóż, przynajmniej tego nie ukrywa. W przeciwieństwie do innych, jak choćby ten drań mój mąż.

– Fakt – mruknęła Madeline. – Jack od początku stawiał sprawę jasno: małżeństwo go nie interesuje.

– Tak powiedział? Nie interesuje?

– Nie dosłownie. Po prostu zaznaczył, że nie da mi przyszłości.

– Jezu. – Daphne pobladła. – Jest chory?

– Nie, nic z tych rzeczy.

Daphne ruszyła z miejsca.

– Nie uwierzę, że ma żonę i gromadkę dzieci. Abe by mi o tym powiedział.

– Nie, to nie to.

– Więc co z nim nie tak?

– Sama nie wiem – przyznała Madeline. – Teoretycznie mogłabym zatrudnić kogoś, żeby go sprawdził.

Ale to byłoby dość dziwne.

Daphne zachichotała.

– Kogo zatrudnisz, żeby sprawdził tego, którego zatrudniasz, żeby sprawdzał innych?

– No właśnie. Chociaż w tym wypadku nie ma sensu naciskać. Czuję, że to, co nas łączy, nie potrwa długo.

– Wydawało mi się, że kobiety biznesu myślą pozytywnie.

– Jestem realistką – poprawiła Madeline. – Tym sposobem mniej zabolę, gdy już będzie po wszystkim.

– A skąd przekonanie, że będzie po wszystkim?

– Z doświadczenia moich wcześniejszych związków.

– Problemy z bliskością.

– No właśnie.

– Jack o tym wie?

– Tak. Ucieliśmy sobie długą rozmowę, zanim... no wiesz.

– Zanim poszliście do łóżka.

– Tak.

– Co za romantyzm.

– Co za sarkazm.

– Zawsze uczynasz sobie taką rozmowę z potencjalnym kochankiem? – zapytała Daphne ciekawie.

– Staram się nie owijać niczego w bawełnę.

– I co to daje?

– Nic. Początkowo facetom się wydaje, że jestem kobietą idealną, no wiesz, skrzyżowanie kochanki w

skórze z odrobiną seksu bez zobowiązań.

– Marzenie każdego faceta.

– Na początku.

– Co idzie nie tak?

– Oczywiście poza faktem, że nie noszę skórzanej bielizny do łóżka?

– Poza tym – zgodziła się Daphne.

– Przede wszystkim mam pewne oczekiwania. Chcę sama zdecydować, czy pójdę z kimś do łóżka, czy nie. Szukam towarzysza, nie tylko kochanka.

– Chcesz prawdziwego związku. To jasne.

– Przyznaję też, że podobają mi się faceci, z którymi można chwilę porozmawiać na różne tematy – ciągnęła Madeline.

– Zawsze miałaś mnóstwo zainteresowań.

– I kiedy tak sobie gadam z takim facetem, sprawdzam go ukradkiem. Jeśli wszystko jest w porządku, mogę z nim iść do łóżka. Zazwyczaj jednak ociągam się w tej pierwszej fazie, bo seks jest zawsze początkiem końca.

– Może jednak pomyśl o tej skórze w łóżku. Podkręć bieliznę. Może mały pejczyk? Może dzięki temu twoje związki potrwają dłużej.

Madeline zachciało się śmiać. I nagle zaniosła się śmiechem.

– Wiesz co, Daphne, wcale się nie zmieniłaś. Zawsze służysz radą co do stylu i mody. Powinnaś o tym pisać.

– Przez lata nauczyłam się jednego: ludzie mają w nosie moje rady, tylko udają, że ich słuchają.

– Zapewne dlatego, że większość ludzi najchętniej tylko narzeka, a wcale nie chcą wziąć sprawy w swoje ręce i rozwiązać swoich problemów.

– Ty też się wcale nie zmieniłaś, Maddie – zauważyła Daphne. – Tak samo pragmatyczna jak wtedy, gdy miałaś dwanaście lat. Kiedy widzisz, że coś się nie uda, bez odrobiny żalu odwracasz się na pięcie i idziesz dalej.

– No jasne, powiedz to, jestem nudną bizneswoman.

– Nie, jesteś superfajną właścicielką sieci hoteli, która wie, jak stworzyć ciepłe, przytulne miejsce dla znużonego turysty.

– Wielkie dzięki, ale obawiam się, że nudna też jestem.

– Cudem uszłaś z życiem z wybuchu, stawiałaś czoło Louisie Webster, usiłujesz rozwiązać zagadkę sprzed lat i sypiasz z uzbrojonym facetem. Co jak co, ale nudna nie jesteś na pewno.

Madeline przemyślała to.

– Masz rację. W tej chwili moje życie wcale nie jest nudne.

– Abe powiedział, że kiedy Jack podejmie decyzję, jest jak rozpedzony pociąg towarowy. Masz do wyboru, uciekać albo wskoczyć do wagonu.

– No i?

– I tak sobie myślę, że jeśli Jack się zaangażuje, to na amen – rzuciła Daphne.

– Pewnie tak.

– No dobrze. Zostawmy te sprawy. Jak się czujesz po przejęciu firmy babki?

Madeline myślała intensywnie.

– Sama nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Zawsze wiedziałam, do czego dążę. Nigdy nie chciałam robić nic innego. Za namową babci pracowałam w każdym dziale, na każdym stanowisku, pięłam się w górę, aż doszłam do zarządu. I uwielbiam to. Więc owszem, podoba mi się to, bo od dziecka mnie do tego szykowano.

– Urodziłaś się do tej roboty.

– Tak, ale i tak bardzo tęsknię za babcią. Często się kłóciłyśmy. Bywała strasznie uparta. Ale kochałyśmy się bardzo.

– Byłyście rodziną – szepnęła Daphne. – Rozumiem to. Ja też jestem bardzo zżyta z mamą. Zamartwia się o mnie od śmierci Brandona.

– Mówiłaś jej o tej drugiej kobiecie?

– Nie. Bałam się, że to tylko pogorszy sprawę. Bardzo lubiła Brandona i cieszyła się, że, jak to ujmowała, znalazłam bratnią duszę. Nie mogła doczekać się wnuków.

– Powinnaś jej powiedzieć, jak było naprawdę.

– Tak uważasz?

– Tak. Kogo chronisz? Siebie czy ją?

– Dobre pytanie. Nie myślałam o tym w ten sposób. – Daphne zawahała się. – Chyba siebie. Nie chciałam przyznać nikomu, nawet mamie, że taka ze mnie naiwna idiotka.

– Nie jesteś idiotką. Jesteś szlachetna i dobra, za to facet, za którego wyszłaś, był draniem i oszustem. Nie był cię wart, tak, ale to nie znaczy, że jesteś idiotką. Wydaje mi się, że wszyscy dobrzy ludzie w którymś momencie życia popełniają ten sam błąd i ufają draniom. A potem żyją dalej.

– Do kogo ta mowa? Do ciebie czy do mnie?

– Chyba do nas obu – przyznała Madeline.

– Brzmi rozsądnie.

Szły dalej w milczeniu.

– Założmy, że mogłabyś cofnąć czas – odezwała się w końcu Madeline. – Do tej chwili, gdy twój mąż usłyszał diagnozę. I w tym samym tygodniu dowiadujesz się, że ma romans. Naprawdę myślisz, że mogłabyś wtedy od niego odejść?

– W mgnieniu oka – zapewniła Daphne z ponurą satysfakcją.

– Nieprawda – sprzeciwiła się Madeline. – Byłabyś załamana i zła, ale nie zostawiłabyś go.

– Skąd ta pewność?

– Znam cię.

– Znałaś mnie, gdy byłam mała.

– Już wtedy byłaś dobra i odważna. Babcia zawsze powtarzała, że ludzie tak naprawdę nigdy się nie zmieniają, nie w ważnych sprawach. Nikogo nie zostawiłabyś na samotną śmierć, nawet niewiernego męża.

– Ale przynajmniej wygarnełabym mu, co o nim myślę.

– O tak, wygarnełabyś mu.

– Coś takiego – mruknęła Daphne. – Wiesz, naprawdę mi ciebie brakowało przez te wszystkie lata.

– Mnie też. Ale do tej chwili nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– To tak jak ja.

Madeline patrzyła na odsłoniętą odpływem plażę. Na piasku wrzało życie. Kraby i rybki spędzały całe życie na kawałku liczącym kilkanaście metrów kwadratowych i to był cały ich świat – tu szukały pożywienia, rozmnażały się, ukrywały przed wzrokiem drapieżników.

Perspektywa to podstawa. I zarazem ułuda. Drapieżniki czają się wszędzie, bez względu na to, jak wielki lub mały jest twój świat.

Ale i przyjaźń jest w zasięgu ręki. Trzeba ją tylko odnaleźć.

I może, może, tak samo jest z miłością.

Rozdział 38

Abe odłamał zdrewniałą część łydygi ostatniego szparaga i z dumą spojrzął na deskę do krojenia.

– I co ty na to, szefie? Dostanę szóstkę?

Jack podniósł głowę znad płatów łososia, które nacierał przyprawami. Zerknął na szparagi.

– Wygląda nieźle – przyznał. – Teraz osusz je ręcznikiem papierowym, przełóż do miski, zalej oliwą, dodaj sól i sok z cytryny.

– Ej, powoli! – Abe rozłożył ręce. – Łatwo ci mówić. Ile oliwy? Ile soli?

– Na oko.

– O nie. Nie chcę wszystkiego spieprzyć i potem oberwać za klęskę.

– Dobra, siadaj, żółtodziobie – mruknął Jack. – Podaj mi oliwę.

Umył i wytarł ręce, podszedł do deski do krojenia. Przełożył szparagi do miski, skropił oliwą, dodał gruboziarnistej soli, wycisnął pół cytryny.

– No, już – oznajmił. – Wyłóż blachę papierem do pieczenia i przełóż szparagi.

– A potem?

– A potem zabiorę się do sosu hollandaise.

– O rany. Chcemy dzisiaj zaimponować damom, co?

– Masz z tym problem?

– A skądże – zapewnił Abe. – Mam jeszcze tylko jedno pytanie.

Jack wyjął z lodówki jajka i masło.

– Tak?

– Czy dzięki gotowaniu łatwiej poznajesz kobiety?

– Nie wydaje mi się.

– Błagam cię. Na pewno są zachwycone.

– Czasami – przyznał. Przełożył masło do garnuszka i postawił na palniku. – Na początku. Ale to nigdy nie trwa długo. Wcześniej czy później pewne rzeczy wychodzą na pierwszy plan i moje zdolności kulinarne tracą znaczenie. Bo widzisz, kobiety są bystre. Szybko kojarzą, że jedzenie można zamówić.

– Inne rzeczy, czyli twoje zahamowania.

– Tak.

– Słuchaj, nie znam się za bardzo na związkach, ale moim zdaniem Madeline nie ma z nimi problemu.

– Ale będzie. – Jack rozkroił kolejną cytrynę i wcisnął sok do filiżanki. – Wcześniej czy później. Nie stój tak beczynn timer, pokrój ten chleb na zakwasie, który dzisiaj kupiłem.

– To kolejna rzecz, którą w tobie podziwiam, szefie.

– Czyli co?

– Pogodę ducha i optymizm. Doprawdy wspaniałe.

– Nie ma to jak inspirować pracowników.

– Oboje, i Becky, i ja, bardzo to doceniamy.

Telefon Jacka zadzwonił, gdy ten oddzielał trzecie żółtko od białka. Wylał ręce w ściereczkę i sięgnął po aparat.

– Becky. Idealny moment. co masz dla mnie?

– Nic, z czym mógłbyś pójść na policję, nic, co nadaje się do sądu, ale wygląda na to, że w noc pożaru Edith Chase miała gościa – odparła.

Poczuł znajomy przypływ adrenaliny.

– Mów.

– Kiedy rozdzwonił się alarm, w hotelu panował typowy dla takich sytuacji kontrolowany chaos, jak zawsze podczas ewakuacji sporego obiektu – zaczęła. – Oczywiście nie licząc jednej ofiary śmiertelnej.

– Pani Chase. No, dalej.

– Udało mi się dotrzeć do prawie wszystkich pracowników hotelu. Jeden z boyów powiedział, że kiedy rozległ się alarm, miał za zadanie obejść po kolei wszystkie pokoje, bezpośrednio pod piętrem, na którym przebywała pani Chase. Miał pełne ręce roboty, wyprowadzając gości z pokoi na klatkę schodową. Sprawdzał ich według listy, żeby upewnić się, że nie pominął żadnego pokoju. Interesowało go tylko jego piętro, ale kiedy zapytałam o panią Chase, powiedział coś ciekawego.

– Czekam z zapartym tchem.

– No, dobra. Kiedy zaczął obchód, część gości już była na schodach, ale tuż przed tym, jak sam wyszedł na klatkę schodową, słyszał, jak piętro wyżej drzwi zamykają się i otwierają. Był pewien, że ktoś tam jest.

– Hm.

– Nie zwrócił na to uwagi, bo koncentrował się na swoim piętrze. Wtedy jednak myślał, że to sama pani Chase czy ktoś, kto miał dopilnować, żeby bezpiecznie opuściła hotel. Jak wiesz, apartament właścicielki zajmuje całe piętro. Była tam sama.

– Widział tego, kto poszedł na górę?

– Nie. Miał swoje zadanie i na nim się skupiał. Szedł swoim korytarzem i po kolei pukał do drzwi. Zapytałam, czy słyszał kobietę, czy mężczyznę, ale nie wiedział. Zakładał, że była to kobieta, bo...

– Bo sądził, że to Edith Chase.

– Tak jest. Jak powiedziałam, nie czekał, co będzie dalej, bo miał pełne ręce roboty. Kiedy okazało się, że pani Chase zginęła w pożarze, powiedział o tym policji, ale wywnioskowałam, że nikt się tym nie przejął. Uznano, że to nieważne.

– Pewnie założyli, że w chaosie na schodach źle coś zinterpretował.

– Sam wiesz, jak dziwnie głos niesie się w klatce schodowej – zauważyła Becky. – Same twarde powierzchnie. Zazwyczaj słyszysz głosy kilka pięter niżej lub wyżej.

– Dzięki, Becky. Odwaliłaś kawał dobrej roboty.

– Dostanę podwyżkę? I służbowy samochód?

– Co powiesz na złotą naklejkę na komputer?

– Samoprzylepną czy taką do polizania?

– Jak będziesz taka wybredna, nic nie dostaniesz.

– Wezmę, co dasz – mruknęła. – Coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

– Mówiłaś, że dotarłaś do prawie wszystkich pracowników hotelu. Kogo pominęłaś?

– Pokojówkę, która tego dnia miała mieć oko na apartament. Zaraz po pożarze wyjechała z miasta, żeby zaopiekować się chorymi rodzicami.

– Znajdź ją.

Jack rozłączył się, podniósł głowę i zobaczył Madeline i Daphne w progu kuchni. Madeline była rozbawiona, Daphne lekko uniosła brwi. Abe układał szparagi na blasze, ale kąciki jego ust niosły się

odrobinę.

Jak spojrział na Madeline.

– Coś mi umknęło?

– Czy ty kiedykolwiek mówisz: do widzenia? – zapytała Madeline z autentyczną ciekawością.

– Nie lubię pożegnań – burknął.

– Bo to strata czasu? – domyśliła się.

– Nie. Bo są takie ostateczne – wyjaśnił. – Żegnam się, kiedy naprawdę chcę się z kimś rozstać. Kiedy wiem, że nigdy więcej się nie zobaczymy. Albo kiedy mam taką nadzieję.

Teraz już wszyscy wpatrywali się w niego ze zdumieniem.

Przelał żółtko, sok z cytryny, sól i odrobinę pieprzu cayenne do miksera i włączył urządzenie.

Powoli dodawał stopione masło. Nie tak zazwyczaj robi się sos hollandaise, ale to niezawodny sposób. Dzisiaj nie chciał niczego schrzanić.

– Obiad za dwadzieścia minut – rzucił. – Jeszcze wina albo piwa?

Rozdział 39

Madeline zjadła ostatni kawałek szparaga i z błogością na twarzy odłożyła sztucce.

– Dawno nie jadłam nic tak dobrego – oznajmiła. – Może nawet nigdy w życiu.

– Pyszne – zawtórowała Daphne. – Nieziemskie. Poproszę przepis na sos hollandaise.

Twarz Jacka pozostała nieruchoma, ale Madeline mogłaby przysiąc, że w tajemniczych jak zawsze oczach błysnęło coś na kształt zadowolenia.

Abe spojrzał na Daphne.

– Żeby wszystko było jasne, szparagi robiłem ja.

– Naprawdę? – Była pod wrażeniem. – Ten przepis też poproszę.

Abe rozpromienił się.

– Prześlę ci.

Jack wstał.

– Posprzątajmy ze stołu. Musimy pogadać.

– A co z deserem? – Abe poruszył się niespokojnie.

– Może poczekać – zdecydował Jack.

Abe był wyraźnie zawiedziony, ale nie protestował. Wstał, sięgnął po talerz Daphne.

Naczynia zniknęły. Panowie wynieśli je do kuchni.

Daphne spojrzała na Madeline przez całą szerokość stołu.

– Mogłabym przywyknąć do takiego traktowania – szepnęła.

– Ja też.

Jack i Abe wrócili niedługo później. Jack wytarł ręce w ściereczkę, usiadł, wyjął laptop.

Abe włączył telefon i spojrzał na wyświetlacz.

– Hm.

– Co? – zainteresował się Jack.

– Zadziałał jeden z tych alertów, o które prosiłeś – odparł. – Chciałeś, żebym dostawał powiadomienia o zgonach w promieniu trzydziestu kilometrów od przeprawy promowej na stałym lądzie. Na parkingu całodobowej restauracji, piętnaście kilometrów od portu, doszło do zabójstwa. Kobieta zginęła od strzału w głowę. Wygląda na nieudaną transakcję narkotykową.

Madeline przeszył dreszcz. Spojrzała na Jacka. Siedział bez ruchu.

– Ustalili jej tożsamość? – zapytał.

– Miała przy sobie prawo jazdy na nazwisko Anna Stokes – czytał Abe. – Trzydzieści dwa lata, adres w Seattle. Poczekaj, jest zdjęcie. – Gwizdnął cicho. – Powitajmy Ramonę Lomax.

Abe położył telefon na stole tak, że wszyscy widzieli fotografię na wyświetlaczu.

– To ona – potwierdziła Madeline. – Ta kobieta, która podawała się za wnuczkę Toma. Ta, która zwabiła nas do szopy tuż przed eksplozją.

– Miałeś rację, szefie. – Abe sięgnął po telefon. – Pewnie ktoś ją zatrudnił, wykorzystał, a kiedy była

już niepotrzebna, pozbył się jej.

Chłód, który wcześniej przyprawił Madeline o dreszcz, teraz wypełnił cały pokój. Dziwiło ją, że z sufitu nie zwisają lodowe sople.

A najzimniej było wokół Jacka.

– Dowiedz się o niej jak najwięcej – polecił. W jego głosie nie było żadnych emocji. Wstał, poszedł do kuchni. – Zaparzę kawy. Czeka nas długa noc.

Zniknął za drzwiami, a po chwili Madeline usłyszała szum wody.

– Wszystko z nim w porządku? – zapytała cicho.

Abe zmarszczył brwi, zerknął na drzwi do kuchni, a potem pochylił się nad stołem i szepnął do Madeline:

– Czasami taki jest. Myśli intensywnie o elemencie sprawy, który na razie nie pasuje do reszty.

Myślał, to fakt, przyznała. Ale nie była przekonana, czy chodzi tylko o analizę faktów – w każdym razie nie w tej chwili.

Rzuciła serwetkę na stół, wstała i poszła do kuchni. Stał przy zlewie, nabierał wody do dzbanka ekspresu. Odezwał się, nie odwracając głowy.

– Kawa zaraz będzie – rzucił.

– Ramona, czy jak tam się naprawdę nazywała, chciała nas zabić. Pomagała mordercy – odparła. – Być może to ona zabiła Toma Lomaxa.

Jack wstawił dzbanek do ekspresu, włączył urządzenie.

– Możliwe, choć w to wątpię – mruknął. – Pewnie dowiemy się, że Ramona Lomax była oszustką małego kalibru, która wpakowała się w większą sprawę.

– A co nam to mówi?

Jack odwrócił się i oparł o staroświecki kontuar. Skrzyżował ręce na piersi.

– Nie wiem jeszcze. Być może to przełom, na który czekaliśmy. Morderca popełnił duży błąd.

– Dlaczego tak uważasz? Moim zdaniem zabójca Ramony zachowuje wszelkie środki ostrożności. Zobacz, ona nawet nie zginęła na wyspie, tylko na stałym lądzie, kilkanaście kilometrów od wybrzeża, i to w taki sposób, że policja od razu pomyślała o handlu narkotykami. I nie miała przy sobie dokumentów na nazwisko Ramona Lomax.

– Morderca już o to zadbał – odparł Jack. – Problem w tym, że i ty, i ja możemy ją zidentyfikować jako rzekoma Ramonę Lomax. A teraz okazuje się, że zginęła, kiedy ciągle była blisko epicentrum całej sprawy. To błąd.

– Ale dlaczego?

– Bo jej zabójstwo to bardzo wyraźny sygnał, że istnieje związek między rzekomą wnuczką Toma a kimś na wyspie.

Madeline zamyśliła się.

– Xavierem Websterem?

– Niewykluczone. Śliczna oszustka pada ofiarą charyzmatycznego socjopaty, jeszcze większego oszusta. Bardzo możliwe, tak. Ale w przeszłości zdarzało mi się już mylić, kiedy ograniczałem listę podejrzanych i możliwych scenariuszy tylko dlatego, że miałem za mało danych.

– Abe zdobędzie więcej danych. Daphne mówi, że dokonuje istnych cudów w Internecie.

Jack uśmiechnął się leciutko.

– Cudów? Ciekawe, co ona na to. Marzy mu się rola białego kapelusza, superkomputerowca, który rozwiązuje zagadki kryminalne, pisząc genialne kody.

Madeline przypomniało się, jak oczy Abe'a błyszczą odrobinę jaśniej i cieplej, kiedy patrzy na Daphne.

– Myślę, że nie ma nic przeciwko temu, że nazywa go artystą – odparła.

Jack odwrócił wzrok, spojrzał w okno przez pożółkłe firanki, jakby zdumiony, że nagle zapadł zmrok.

– Idę się przejść – rzucił. – Zaraz wracam.

Odwrócił się, otworzył drzwi, wyszedł na werandę otaczającą cały dom. Do środka wpadło chłodne powietrze.

Madeline przez chwilę gapiła się w okno, nie wiedząc, co dalej. Nadal nie wiedziała, jak określić to, co łączyło ją z Jackiem. Mimo wszystkiego, co ostatnio przeszli, dzielił ich niewidzialny mur.

Jack zbiegł z werandy i zniknął w ciemności.

Była ciekawa, kiedy stał się samotnikiem. Najwyraźniej miał rodzinę, której na nim zależało, ale równie dobrze widziała, że chyba ani Abe, ani pozostali nie zdołali przebić szklanej ściany, która oddzielała Jacka od całego świata.

Może problem polega na tym, że Jack wcale nie chce, by pękła.

Podeszła do drzwi oddzielających kuchnię od jadalni. Abe i Daphne siedzieli obok siebie, wpatrzeni w ekran jego laptopa.

Podnieśli głowy, kiedy stanęła w progu. Wiedziała, że słyszeli trzask drzwi na zewnątrz. Abe spojrzał w stronę kuchni. Zacisnął zęby i pochylił się ponownie nad komputerem.

W oczach Daphne malowało się współczucie. Nic nie powiedziała.

Madeline zdecydowała się nagle.

– Zaraz wracam – rzuciła.

Odwróciła się na pięcie, weszła do kuchni, uchyliła drzwi, zamknęła je za sobą, objęła się ramionami dla ochrony przed chłodem i poszła na najdalszy skraj werandy.

Jack opierał się dłońmi o barierkę, wpatrzony w mrok. Nie odwrócił się. Zatrzymała się pół metra od niego.

– Wiedziałaś że kobieta podająca się za Ramonę Lomax zginie, prawda? – domyśliła się.

W pierwszej chwili nie sądziła, że w ogóle jej odpowie. Powtarzała sobie, że powinna była zostać w kuchni i pozwolić, by sam zmagął się ze swoimi demonami. Ale tak wiele ich łączyło. Była między nimi specyficzna więź. Nie mogła zostawić go samego w tej walce, nie dziś. Czekala więc, świadoma, że usiłuje skłonić go do reakcji, stosując mało subtelną taktykę milczenia.

– To był najbardziej prawdopodobny scenariusz – odparł. – Pomyśl z zaginioną wnuczką Lomaxa miał wszystkie cechy dobrze zaplanowanego, profesjonalnego przekrętu. To nie była nowicjuszka. Ktoś ją do tego zatrudnił. Ale nie ona pociągała za sznurki, więc kiedy jej rola się skończyła, nie była już potrzebna.

– Pozwolisz, że zabawię się w detektywa – odezwała się Madeline. – Pomyślałam sobie, że przewidywanie śmierci i zarazem świadomość, że nic na to nie możesz poradzić, napawa człowieka lodowatym chłodem.

Dopiero teraz na nią spojrzał. Milczał.

– Poprawka: porządnego człowieka – dodała. – Porządny człowiek pewnie gryzie się pytaniem, czy fakt, że potrafi przewidzieć myślenie mordercy, nie oznacza zarazem, że sam mógłby zamordować z zimną krwią. Może nawet sprawia, że taki człowiek wątpi, czy naprawdę jest taki, jak mu się wydaje.

Nic nie mówił, tylko na nią patrzył.

– To była twoja praca w FBI? Profilowałeś morderców? Przewidywałeś, kto będzie kolejną ofiarą?

– To męczy – odparł. Wydawał się bardzo znużony. – Bardzo, bardzo męczy.

– Coś takiego.

Nie odpowiedział.

– Przykro mi, że wciągnęłam cię w świat, z którego chciałeś odejść – szepnęła.

– Nie. – Poruszył się gwałtownie, pokonał dzielącą ich przestrzeń, objął ją. – Nie w tym rzecz,

Madeline. Chodzi o to, że obawiam się, że tym razem zawiodę.

– Pamiętaj tylko, że nie jesteś sam.

Objęła go z całej siły. Po pewnym czasie wydawało się, że nie ma w nim już takiego chłodu.

– Madeline – powiedział.

Tylko tyle; wyszeptał to cicho, jakby w tej chwili nie trzeba było innych słów.

Jeszcze bardzo długo stali w mroku.

Rozdział 40

Daphne niespokojnie spojrzała na drzwi do kuchni.

– Długo ich nie ma.

– Wiem. – Abe nie podniósł głowy znad komputera. – Powoli dochodzę do wniosku, że Madeline jest odpowiednia dla Jacka. Przy niej jest inny.

– Czyżby?

– Mówiłem ci, że wszyscy się o niego martwimy. Od pewnego czasu.

– Ze względu na jego problemy z kobietami?

– Częściowo. Ostatnimi czasy interesuje go tylko praca. Jak mówiłem, mama obawia się, że całkiem skreślił małżeństwo.

Daphne ponownie zerknęła w stronę kuchni.

– Twoim zdaniem... czemu Jack nigdy się nie ożenił?

Abe zawahał się. Miała wrażenie, że waży słowa, jakby od tej chwili musiał być bardziej ostrożny.

– Rozwija Rayner Risk Management – zaczął. – A kiedy budujesz firmę od zera, pochłania to całą energię.

– A zaczynał od zera?

– Jego poprzednia firma, którą założył z przyjacielem jeszcze z czasów FBI, zbankrutowała po śmierci tego kumpla w wypadku nurkowym. Więc owszem, postawienie RRM na nogi kosztowało go sporo wysiłku.

– A ty? – zapytała nagle. – Bierzesz pod uwagę, że kiedyś ponownie się ożenisz?

Znieruchomiał. Nie odrywał wzroku od ekranu komputera.

– Pewnie tak. To u nas rodzinne.

– Śluby?

– Tak.

– Ale następnym razem będziesz bardziej ostrożny, prawda?

– Postaram się. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, w małżeństwie nigdy nie ma pewności. Schrzaniłem za pierwszym razem i niewykluczone, że spieprzę sprawę i za drugim.

Wzdrygnęła się.

– Wiem, co masz na myśli. Mam tak samo.

– Nadal jesteś w żałobie. – Abe spoważniał. – Musisz dać sobie więcej czasu.

– Moja żałoba skończyła się tego samego dnia, gdy dowiedziałam się, że przez większość naszego małżeństwa Brandon miał romans z inną.

– O cholera. – Abe odetchnął głęboko. – Przepraszam. Nie wiedziałem.

Przyglądała mu się przez chwilę i nagle uśmiechnęła się.

– Żeby było jasne: przez większość minionego roku byłam wściekła, nie smutna.

Rozwazał to przez chwilę.

- Czyli twój brak apetytu nie wynikał z żałoby?
- Nie wiem, kiedy przestałam jeść. Może to forma depresji?
- Ale dzisiaj wszystko ci smakowało.
- Tak. – Zawahała się. – Szczególnie szparagi.

Abe wydawał się bardzo zadowolony.

- Więc czujesz się lepiej?
- O wiele lepiej. Rozmowa o Brandonie z Maddie była bardzo... oczyszczająca.
- Co ci powiedziała?
- Przypomniała mi, że ja żyję, a on nie, i jeśli chodzi o zemstę, lepiej być nie może.

Abe gwizdnął pod nosem.

– Ostro.

– No.

– Podoba mi się. Nic dziwnego, że Madeline i Jack tak się rozumieją. Są do siebie podobni. Oboje od razu przechodzą do sedna. I jak się teraz czujesz?

– Super. Wystarczyła zmiana perspektywy.

– To dobrze. To bardzo dobrze. – Abe odchrząknął. – Więc skoro już nie jesteś w żałobie i odzyskałaś apetyt... Czy to znaczy, że jesteś gotowa zacząć nowe życie?

Uśmiechnęła się.

– Chyba tak.

Rozdział 41

Jacka obudził dźwięk telefonu. Otworzył oczy, chwilowo zbity z tropu faktem, że nie jest w łóżku sam. W ciągu ostatnich dwóch lat przywykł do tego, że śpi sam. Nie przywykł do obecności ciepłego, miękkiego ciała tuż obok. Doszedł jednak do wniosku, że nie miał nic przeciwko obecności tego konkretnego ciepłego ciała u swego boku.

Telefon nie dawał za wygraną. Madeline poruszyła się.

– To twój, nie mój – mruknęła.

– Wiem.

Niechętnie wyplątał się z kołdry i sięgnął po telefon. Skrzywił się, widząc nazwisko na wyświetlaczu.

– To jakiś żart, Abe? Zapomniałeś, że jesteśmy w tym samym domu? Po drugiej stronie korytarza, dokładnie mówiąc.

– Chciałem być dyskretny – odparł Abe. – Wolałem nie wpadać bez uprzedzenia i dlatego zadzwoniłem.

Jack spojrział na Madeline. Obserwowała go w mroku. Nie widział jej miny, ale wiedział, że jest przytomna i skupiona. Ponownie skoncentrował się na rozmowie.

– Rozsądnie – pochwalił. – A teraz powiedz, co jest tak ważne, że budzisz mnie o pierwszej w nocy?

– Obudziła mnie wiadomość, kolejny alert. Pamiętasz, jak chciałeś, żebym sprawdził trasy pokonywane przez wszystkich podejrzanych?

Napięcie w głosie Abe'a byłoby zapewne w innych okolicznościach, pomyślał. Jego brat buzował adrenaliną.

– Masz coś?

– Chyba tak. Sprawdziłem Ramonę Lomax, przepraszam, Ann Stokes. I nie uwierzysz, co znalazłem.

– Mów, Abe. Wiesz, że nie lubię dramatów.

– Mniej więcej trzy tygodnie temu, gdy Daphne była na rejsie, wybrała się do Denver. Na jedną noc. Założymy się, że to ona zdemolowała jej mieszkanie i ukradła komputer?

– Hm.

– No właśnie, też to powiedziałem. Myślisz, że nadaję się na członka zarządu?

– Nie sądzę. Brak ci finezji.

– Finezji? – Abe był wyraźnie oburzony.

– Co tam niuanse. Masz coś jeszcze?

– Na razie nie.

– Mówiłeś już Daphne, że wiemy, kto się do niej włamał?

Chwila milczenia w słuchawce.

– Tak się składa, że jej o tym wspomniałem – przyznał Abe.

W jego głosie było dziwne napięcie.

– Zanim się ze mną skontaktowałeś? – zapytał Jack.

- Uznałem, że ma prawo wiedzieć pierwsza. Jakkolwiek by było, to jej apartament. Dobra, to wszystko, co mam. Widzimy się rano. Kolorowych snów, szefie.
 - Poczekaj, nie...
- Cisza w słuchawce.
- Jack łypnął gniewnie na telefon, a Madeline zachichotała. Teraz łypał na nią. Usiadła, opłótła kolana ramionami.
- Co cię tak bawi? – burknął.
 - Ty – odparła. – Zbity z tropu, bo ktoś skończył rozmowę przed tobą.
- Odłożył aparat na stolik.
- Wiesz, jako genialny detektyw zaczynam chyba dostrzegać, że Abe i Daphne coraz bardziej się... lubią.
 - Też to zauważyłam – przyznała. – Ale daj im spokój. Czy Abe powiedział ci, że to Ramona Lomax włamała się do Daphne?
 - Na to wygląda. Teraz musimy tylko ustalić, dla kogo pracowała.
 - Dla kogoś, kto posunął się do morderstwa.
 - Owszem – mruknął. – Najpierw ją wykorzystał, a potem zabił.
 - Xavier?
 - Ma honorowe miejsce na liście podejrzanych.
 - Mamy całą listę? Myślałam, że figuruje na niej tylko on.
 - W mojej branży jednego uczysz się szybko: póki nie znasz wszystkich odpowiedzi, zawsze jest lista podejrzanych.

Rozdział 42

Xavier nie panuje nad sobą – stwierdził Travis. – Ostatnio żył w wielkim stresie. Lada chwila pęknie i tym razem może nam naprawdę zaszkodzić. Wiecie o tym równie dobrze jak ja.

Egan stał przy oknie w gabinecie Louisy. Nie odwrócił się, tylko zacisnął pięść.

Louisa siedziała za biurkiem. Wyciągnęła rękę po chusteczkę.

– Lekarze w instytucie zaklinali się, że tym razem udało im się ustalić właściwą kombinację leków.

– Może i tak – przyznał Travis. – Ale to nie znaczy, że Xavier je zażywa. Wszyscy doskonale wiemy, że mało brakowało, a zamordowałyby Madeline Chase i tego jej konsultanta, Raynera.

– Nieprawda, wcale tego nie wiemy – sprzeciwiła się. – Nie mamy dowodów. Nikt go nie widział. Madeline i Rayner twierdzą, że na miejscu zbrodni była kobieta.

W tym momencie Egan spojrzał na żonę.

– Louiso.

Ustąpiła.

– Kiedy był małż, mówiło się o problemach z zapanowaniem nad emocjami.

Powiedziała to takim tonem, jakby łudziła się, że nadal jest nadzieja na prostą diagnozę. Słowo „panowanie” sugerowało przecież, że można to okiełznać, ustalić dobre leki, rozważyć terapię. Ale nie było już nadziei na dobry rezultat, dumał Travis. Musiał im to uświadomić. Tylko oni byli w stanie powstrzymać Xaviera, gdy przekraczał granicę. A dawna nadzieja klanu Websterów była na skraju przepaści.

– Musimy usunąć go z drogi, aż do wyborów – orzekł Travis.

– To jeszcze ponad rok – zauważyła Louisa. – Nigdy w życiu nie zgodzi się na powrót do instytutu na cały rok. Uważa, że to więzienie.

– To dla jego dobra. I dobra całej rodziny – zauważył Travis.

– Ale Xavier tego nie rozumie – szepnęła.

Walczyła o niego, pomyślał Travis. Jak zawsze.

– Jeśli nie zareagujemy, zabije kogoś – powiedział cicho.

– Nie – zaprzeczyła Louisa. – Nie posunie się tak daleko.

– Albo sam zginie – ciągnął Travis. – Rayner to ochroniarz, nie zapominaj. Może nawet uzbrojony.

Louisa otworzyła szeroko usta.

– Nie – sapnęła. – Rayner nie śmiałyby...

– Nie bądź taka pewna – zachnął się Travis. – Rayner nie da się łatwo zastraszyć ludziom pokroju taty.

Egan gwałtownie odwrócił głowę. Zmrużył oczy.

– A co to niby miało znaczyć?

– To, że nie zdołasz go przekupić ani wypłoszyć z wyspy – wycedził Travis.

– To wszystko wina Madeline Chase – powiedziała Louisa. – W ogóle nie pojmuję, po co tu przyjechała. Wcale nie chce tej ruiny. Nikt jej nie chce. Jeśli ona wyjedzie, Rayner ruszy za nią. Czemu

ciągle tu jest?

Travis przechadzał się po pokoju.

– Dała jasno do zrozumienia, że jej zdaniem Lomaxa zamordowano. Szuka odpowiedzi.

– To zadanie policji – odcięła się Louisa. – A ich zdaniem mordercą był włamywacz albo bezdomny, który przypadkiem trafił do starego hotelu.

– Dość tego. – Egan uniósł rękę. – Travis ma rację. Nie mamy wpływu na Madeline Chase i Jacka Raynera. Za to mamy coś na kształt wpływu na Xaviera.

– Nie wróci do instytutu na cały rok – podkreśliła. – W każdym razie nie z własnej woli. To już nie jest dziecko, Egan. Nie możemy wsadzić go tam siłą. Nie tym razem.

– Mam jeszcze jednego asa w rękawie – odparł Egan cicho. – Spełnię jego największe marzenie. Dam mu to, czego potrzebuje, żeby założyć własny fundusz hedgingowy, jego część spadku. Powiem mu, że dostanie te pieniądze, pod warunkiem że założy firmę za granicą.

Travis uniósł brwi.

– Niezły pomysł.

Louisa otarła łzy. Zamyśliła się.

– To się może udać. Przynajmniej na jakiś czas.

Travis zatrzymał się w pół kroku. Spojrzał na ojca.

– Innymi słowy, chcesz go przekupić.

Egan wrócił wzrokiem do okna.

– Dla dobra rodziny.

– Oby się udało – szepnęła Louisa.

Travis nie mógł patrzeć na rozpacz w jej oczach. Podszedł od drzwi i po chwili był w holu.

Konfrontacja z rodzicami była ryzykowna. Najpierw omówił to z Patricią, jak wszystkie ważne decyzje. Przyznała mu rację – to jedyne wyjście. Egan i Louisa jako jedyni byli w stanie zapanować nad Xavierem, stosując mieszankę gróźb i przekupstwa. Xavier zrozumiał i jedno, i drugie; jakkolwiek by było, to mistrz przetrwania. Koniec końców nie zrobiłby niczego, co zagrażałoby jego przyszłej fortunie i bieżącemu dopływowi gotówki.

Travis zmierzał do drzwi, chcąc jak najszybciej wyjść z domu rodziców.

Xavier czekał przy wejściu nonszalancko oparty o framugę, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Uśmiechnął się tym swoim magicznym uśmiechem.

– Pogadałeś sobie milutko z rodzicami? – zagaił.

Travis zatrzymał się.

– Pogadałem, to fakt. Czy milutko? Nie wiem.

– Była o mnie mowa?

– Rozmawialiśmy o podróży do Europy, która podobno jest niezbędna, żebyśmy byli wiarygodni, jeśli chodzi o sprawy zagraniczne.

– Czyżby?

– Możemy pogadać później, Xavier? Muszę popracować nad przemówieniem.

– Jasne, braciszku. Kiedy tylko zechcesz.

Travis już otwierał drzwi, ale znieruchomiał, widząc nienawiść w oczach brata.

Znał ten widok z przeszłości. Oczy Xaviera płonęły piekielnym blaskiem tuż przed kolejnym kryzysem. Cała rodzina znała to spojrzenie. Nie po raz pierwszy musieli zająć się swoim złotym chłopakiem.

Wrogów trzymaj bliżej.

Travis zerknął na zegarek.

– Wiesz co? To cholerne przemówienie może poczekać. Mam go już po dziurki w nosie, a jeszcze nie

skończyłem. Co powiesz na piwo w Crab Shack?

Xavier zastanawiał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami i oderwał się od ściany.

– Czemu nie? – mruknął. – Na piwo z przyszłym senatorem ze wspaniałego stanu Waszyngton zawsze znajdę czas.

Rozdział 43

Madeline śniła...

Szła przez spalone ruiny hotelu, zaglądała do każdego pokoju w poszukiwaniu Daphne. Korytarz na piętrze nie miał końca. Na drzwiach każdego pokoju widniał ten sam numer – dwieście dziewięć.

Wszystko spowijały barwy nocy. Przez okna sączył się zimny blask księżyca. Czowała, że nie ma czasu, ale nie mogła iść szybciej. Musiała zajrzeć za każde drzwi. Nie mogła żadnych pominąć.

To wszystko jej wina, że jej sekretna siostra cierpi tutaj, w hotelu duchów...

Gdzieś w oddali zegar wybił godzinę...

Świat zmieniał się, rozmywał...

Obudziła się gwałtownie, czując przyływ adrenaliny. Uniosła powieki. Zobaczyła Jacka przy oknie. Wpatrywał się w ciemność. W jego dłoni jaśniał telefon.

Domyśliła się, że dziwny ruch, który kilka chwil temu czuła przez sen, to moment, gdy Jack wstawał z posłania.

– Włączył się wykrywacz ruchu – mruknął.

– Czyli ktoś tam jest?

– Być może. Ale niewykluczone, że to złamana gałąź albo większe zwierzę. Te czujniki nie są nieomyłne. – Odwrócił się od okna, sięgnął po spodnie. – Obudzę Abe'a. Pod żadnym pozorem nie wolno ci się narażać i zapalić światła, jasne?

– Tak.

Odrzuciła kołdrę i zwiesiła nogi z łóżka. Nie zwróciła uwagi na chłód posadzki.

Jack sięgnął po pistolet w kaburze. Leżał na nocnym stoliku. Madeline poczuła dreszcz strachu.

– Jack...

– Idę się rozejrzeć na zewnątrz. Ty i Daphne zostaniecie tutaj, z Abe'em.

Chciała zaprotestować. Chciała powiedzieć coś mądrego, na przykład: wezwijmy policję. Ale zanim przyjadą, minie sporo czasu. A Jack przecież wie, co robi. Niech robi swoje, upomniała się.

Wsunęła stopy w kapcie, porwała szlafrok i w ślad za nim wyszła na korytarz. Abe w samych slipach stał w progu swego pokoju i cicho rozmawiał z Jackiem. Na widok Madeline cofnął się i zmieszany wyjrzał zza drzwi.

– Ubierz się – polecił mu Jack. – Dopilnuj, żeby Madeline i Daphne założyły buty, na wypadek gdybyście musieli uciekać w pośpiechu. Czekać na dole, stamtąd macie najwięcej dróg ucieczki. I bądźcie cicho. Niech myśli, że nadal śpimy.

– Jasne – mruknął Abe.

Zniknął za drzwiami.

Jack spojrział na Madeline.

– Pamiętasz, co mówiłem? Z dala od okien.

Otuliła się szczelniej szlafrokiem i zdławiła odruch, by błagać go, by został w środku, za zamkniętymi

drzwiami. Tylko że zamknięte drzwi nie zdadzą się na wiele, jeśli twoim przeciwnikiem jest chory psychicznie podpalacz. Jej babcia zginęła za zamkniętymi drzwiami.

– Uważaj na siebie – powiedziała tylko.

– Taki mam zamiar – mruknął.

Nie czekał na jej reakcję.

Madeline minęła Abe'a i zapukała do drzwi pokoju Daphne.

– Daruj sobie – usłyszała za sobą. – Nie śpię.

Odwróciła się. Przyjaciółka wyszła z pokoju Abe'a. Zakładała szlafrok. Była zarumieniona i rozczochrana.

– Och – powiedziała Madeline. Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Daphne uśmiechnęła się.

– Okazuje się, że Abe to też nocny marek.

– Och – powtórzyła Madeline.

Abe wyszedł z pokoju, dopinając kaburę. Miał na sobie spodnie bojówki i rozpiętą flanelową koszulę. Zdążył założyć okulary i przyglądał się Madeline i Daphne z chłodnym spokojem, który zaskoczył Madeline. Zauważyła, że Daphne także zamrugała ze zdumieniem.

– Słyszeliście szefa – odezwał się Abe. – Bierzemy buty, drogie panie, na wypadek gdybyśmy musieli uciekać. I czekamy na Jacka na parterze.

Madeline spojrzała na Daphne i zobaczyła w jej oczach to, co sama czuła – całkowitą koncentrację. Jakby cały świat ograniczał się do starego domu i ich czwórki.

Bez słowa wróciła do pokoju. Daphne poszła do siebie.

Rozdział 44

Człowiek dużo się uczy o innych, pracując w takiej branży jak on dawniej, starając się nie dopuścić do kolejnych zbrodni, stwierdził Jack. Na przykład tego, że przestępcy są zadziwiająco przewidywalni. Zazwyczaj preferują klasyczne podejście, że lepsze jest wrogiem dobrego. Wybierają tę samą strategię, która sprawdziła się poprzednim razem. Rzecz w tym, żeby rozgryźć wzorzec.

Xavier lubił ogień. I w tym krył się najgorszy haczyk – w pewnym momencie musiał znaleźć się niepostrzeżenie blisko ofiary. Jeśli to on aktywował alarm koło domu, oznaczało to, że przyjechał tu samochodem – jak inaczej pokonałby dziesięć kilometrów, zwłaszcza że musiał też przetransportować to, czym chciał ich spalić.

Zapewne nie przyjechał główną drogą oplatającą wyspę, z obawy, że ktoś zobaczy znajomy pojazd. A zatem zostawała mu jedna droga – kończąca się w zagajniku na tyłach domu.

Księżyc nie był w stanie przedrzeć się przez gęste korony drzew. Ten, kto aktywował alarm, nie miał wyjścia, musiał posłużyć się latarką w ciemności.

Kiedy intruz już dotrze do celu, musi zmierzyć się z kolejnym problemem – zapalone światła na werandzie. Na szczęście przy tylnych drzwiach przepaliła się żarówka.

Nie był to przypadek, tylko pułapka, żeby zwabić go właśnie w to miejsce.

Jack czekał w mroku, przy szopie na narzędzia, kilka metrów od tylnych schodków. Madeline, Daphne i Abe byli już na parterze. Dom spowiadał nienaturalny spokój, jakby i on wstrzymał oddech.

Usłyszał go, jeszcze zanim zobaczył wąskie światło latarki wśród drzew. Nie sposób przedzierać się przez tak gęste zarośla, nie robiąc przy tym hałasu. Sztorm zagłuszyłby szelesty, ale tej nocy panowała nienaturalna cisza. Nocne zwierzątka uciekły, spłoszone obecnością ludzkiego drapieżcy.

Pod jego stopami trzaskały suche gałązki. Gałęzie szurały, ocierając się o rękaw kurtki. Zgrzytały kamyki. Latarka była coraz bliżej.

Nagle zgasła. Najwyraźniej intruz uznał, że wystarczy mu blask światła werandy.

Niewiarygodne, ile decyzji podejmuje się tylko w oparciu o światło i cień, pomyślał Jack. Jeśli wiesz, czego pragnie twój cel, musisz jedynie odpowiednio zastawić pułapkę.

Z zagajnika dobiegł głuchy odgłos i cichy jęk. Intruz albo na coś wpadł, albo zahaczył czymś, co niósł. Zapewne czymś łatwopalnym.

Spośród drzew wyłoniła się ciemna postać. Mężczyzna przez chwilę znalazł się w świetle księżyca. Miał na sobie czarne ubranie i czapkę z daszkiem. Taszczył dwudziestolitrowy kanister benzyny.

Kierował się do nieświetlnych stopni na werandę instynktownie, jak owad uciekający przed światłem.

Był już przy schodach. Zaczął odkręcać kanister.

Jack wychylił się zza szopy na narzędzia, tak, że gdyby zaszła taka potrzeba, miał dobre pole do strzału. Sberta drewna na opał stanowiła niezłą osłonę, gdyby jej potrzebował.

Zapalił silną latarkę i skierował snop światła prosto w twarz intruza.

– To już koniec, Webster – powiedział.

Mówił spokojnie. W takiej ciszy nie było sensu podnosić głosu. Miał do czynienia z mężczyzną na krawędzi obłądzenia. Chciał zapanować nad sytuacją, a czasami można to osiągnąć jedynie głosem.

A czasami nie.

– Ty cholerny draniu. – Xavier ochryplł z wściekłości. – Nie powstrzymasz mnie, Rayner. Nikt mnie nie powstrzyma. Nazywam się Xavier Webster. Mój ojciec jest panem tej wyspy.

Wyprostował się, sięgnął do kieszeni czarnej kurtki. Światło latarki odbijało się od pistoletu w jego dłoni.

Zaczął strzelać, na oślep, jak ludzie uwikłani w potyczkę. W takich warunkach szanse, że trafisz w cel, są zadziwiająco małe. Natomiast szanse, że przypadkiem oberwiesz – niepokojąco duże.

Jack kulił się za szopą i czekał, aż strzelanina ucichnie, a wtedy wychylił się i jeden jedyny raz pociągał za spust. Celował w punkt na ziemi kilkanaście metrów od domu. Chodziło mu o efekt, nie o trafienie.

Xavier krzyknął ponownie. Jego wściekłość i niedowierzanie niosły się echem w nocnej ciszy. Upuścił pistolet, podbiegł do schodów i skoczył na ziemię.

Biegł w stronę drogi. Jego kroki niosły się głuchym echem.

Po chwili Jack schował pistolet do kabury i sięgnął po telefon.

Drzwi kuchenne uchyliły się.

– Wszystko w porządku, szefie? – zapytał Abe.

– Uciekł. – Jack skierował światło latarki na kanister. – Uwaga, niczego nie dotykajcie. Przy odrobinie szczęścia będą na tym jego odciski.

Abe wyszedł na werandę, a w ślad za nim Madeline i Daphne. Patrzyli na kanister.

– Drań chciał nas wszystkich spalić – mruknęła Daphne. – I naprawdę sądził, że ujdzie mu to płazem?

– Tak – odparła Madeline. Patrzyła to na kanister, to na Jacka. – Liczył, że ujdzie mu to płazem. Słyszałaś, co mówił po koniec: Nazywam się Xavier Webster. Mój ojciec jest panem tej wyspy.

– Gdyby jego plan wypalił, nie byłoby żadnych świadków – zauważyła Daphne. – Rzeczywiście mogłoby ująć mu to płazem.

Abe spojrzał na drogę.

– Ucieka teraz.

Powiedział to spokojnie, ale Jack wiedział, o czym myśli; o czym wszyscy w tej chwili myślą.

Wybrał numer alarmowy.

– Proszę powiedzieć, jakiego rodzaju...

– Próba podpalenia – rzucił. – I strzały. Podejrzany ucieka na południe Loop Road.

– Czy wie pan, kto to jest?

– Xavier Webster. I mam świadków. Będzie się kierował albo do domu rodziców, albo zechce uciec z wyspy.

Rozłączył się, zanim dyspozytorka zadała kolejne pytania.

– I co teraz? – odezwała się Madeline.

– Nie sądzę, żeby Xavier Webster jeszcze długo stanowił dla nas problem – odparł Jack. – Rodzina nie może sobie dłużej pozwolić na ukrywanie jego wybryków. Jest zbyt niebezpieczny.

– Myślisz, że znowu zamkną go w psychiatryku? – zapytała Madeline.

– To najprostsze rozwiązanie – zgodził się. – Ale jest jeszcze inne, o ile ktoś się na to zdecyduje.

Madeline spojrzała na niego z ukosa.

– Znowu coś przewidujesz?

– Niestety. Taki już jestem.

Patrzył na Madeline, bo nie chciał widzieć nikogo innego.

Bez słowa zbiegła ze schodów, objęła go mocno, jakby bała się, że zechce odejść.

Ale nigdzie się nie wybierał, nie bez niej. Nie tej nocy.

We czwórkę w milczeniu wsłuchiwali się w dalekie zawrozenie syren policyjnych na Loop Road.

– Naprawdę nie lubię tej wyspy – stwierdziła Madeline.

Rozdział 45

Xavier kulił się w cieniu hangaru na łodzie i starał się opanować dreszcze, które przeszywały go falami. Jakaś jego częśćka zastanawiała się, czy to grypa, ale druga – ta, która przemawiała z pogranicza umysłu – podpowiadała, że tak właśnie wygląda strach. Być może ten sam strach, który czasami widział w oczach tych, którzy poznali go aż za dobrze.

Och, w przeszłości zdarzało mu się otrzeć o pajęczynę lęku. Naprawdę się bał, gdy rodzice po raz pierwszy wysłali go do instytutu. Szybko jednak okazało się, że lekarzy i terapeutów można oszukać równie łatwo jak całą resztę. Mimo to ilekroć wracał do instytutu, odczuwał lekki niepokój. Zawsze istniało przecież ryzyko, że tym razem ktoś przejrzy go na wylot i nie da zamydlić sobie oczu.

Ale koniec końców zawsze po mistrzowsku odgrywał rolę Uzdrawionego Pacjenta, także dlatego, że lekarze i terapeuci sami bardzo chcieli uwierzyć, że są cudotwórcami. A także bardzo chętnie przyjmowali spore sumy, które Egan i Louisa płacili za jego uleczenie. Powiniennem był zażądać prowizji od każdego ozdrowienia, pomyślał. Jakkolwiek było, to on się napracował, grając.

Zdarzyło się też kilka innych niepokojących sytuacji, ale zawsze ojciec ratował go z tarapatów. Ci, którzy nie dawali się zastraszyć, chętnie przyjmowali gotówkę w zamian za milczenie.

Nikt natomiast nie rozumiał czego innego – że wcale nie miał problemu z opanowaniem gniewu. Prowokowali go inni. To przez nich tracił nad sobą panowanie, raz na jakiś czas. To wszystko nie jego wina.

W przeszłości spotkał na swojej drodze kilka osób, które wiedziały, jaki jest naprawdę, ale rzadko kiedy stanowiły problem, bo miały dość oleju w głowie, by się go bać.

Jego niepokój budzili inni, ci, w których nie wzbudzał strachu, szacunku, którzy nie zdawali sobie sprawy, jaki jest potężny, ci, których nie dało się zastraszyć ani kupić.

Dranie pokroju Jacka Raynera.

Wspomnienie dzisiejszej porażki bolało. Ale jeszcze się zemści. Rayner już jest trupem, to tylko kwestia czasu.

Niski warkot silnika wyrwał go z zadumy. Wstał. Nadciągała pomoc. Za kilka minut będzie już daleko od tej cholernej wyspy.

Kiedy będzie już daleko, ojciec zajmie się wszystkimi problemami, które wynikną po tej nocy. Bo przecież Xavier to jego złoty chłopak, prawdziwy dziedzic Egana.

Łódź o potężnym silniku niemal bezszelestnie podpłynęła do pomostu. Xavier chwycił linę.

– Co tak długo? Policja już pewnie mnie szuka.

Wskoczył na pokład, przejął stery od postaci, która zeszła z pokładu.

Xavier odbił od pomostu, zmierzał na otwarte morze. Pływał po tych wodach od dziecka.

Radość wypierała resztki strachu. Za kilka minut zniknie w labiryncie wysepek archipelagu San Juan, małych i dużych. Spędzi noc w zatoczce przy jednej z nich, o świcie popłynie na stały ląd. Bez problemu przybije do brzegu niezauważony.

Dzisiejszy incydent mu nie zaszkodzi. Bo Xavier zawsze wychodzi zwycięsko.

Tym razem zaplanuje zemstę na chłodno.

Był jeszcze widoczny z Cooper Island, gdy łódź stanęła w płomieniach. W miasteczku słyszano wybuch. Ogień rozjaśniał noc piekielnym blaskiem.

Człowiek na brzegu obserwował łódź, aż został z niej tylko płonący kadłub.

Rozdział 46

Madeline, Jack i Daphne siedzieli przy kuchennym stole, pili sok pomarańczowy, bo skończyła im się kawa, i przeglądali najnowsze wiadomości w telefonach, gdy do pomieszczenia wpadł Abe. Taszczył siatkę z zakupami, ale jego mina zdradzała, że ma najnowsze wieści.

– No? – zapytała Madeline, zanim zdążył się odezwać. – Ciekawość i tak dalej. Co mówią ludzie?

– Rano wyłowiono ciało – zaczął. Postawił siatkę na stole i poprawił okulary na nosie. – Nie ma wątpliwości, że to Xavier Webster. W tej chwili po wyspie krążą trzy teorie co do eksplozji. Pierwszą lansuje sama rodzina Websterów i doszło, zacytuję, do tragicznego wypadku.

– Niech zgadnę – mruknął Jack. – Na przykład do wycieku ropy?

– Tak jest. – Abe wyjął kawę z siatki. – Jak się okazuje, jest mnóstwo sposobów, żeby łódź stanęła w płomieniach. Sami wiecie, tyle paliwa na pokładzie... I tyle okazji, żeby je podpalić – iskra elektryczna, race, które ktoś niechcący odpalił, i tak dalej.

Daphne zamyśliła się.

– A inne teorie?

– Teorię numer dwa wypowiada się tylko szeptem – odparł. – Znaleźli się śmiałkowie, którzy zauważają, że ktoś wyrządził światu przysługę, zabijając złotego chłopca Websterów. Nikt jednak nie mówi o tym głośno, bo podejrzanych jest aż nadto.

Madeline bębniła palcami po stole.

– Poczynając od starych mieszkańców wyspy.

– Nasza czwórka też pewnie jest na liście podejrzanych – zauważyła Daphne. – Skoro mowa o motywie, Xavier chciał nas przecież spalić żywcem.

Jack podszedł z kawą do kuchennego blatu.

– Spokojnie, akurat nas nie mogą umieścić na liście podejrzanych, przynajmniej jeśli nie chcą wyjść na idiotów.

Spojrzeli na niego.

– Byliśmy tutaj i rozmawialiśmy z policją, kiedy łódź wybuchła, zapomnieliście już? – wyjaśnił. – Do tego łuski w zagajniku pochodzą z broni Xaviera, z tej, na której są jego odciski palców. Prawdopodobnie są także na kanistrze.

– Zakładając, że te przedmioty nie znikną jakimś cudem z policyjnego magazynu – zaznaczyła Daphne.

– Zakładając – przyznał Jack. – Ale moim zdaniem Dunbar to porządny gliniarz. Wydawało mi się, że podobnie jak większość mieszkańców odetchnął z ulgą, że Xavier już nie stanowi zagrożenia.

Madeline spojrzała na Abe'a.

– Jeszcze jakieś teorie?

– Jedna – odparł. – Samobójstwo.

Daphne spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Samobójstwo w wybuchu łodzi? Nie chcesz chyba powiedzieć, że ktoś naprawdę w to wierzy.

– Nie sądzę – przyznał. – Nie patrz tak na mnie, ja tylko powtarzam plotki, wcale ich nie wymyślałam.

– Teoria o wypadku weźmie górę – podsumował Jack. – Xavier Webster, który, jak nagle wyjdzie na jaw, od dawna zmagał się z problemami psychicznymi, w nocy przeżył załamanie nerwowe. Z niewiadomych przyczyn chciał podpalić dom na wyspie, a gdy przyłapano go na gorącym uczynku, uciekł z miejsca niedoszłej zbrodni, zabrał łódź i chciał uciec. Doszło do wybuchu. Xavier zginął. Jego brat, startujący w wyborach do Senatu, wygłosił żwawe przemówienie o tym, jak będzie walczył o skuteczniejsze finansowanie ośrodków opieki psychiatrycznej, gdy zostanie wybrany.

Madeline obserwowała, jak wysypuje kawę do ekspresu.

– Xavier został zamordowany.

– Tak. – Wlał wodę do ekspresu. – Xavier wpadł w pułapkę. Myślę, że od początku miał zginąć. Pytanie tylko, kto z zainteresowanych miał dość wiedzy, by zaplanować dwa dość skomplikowane wybuchy.

– Dwa? – Madeline zmarszczyła brwi. – Chcesz powiedzieć, że to nie Xavier chciał nas zabić? Wtedy, w szopie?

– Nie sądzę – przyznał. W końcu włączył ekspres. – Dwie pieczenie przy jednym ogniu, że tak powiem. Ktoś chce wyczyścić historię rodziny Websterów.

– Żeby nic nie kładło się cieniem na pięknym, nieskazitelnym przyszłym senatorze – dopowiedziała Daphne. Szeroko otworzyła oczy. – Krok pierwszy: znaleźć walizkę i to, co w niej stanowi zagrożenie. Krok drugi: zlikwidować wszystkich, którzy wiedzieli o jej istnieniu. Krok trzeci: sprzątnąć świra kalającego drzewo genealogiczne.

– Chwileczkę. – Madeline podniosła rękę. – Ani ty, ani ja, ani twoja mama nie wiemy, co jest w aktówce, wiedzieli tylko Tom i babcia.

– Ale morderca tego nie wie – zauważył Jack. – Prawdopodobnie uznał, że lepiej załatwić wszystkich za jednym zamachem i zlikwidować wszelkich potencjalnych świadków.

– Wśród Websterów jest ktoś, kogo podejrzewamy o krwawą przeszłość – mruknął Abe. – Egan.

– Wiem tylko, że osiemnaście lat temu babcia tak bardzo się go bała, że zamknęła hotel i wolała zostawić go na zatracenie niż zwrócić się do lokalnej policji – odparła Madeline.

– Spokoju nie daje mi czas. – Jack myślał głośno. – Czemu akurat teraz to sprzątnanie?

– To oczywiste – odparła Madeline. – Bo Travis Webster startuje w wyborach do Senatu.

– Ale jeśli Egan wiedział, że istnieje coś, co łączy go z zabójstwem Seaversa, czemu wcześniej się tym nie zajął?

Abe spojrzał na brata.

– Może dopiero niedawno ktoś mu to uświadomił.

– Kto? – zainteresowała się Madeline.

Jack bębnił palcami o blat.

– Ktoś, kto chciał szantażować Websterów.

– Czyli ktoś spoza rodziny – podsumowała Madeline. – Rzekoma Ramona Lomax? Myślisz, że to ona rozpętała burzę, gdy przypadkiem trafiła na tajemnicę aktówki?

– Ale jakim cudem ona, lub ktokolwiek inny, przypadkiem odkryła ten sekret po tylu latach? – rzucił Abe.

– Moim zdaniem ktoś szukał haka na młodego polityka i trafił w dziesiątkę – odparł Jack. – Ta cała Ramona Lomax to jeden z kluczy do całej zagadki. Musimy dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

– Być może powie nam coś zza grobu. – Abe zerknął na ekran komputera i oczy mu pojaśniały. – Udało mi się ustalić adres kobiety posługującej się jedną z jej licznych tożsamości, kiedy byłem w miasteczku na zakupach i przespiegach. I tym razem to nie był pusty plac.

Jack znieruchomiał.

– Gdzie?

– W Seattle. – Abe szybko stuknął w klawisze. – Kilka miesięcy temu wynajęła mieszkanie.

Najwyraźniej właściciel nie wie, że nie żyje, bo nadal jest na liście lokatorów.

– Zakładając, że nikt nie dopadł jej mieszkania wcześniej i nie usunął wszystkich śladów – zaznaczył Jack. – Musisz działać szybko.

– Ja? – zdziwił się Abe.

– Ty i Daphne – uściślił Jack. – Ty, bo wiesz, czego szukać, gdyby los się do ciebie uśmiechnął i trafisz na sprzęt – telefon, komputer i tak dalej.

– A ja? – zainteresowała się Daphne.

– Pojedziesz z nim, bo umiesz wiele powiedzieć o danej osobie na podstawie wyglądu jej mieszkania.

– O rany – mruknęła. – Będę projektantką CSI.

– Już widzę potencjał książkowy i serialowy – rzuciła Madeline.

– Trzymajcie się mnie. – Daphne wstała. – Czeka mnie kariera.

– Do roboty – polecił Jack. – Jeszcze zdążycie na poranny prom.

– A ty i Madeline? – zapytał Abe. – Jeśli ktoś chciał was zabić za sprawą Xaviera, wie, że ten plan nie wypalił. Może spróbować czegoś innego.

– Mamy trochę czasu – zaznaczył Jack. – Bez względu na to, kim jest, nie zaryzykuje na wyspie, bo to byłoby zbyt oczywiste. Nie ma już Xaviera, na którego można zwalić tajemnicze wybuchy i pożary.

Daphne wzdrygnęła się.

– Strach pomyśleć, że ktoś posługuje się drugim człowiekiem jak bronią, bo tak właśnie było, prawda? Ktoś wycelował Xaviera i pociągał za spust, a potem się go pozbył. Z zimną krwią.

– Nie uwierzysz, do czego zdolni są ludzie dla dobra rodziny – mruknął Jack.

Madeline spojrzała na niego. Miał lodowate spojrzenie.

Rozdział 47

Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną dzisiaj spotkać. – Louisa powoli opadła na krzesło. Mocno splotła dłonie. – Mam świadomość, że i pani, i pani przyjaciele macie za sobą ciężkie chwile. Powinnam była najpierw zadzwonić, ale zważywszy na to, co się stało, obawiałam się, że nie zechce pani ze mną rozmawiać. I dlatego zaryzykowałam i przyjechałam tu osobiście.

– O czym chce pani rozmawiać? – zapytała Madeline.

Samochód Louisy stał na podjeździe. Zjawiła się wkrótce po tym, jak od brzegu odbił poranny prom, zabierając Daphne i Abe'a.

Choć Louisa była chłodna i opanowana jak zawsze, Madeline miała wrażenie, że jej oczy przyćmiła mieszanina rezygnacji, bólu i tej rozpacz, którą zrozumie tylko matka. I zarazem była w niej pewna bojowość i determinacja. Madeline przemknęło przez myśl, że człowiek targany takim wirum emocji to bardzo niebezpieczna istota.

– Chodzi o Xaviera – zaczęła Louisa.

Madeline czekała. Zdawała sobie sprawę, że według konwenansów powinna teraz powiedzieć coś w stylu: Bardzo pani współczuję czy bardzo mi przykro, ale tak naprawdę wcale nie żałowała, że Xavier nie żyje. Co więcej, instynkt podpowiadał, że Louisie nie może wierzyć za grosz, więc nie ma sensu zawracać sobie głowy uprzejmościami. Ciekawe, czy to wpływ podejścia Jacka.

Louisa chciała porozmawiać z nią na osobności, ale Jack tylko pokręcił głową, dając jej do zrozumienia, że to nie do przyjęcia. Louisa była tego świadkiem. Zaciśnęła usta w wąską linię, zdawała sobie jednak sprawę, że nie ma żadnej karty przetargowej. Bez słowa zaakceptowała jego obecność. Stał przy oknie, odwrócony plecami do szarugi na dworze. Miał na sobie skórzaną kurtkę, rozpiętą, tak że kabura z pistoletem była chwilami widoczna. Nie odrywał wzroku od Louisy.

– Wczoraj w nocy mój syn miał załamanie nerwowe – zaczęła Louisa. – Zdaniem policjantów zakradł się tu w nocy, żeby podpalić dom, kiedy pani i pani znajomi spali. Nie chcę go bronić. Proszę mi uwierzyć, wszyscy jesteśmy załamani tym, co się wydarzyło. To był dla nas szok. Xavier zawsze był dosyć chwiejny, ale przysięgam, nie mieliśmy powodów podejrzewać, że coś do tego stopnia wytrąci go z równowagi.

– Rozumiem, pani Webster – zapewniła Madeline. – Ale czego pani ode mnie oczekuje?

– Mój syn nie żyje. Już nigdy więcej pani nie zagrozi. Byłabym ogromnie zobowiązana, gdyby pani i jej towarzysze... – Niespokojnie zerknęła na Jacka – zechcieli zostawić sprawy własnemu biegowi.

– Co ma pani na myśli? – dopytywała Madeline.

– Zapewne miejscowe media już się do pani zwróciły z prośbą o pani wersję przebiegu wydarzeń.

Na końcu pytania był ledwie słyszalny znak zapytania. Louisa urwała i czekała.

– Nie będziemy rozmawiali z mediami, jeśli o to pani chodzi – zapewniła Madeline. – Wiemy od policjantów, że dochodzenie jeszcze trwa.

– Oczywiście. – Louisa odrobinę się rozluźniła. – Bardzo dziękuję. Ale obawiam się, że lada chwila

sprawą zainteresują się media o zasięgu ogólnokrajowym. Wszyscy wiemy, że potrafią zniszczyć człowiekowi życie. I karierę.

Znowu umilkła. Tym razem Madeline nie starała się wypełnić ciszy. Louisa po chwili podjęła przerwany wątek.

– Jak pani zapewne wie, mój syn Travis szykuje się do startu w wyborach do Senatu. Jest do tego wręcz stworzony, ale jeśli tragedia jego brata zostanie przedstawiona w niewłaściwym świetle, jego kariera może lec w gruzach, zanim na dobre się zacznie.

– Co ma pani na myśli, mówiąc: niewłaściwe światło? – zainteresowała się Madeline.

– Długo się nad tym zastanawialiśmy i doszliśmy do wniosku, że najlepszym sposobem będzie najzwyczajniej w świecie powiedzieć prawdę.

– Bardzo ciekawe podejście – mruknęła Madeline.

Louisa najeżyła się.

– Nie proszę, żeby pani skłamała. Xavier miał załamanie nerwowe. Ukradł łódź, wypłynął na otwarte morze i zabił się, podpalając łajbę. Proszę tylko, żeby zgodziła się pani, żeby nasi ludzie rozmawiali z mediami.

– Innymi słowy, oczekuje pani, żebyśmy pozwolili, by specjaliści PR pani syna przedstawili tę sprawę w korzystnym dla was świetle. Ot, po prostu przemilczą fakt, że Xavier zjawił się tutaj, chciał podpalić dom, a potem strzelał do mojego towarzysza.

Louisa zacisnęła dłoń na torebce.

– Jedyną ofiarą tej nocy był mój syn. Nie żyje. Nie ma sensu zasypywać prasy szczegółami. Rzecznik kampanii wie, jak sobie radzić w takiej sytuacji. Podkreśli, że Travis zamierza skoncentrować się na ogólnodostępnej, niedrogiej opiece psychiatrycznej, gdy tylko zostanie wybrany.

– Mogę panią zapewnić, że nie mam ochoty na udzielanie żadnych wywiadów – odparła Madeline. – Ale nie będę też ukrywała tego, co tu się wczoraj wydarzyło. Podobnie jak nie przestanę badać okoliczności śmierci Toma Lomaxa.

– Chyba nie muszę pani przypominać, że nie tylko członkom mojej rodziny zależy na tym, żeby cały czas panować nad sytuacją.

W cichym pokoju pojawił się nowy, lodowaty dreszcz. Madeline nie musiała nawet patrzeć na Jacka, by wiedzieć, że on także to poczuł. Dopiero teraz dochodzili do prawdziwego powodu wizyty Louisy.

– Słucham? – zdziwiła się Madeline.

– Nie chciałam poruszać tego tematu, ale nie daje mi pani innego wyjścia. W zamian za współpracę w temacie wczorajszej nocy jestem gotowa zagwarantować, że media nie dowiedzą się o poważnych kłopotach finansowych Sanctuary Creek Inns.

Madeline ogarnął gniew, ale opanowała go siłą woli.

– Sanctuary Creek Inns nie ma żadnych kłopotów finansowych – odparła.

– Powiedzmy sobie szczerze, Madeline: mój mąż ma bardzo silną pozycję w kręgach finansowych. Wystarczy, że wyrazi zaniepokojenie wypłacalnością pani sieci, a plotki rozejdą się błyskawicznie. I wtedy bardzo trudno będzie pani zdobyć pieniądze na remonty i kolejne obiekty.

– Żeby wszystko było jasne: czy pani mi grozi? Bo ja nie ulegam szantażystom.

– Radziłabym to jeszcze przemyśleć. Plotki o kłopotach finansowych przysporzą pan wielu trudności, ale być może wydaje się pani, że się z nimi upora.

– Na pewno się uporam.

– A czy upora się też pani z plotkami, że jej hotele są celem podpalacza?

– Co to ma znaczyć?

– Przecież już doszło do jednego pożaru wśród pani obiektów, w hotelu Aurora Point. Trzy miesiące

temu pani babka zginęła w pożarze hotelu. Jeśli podróżni uwierzą, że Sanctuary Creek Inns stały się celem szalonego podpalacza, skutki mogą być doprawdy opłakane. Nikt nie zechce zatrzymać się w hotelu, który może okazać się celem szaleńca.

Madeline zrobiło się zimno.

– Chyba nie potrzebuję dalszych wyjaśnień, Louiso – stwierdziła, zaskoczona nienaturalnym spokojem, który ją opanował. – To zdecydowanie groźba. Nie uważasz, Jack?

– Bez wątpienia – potwierdził.

Sięgnął do kieszeni. Przez chwilę twarz Louisy wykrzywił strach, ale rozluźniła się odrobinę, gdy zrozumiała, że nie sięga po broń.

Wyjął za to cyfrowy dyktafon i włączył odtwarzanie. Louisa słuchała zaszokowana, jak z głośnika płynie jej głos, głośno i wyraźnie:

– „A czy upora się też pani z plotkami, że jej hotele są celem podpalacza?”

– Sukinsyn – wycedziła Louisa. Zerwała się na równe nogi, spojrzała na Madeline. – Popełnia pani poważny błąd. Nie ma pani pojęcia, z kim zadziera.

Przyciskając torebkę do piersi, ruszyła do drzwi. Madeline poszła za nią, stała w progu, odprowadzała ją wzrokiem, gdy Louisa wsiadła do samochodu.

Jack stanął za nią. Razem patrzyli, jak Louisa odjeżdża podjazdem w kierunku Loop Road.

– I co teraz? – zapytała cicho.

– Zwalczamy ogień ogniem – odparł.

– O Boże.

– Niestety, niektórzy nie rozumieją innego języka.

– Wiem, o co ci chodzi.

Rozdział 48

Za późno – stwierdził Abe. – Ktoś nas uprzedził. – Rozejrzał się po mieszkaniu z ponurą miną. – Cholera. Jackowi to się nie spodoba.

W Seattle pod adresem, na który trafili, sprawdzając kobietę przedstawiającą się jako Ramona Lomax, trafili do dwupiętrowego budynku mieszkalnego w spokojnej dzielnicy. Nie było tu jednak recepcji, kamer i żadnych przyzwoitych zabezpieczeń.

Abe bez trudu pokonał zarówno drzwi wejściowe do budynku, jak i do samego mieszkania. Ale zjawili się za późno, dumiała Daphne. Aż do tej chwili była zarazem podekscytowana perspektywą odkrycia tajemnic Ramony, jak i przerażona tym, że ktoś ich przyłapie. Kiedy jednak zobaczyli bałagan w saloniku, poczuła zawód i gniew. Ramona najprawdopodobniej zabiła Toma i była co najmniej współwinna w usiłowaniu zabójstwa Madeline i Jacka. Ale wyglądało na to, że wszelkie tajemnice zabrała ze sobą do grobu.

Abe wyjął telefon z kieszeni.

– Jack. Tak, jesteśmy tutaj, ale ktoś dopadł je przed nami. Zdemolował mieszkanie. Jasne. Rozejrzymy się, ale ten, kto tu był, zadał sobie sporo trudu. Co? – Zerknął na dłonie Daphne. – Oczywiście, że mamy rękawiczki. Litości, odrobinę zaufania. Ja też oglądam telewizję. Dobrze. Na razie.

Daphne rozglądała się po saloniku. Panował w nim totalny chaos. Poprzewracane meble, porozrywane poduszki, telewizor odsunięty od ściany.

– Mniej więcej tak wyglądało moje mieszkanie, gdy wróciłam z rejsu – zauważyła.

– Ktoś tu czegoś szukał.

– I to rozpaczliwie – zauważyła.

– Jack radzi, żebyśmy rozejrzeli się szybko, a potem zbierali się stąd.

– Zacznę od sypialni – zdecydowała.

Oddaliła się krótkim korytarzykiem. Zatrzymała się w progu na widok bielizny i gadżetów erotycznych rozsypanych na podłodze.

– Ojej – szepnęła cicho.

Zajrzała do łazienki i wróciła do saloniku.

– Pewnie niewiele nam to da – oznajmiła – ale jestem prawie pewna, że Ramona miała kochanka.

Abe podniósł głowę znad kuchennego stołu.

– Skąd wiesz?

– Drobiazgi – odparła. – Na przykład ciekawy dobór gadżetów erotycznych. I droga bielizna. Inwestycja, można by powiedzieć. Taka, którą zakładasz dla kogoś, nie dla siebie.

Abe zamyślił się.

– Dla kobiety czy dla mężczyzny?

– Sądząc po typie gadżetów erotycznych, dla mężczyzny, ale nie mam pewności.

– Może sąsiedzi kogoś widzieli.

– Nie liczyłabym na to. W takich osiedlach każdy pilnuje własnego nosa. Krótki okres wynajmu, a to oznacza częste zmiany lokatorów.

– Nigdy nic nie wiadomo – mruknął. – Chodźmy. Musimy sprawdzić jeszcze jedno miejsce.

– Jakie?

– Skrzynkę pocztową. Zdziwiłabyś się, wiedząc, ile osób o niej zapomina.

Dziesięć minut później znów siedzieli w samochodzie i jechali w kierunku autostrady. Daphne zadzwoniła do Madeline i Jacka.

– Ramona wynajmowała skrytkę. Mieliśmy szczęście, w skrzynce był rachunek za przyszły miesiąc. Jedziemy tam teraz.

Kompleks schowków znajdował się w półwiejskiej okolicy mniej więcej dwa kilometry od autostrady. Jedyne zabezpieczenie stanowiło ogrodzenie i brama, szeroko otwarta, kiedy przyjechali. Strażnik siedział w kantorku i oglądał filmy na komputerze. Nawet nie podniósł głowy, kiedy Abe przejeżdżał przez bramę.

Daphne wstrzymała oddech, gdy zbliżali się do ogrodzenia. Wypuściła powietrze z płuc dopiero, kiedy znaleźli się na terenie kompleksu.

– Dobra, poszło łatwiej, niż myślałam – stwierdziła. – Co byś zrobił, gdyby poprosił o dokument tożsamości?

– Pokazałbym mu. Interesuje go tylko, czy wiem, dokąd jadę. Mamy numer skrytki. To zazwyczaj wystarczy, by się dostać na teren. Póki wpływa opłata, nikt nie zadaje zbędnych pytań.

– Schowek na takim odludziu to chyba w dzisiejszych czasach szczyt anonimowości.

– Prostota i jak najmniej technologii. Zawsze działa.

Abe zaparkował przed skrytką numer czterysta trzydzieści pięć – taki widzieli na fakturze w skrzynce Ramony. Była to nieduża skrytka na kłódkę. Rozciął ją obcęgami, które kupił w sklepie z artykułami żelaznymi. Zasuwane drzwi zwinęły się z brzękiem aluminium.

W skrytce był tylko jeden przedmiot – podręczna walizeczka na kółkach.

– O rany – szepnęła Daphne.

Abe podszedł bliżej.

– Zobaczmy, co tu mamy.

Otworzył ją.

– Miałaś rację – zauważyła Daphne. – To była jej polisa, miejsce, do którego chciała uciec, gdyby przekręt nie wypalił. Chciała porwać tę walizkę i uciekać, może na lotnisko, może po prostu przed siebie.

– Ale nie zdążyła tu wrócić – powiedział. – Ten, kto splądrował jej mieszkanie, nie wiedział o schowku. Czyli mu nie ufała.

– Albo jej – dorzuciła Daphne. – To był sekret Ramony.

– Jak zawsze powtarza Jack, sekret to sekret jedynie wtedy, gdy wie o nim tylko jedna osoba. Logiczne, że zawodowa oszustka nie była ufna.

– Zaczynam podejrzewać, że nieufność i problemy z bliskością to powszechna dolegliwość.

Abe przeglądał zawartość walizki.

– Ja ci ufam.

Powiedział to tak rzeczowo, tak od niechcienia, tak spokojnie, że w pierwszej chwili nie była pewna, czy dobrze go usłyszała. Takie wyznanie powinno oznaczać bardzo wiele, pomyślała. I naprawdę znaczyło bardzo wiele, a on powiedział to tak, jakby z jego punktu widzenia to był najbardziej oczywisty fakt pod słońcem.

– Dzięki – mruknęła, dziwnie poruszona. Nie wiedziała, jak zareagować. – Czuję się... zaszczycona.

Nie wiem, czy to właściwe słowo.

Błysnął zębami w uśmiechu.

– Ja też nie, ale na razie chyba musi mi wystarczyć.

– Nie – odparła, nagle bardzo pewna tego, co mówi. – Nie musi. Ja też ci ufam, Abe.

Uśmiechnął się zadowolony i ponownie zajął się walizką.

Zawierała niezbędne rzeczy, bez których nie obejdzie się kobieta w podróży – zapasową bieliznę, ciemne, niczym niewyróżniające się ubrania, kosmetyki, okulary w ciemnych oprawkach, ciemnowłosą perukę, kapelusz zasłaniający twarz – i grubą kopertę.

– Moim zdaniem powinniśmy się stąd zbierać, zanim zajrzemy do koperty – stwierdził Abe. – Istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś jeszcze dowie się o istnieniu schowka. Lepiej, żeby nas tu już wtedy nie było.

– Fakt.

Abe wstawił walizkę do bagażnika, rzucił kopertę Daphne i zamknął schowek.

Spokojnie minęli bramę wjazdową i skręcili w drogę, która miała zaprowadzić ich do autostrady.

Daphne ostrożnie otworzyła kopertę. Ręce jej drżały.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że można to uznać za majstrowanie przy dowodach rzeczowych – zaznaczyła.

– Wczoraj w nocy ktoś chciał nas spalić rękami wariata – zauważył Abe. – Policjanci z Cooper Island nie budzą mojego zaufania. Mamy chyba dobry powód, żeby chcieć ustalić, co tu się dzieje, do cholery.

– Racja.

Ostrożnie wyjęła zawartość koperty. Było w niej kolejne prawo jazdy ze zdjęciem Ramony, tyle że miała na nim okulary w ciemnych oprawkach i czarną perukę z walizki.

Daphne sięgnęła głębiej do koperty. Ze środka wysypały się zdjęcia. Wyglądały, jakby robiono je za pomocą teleobiektywu. Oprócz tego w kopercie były trzy wydruki artykułów prasowych sprzed nieco ponad dwudziestu lat i fotokopie stron z małego notesu, zapisanego ciasnym, niechlujnym pismem.

A także kserokopia prawa jazdy z Kalifornii wystawionego na nazwisko Norman Purvis.

Daphne patrzyła na to wszystko, nie wierząc własnym oczom. A potem spojrzała na nagłówki artykułów.

– Co tu mamy? – zapytał Abe.

– Lepiej zjedź na najbliższy parking – odparła. – Musisz to zobaczyć.

Abe zaparkował pod centrum handlowym, zgasił silnik i sięgnął po zawartość koperty.

– A niech mnie – szepnął.

Daphne podała mu ksero prawa jazdy Purvisa.

– To chyba kserokopie zawartości tej nieszczęsnej aktówki – stwierdziła. – Ramona wiedziała, że wpakowała się w coś niebezpiecznego. Skopiowała wszystko, traktując to jako swoje ubezpieczenie.

– Ten sam błąd popełnili Tom Lomax i Edith Chase. – Abe sięgnął po telefon. – Jack? Wygląda na to, że znaleźliśmy kserokopie zawartości aktówki ze ściany, zamurowanej tam przed osiemnastu laty. Były w walizce na czarną godzinę, którą Ramona ukryła w schowku. Musisz to zobaczyć. Zeskanuję wszystko i zaraz ci wyślę.

Rozdział 49

Madeline wpatrywała się w licencję prywatnego detektywa, widoczną na ekranie komputera Jacka. Jeszcze przed chwilą stała przy stole kuchennym, ale kiedy na monitorze pojawiła się twarz Normana Purvisa, po raz kolejny zakreśliło jej się w głowie.

Czuła go na sobie, jak całym ciężarem wbija ją w jutowy worek. Jego dłoń na ustach. Bała się, że ją udusi. Jego głos w uszach:

– Cicho bądź, suko, bo cię zabiję, przysięgam, że cię zabiję.

Chciała wykrzyczeć wściekłość na cały nieczuły świat, ale nie mogła zaczerpnąć tchu.

Osunęła się na krzesło. On nie żyje. Nie żyje, leży pod altanką. Nic ci już nie zrobi. Ale stara mantra tym razem nie pomagała, bo jego duch patrzył na nią z fotografii, nie dawał spokoju. Nawet zza grobu ten drań po raz kolejny postawił jej świat na głowie.

Jack nadal rozmawiał przez telefon, ale jednocześnie bacznie ją obserwował.

Usiłowała skupić się na jego słowach, nie mogła jednak oderwać wzroku od potwora na monitorze.

– Chwileczkę – rzucił Jack do słuchawki. Wziął ją za rękę.

Jego dotyk wyrwał ją z makabrycznego transu. Przesunęła wzrok z monitora na Jacka.

– Nie żyje – powiedział.

Skinęła głową, niezdolna wykrztusić słowa. Jack puścił jej rękę i wpisał szybko komendę na klawiaturze. Licencja zniknęła, jej miejsce zajął wycinek z gazety. Był to artykuł poświęcony zabójstwom Carla Seaversa i Sharon Richards. Czytała, dziwnie odrętwiała.

„Na przedmieściach znaleziono zwłoki maklera i jego współpracownicy... Według policji przyczyną zbrodni mogły być narkotyki...”

– Nie – rzucił Jack, ponownie wpatrzony w zeskanowane dokumenty na monitorze. – Nie wracacie z Daphne na wyspę. Jedźcie do Arizony. Spokojnie, dołączymy do was. Odpłyniemy późniejszym promem. Spotkamy się na lotnisku. Kup cztery bilety do Phoenix.

Madeline oderwała wzrok od ekranu. Jack po raz pierwszy wspominał o opuszczeniu wyspy.

– Zaraz po naszej rozmowie odezwę się do znajomego w FBI, dopilnuję, żeby to dostał – ciągnął. – O co ci chodzi? Że niby jak wytłumaczę, skąd to mam? Powiem Joemu, że te rzeczy wpadły mi w ręce podczas innego śledztwa, które prowadziłem na polecenie klienta. Nie, nie będzie naciskał. Powołam się na poufność umowy i to, że jest mi winien przysługę. Nie po raz pierwszy tak to rozegramy. Znamy się z Joem...

Na ekranie pojawiło się pierwsze zeskanowane zdjęcie. Madeline wpatrywała się w nie zszokowana.

Jack skończył rozmowę po swojemu – czyli po prostu wcisnął czerwony guzik i odłożył telefon na bok. On także nie odrywał wzroku od ekranu.

– A więc właśnie to było w tej cholerniej aktówce. Niewiarygodne. Nic dziwnego, że twoja babcia i Tom bali się iść z tym na policję.

Zdjęcia zrobiono, sądząc po naświetleniu, tuż po zmroku, w spokojnej dzielnicy mieszkalnej. Na niebie widniały jeszcze promienie słońca. Fotografie rozjaśniały też latarnie uliczne i światła z sąsiednich domów.

– Gdyby Egan Webster wiedział, że babcia i Tom widzieli te zdjęcia, dopilnowałby, żeby spotkały ich nieszczęśliwe wypadki, jestem tego pewna – stwierdziła Madeline. – A na wszelki wypadek pozbyłby się też mamy Daphne, jej samej i mnie.

– Twoja babcia podjęła słuszną decyzję – stwierdził. – Przeszła od razu do rzeczy i poszła na całość.

Madeline powoli przesuwiała kursor. Zdjęcia zrobiono bardzo dobrym aparatem. Mimo półmroku mężczyzna w stroju do biegania był dobrze widoczny. Na pierwszych fotografiach nie było widać jego twarzy, zasłaniał ją kaptur wiatrówki, ale i tak widziała, że jest wysoki, szczupły, wysportowany.

Na kolejnej serii zdjęć stał na schodach parterowego domku, przy otwartych drzwiach. Światło z wnętrza oświetlało sylwetkę drugiego mężczyzny w progu. Na dalszych zdjęciach za nim pojawiła się także kobieta.

– Ofiary – szepnął Jack. – Carl Seavers i kobieta, która z nim była tamtej nocy, Sharon Richards. Pewnie nie musiała zginąć, po prostu była w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

I następne fotografie. Część zrobiona z bliska, przez okno w saloniku. Fotograf wycelował obiektyw przez nie do końca opuszczone żaluzje.

Na tych zdjęciach twarz biegacza była dobrze widoczna. Srebrzystoblond włosy i charakterystyczny, ostry profil nie pozostawiały wątpliwości – Egan Webster dwadzieścia lat temu.

Na kolejnej fotografii Egan trzyma pistolet w dłoni i pochyła się nad dwoma ciałami. Choć przygotowała się psychicznie na ten widok, i tak była zaszokowana.

– Mój Boże – szepnęła. – Zastrzelił ich z zimną krwią.

– Norman Purvis był pewnie w szoku, gdy zdał sobie sprawę, co sfotografował – mruknął Jack. – Pewnie umierał ze strachu. I jednocześnie zdał sobie sprawę, że to idealne narzędzie szantażu.

– Ten pistolet jakoś dziwnie wygląda.

– Tłumik – wyjaśnił.

– Czyli Webster zaplanował to zabójstwo.

– Idąc pobiegać, nie zakładasz tłumika na pistolet, który rzekomo zabierasz na wszelki wypadek, żeby się bronić.

Madeline skoncentrowała się na innym zdjęciu. Zrobione z większej odległości, było jednak dość wyraźne. Webster wychodził z domku tylnymi drzwiami. Lampa na ganku oświetlała go wyraźnie. Niósł staroświecki laptop w dłoni w rękawiczce.

Madeline wzdrygnęła się i odwróciła od ekranu.

– Miałaś rację – stwierdziła. – Egan Webster zamordował Carla Seaversa i ukradł komputer, na którym zapewne był program przewidujący ceny akcji. Ale jakim cudem Porter-Purvis wiedział, że Webster planował tę zbrodnię akurat na ten dzień?

– Myślę, że wcale tego nie wiedział. Możemy chyba założyć, że zatrudniono go, żeby śledził Webstera w innym celu. Pewnie obserwował go od wielu dni, przeciągał to, chcąc zarobić jak najwięcej. A ze sfotografowaniem zbrodni po prostu miał szczęście.

– Szczęście.

Jack machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Wiem, wiem. Dobrze. Wiemy też, że Porter-Purvis był prywatnym detektywem. Jak myślisz, kto go zatrudnił, żeby obserwował Egana Webstera?

– Na razie tego nie wiemy, ale przychodzi mi jeden powód, dla którego ktoś zatrudnia detektywa, żeby

obserwował żonatego faceta.

– O rany. Nawet jako dwunastolatki słyszałyśmy z Daphne plotki, że Egan Webster ugania się za każdą spódniczką. Cała wyspa o tym wiedziała. Czyli możliwe, że Louisa zatrudniała prywatnego detektywa, żeby mieć dowody?

– A ten zdobył coś o wiele cenniejszego – dokończył Jack. – Przyjechał na wyspę, żeby dobić targu. Zameldował się w hotelu Aurora Point pod przybranym nazwiskiem. Na wszelki wypadek.

– Webster pewnie chodził po ścianach, nie wiedząc, czemu szantażysta nagle zniknął – zauważyła Madeline. – Pewnie intrygowało go, dlaczego żądania nagle ustały.

Jack wbił się głębiej w fotel, wpatrzony w coś, co widział tylko on.

– Może co jakiś czas szukał szantażysty. Ale nie miał się czego chwycić.

– Chyba że doszedł do wniosku, że Louisa zatrudniła kogoś, żeby go śledził, i rzucił jej to w twarz. Dzięki temu znalazłby jego nazwisko.

– Ale tym tropem nie dotarłby do anonimowego pana Portera – zauważył. – A nawet gdyby połączył Purvisa z Porterem, byłby w kropce, bo ten się rozpułynał. Ciekawa myśl, że Louisa i Egan zagryzali się tym przez tyle lat, czekając, czy i kiedy kompromitujący materiał ujrzy światło dzienne.

– A teraz to nastąpiło.

Jack uśmiechnął się ponurym, niepokojącym uśmiechem.

– Tak – przyznał. – Przeszłość wraca, by ich nękać. Jest w Internecie i zaraz trafi do FBI. Nie zdołają tego wyciszyć.

Madeline spojrzała w okno. Myślała o altance.

– A co z resztą tej historii, związaną ze mną, Daphne i jej mamą?

– Prawda wyjdzie na jaw, gdy w sprawę zaangażuje się FBI i policja z San Diego. Będziecie musiały złożyć zeznania. Ale dwie osoby, które mogłyby mieć jakiegokolwiek problemy, tłumacząc się z zabójstwa mężczyzny, którego poznały pod nazwiskiem Porter: twoja babcia i Tom Lomax, nie żyją. Im prawda już nie zaszkodzi. A w rzeczywistości im szybciej wszystko wyjdzie na jaw, tym bardziej ty i Daphne będziecie bezpieczne.

Madeline przemyślała jego słowa.

– Może masz rację. W każdym razie nie ma już odwrotu.

Uśmiechnął się.

– To mi się w tobie podoba, Madeline. Od razu przechodzisz...

– Do sedna. – Wyszczrzyła zęby. – Wiesz co, powoli zaczynam mieć dosyć tego, że wszyscy mi mówią, że to im się we mnie podoba.

– Nie tylko to – odparł.

Łypnęła na niego podejrzliwie.

– Na pewno?

– Na sto procent.

– Więc wymień coś jeszcze.

– Bardzo chętnie. – Wstał. – Ale nie teraz. Teraz mamy co innego do roboty.

– A co?

– Pogadamy z Eganem Websterem.

Zerwała się na równe nogi.

– Chwileczkę! To zły pomysł. Masz to wszystko przekazać FBI, zapomniałeś już? Niech oni zajmą się Eganem. To bezwzględny morderca, wiemy to na pewno. Przed chwilą powiedziałaś, że od razu przechodzę do sedna, tak? No więc to jest właśnie sedno tej sprawy.

– Nie do końca. Tacy jak Webster rozumieją tylko jedno uczucie. Strach.

– Jasne, rozumiem, ale zaraz będzie miał na karku FBI, że już nie wspomnę o miejscowej policji. Niech ich się boi.

– To nie wystarczy, by go unieszkodliwić. Ma zastępy prawników, żeby sparaliżować działania organów ścigania. Koniec końców pewnie nie wygra, ale prawnicy utrzymają go na wolności, przynajmniej na tak długo, żeby zdążył zniknąć na dalekiej wyspie albo w kraju, z którym nie mamy umowy o ekstradycji.

Madeline chciała zaprotestować, ale wiedziała, że to bez sensu. Jack miał rację.

– Dobrze – mruknęła.

Rozbawiony uniósł brew.

– Tak po prostu?

Łypnęła na niego ostrzegawczo.

– Niestety nie mam lepszego pomysłu.

– Jakbyś miała, daj znać.

– Chętnie. – Upewniła się, że słucha jej uważnie. – Idę z tobą do Webstera.

– Nie.

– Ta kwestia nie podlega dyskusji.

Patrzył na nią bez słowa. Uśmiechnęła się.

– Nie paraliżuj mnie wzrokiem – rzuciła. – Pamiętaj, że ja tu jestem szefem.

Spoważniał, ale nic nie powiedział. Bębnił palcami po stole.

– Właściwie zostało jeszcze tylko jedno pytanie.

– Kto postanowił posprzątać stare brudy?

– No właśnie. Ale po kolei. Pogadajmy z Eganem Websterem.

Rozdział 50

Szczerze mówiąc, pan i pani Chase to ostatnie osoby, których się dzisiaj spodziewałem – zauważył Egan. – Proszę usiąść.

– Nie zajmujemy panu dużo czasu – odparł Jack.

Ucieszył się, że Madeline zrozumiała i nie wykonała żadnego ruchu w kierunku krzesła. Ma intuicję, stwierdził. Czasami warto usiąść w obecności wroga, bo tym samym demonstrujesz pewność siebie i sugerujesz pośrednio, że masz przewagę. Czasami jednak zdrowy rozsądek podpowiadał, że lepiej zostać na nogach – kiedy na przykład może się okazać, że musisz szybko sięgnąć po broń. Nie sądził, by dzisiaj było to konieczne, ale w towarzystwie kogoś pokroju Webstera lepiej zachować czujność.

Nie dziwiło ich, gdy zastali rodzinną rezydencję pogrążoną w szoku i rozpacz. Szok był autentyczny, stwierdził Jack, co do rozpacz nie był już taki pewien. Wydawało mu się, że była to tylko maska ukrywająca to, co czuli wszyscy mieszkańcy wyspy – ulgę. O ile mu wiadomo, nikt – poza może Louisą – nie przepadał za Xavierem.

Pokojówka poinformowała ich ściszym głosem, że ani Egan, ani pozostali członkowie rodziny nie przyjmują dzisiaj gości, ale kiedy lekko nacisnął, zniknęła w głębi domu, żeby powiedzieć gospodarzowi, kto przyszedł, a gdy wróciła, zaprowadziła ich do gabinetu. Egan powitał ich z miną zbolatego ojca.

– O czym chciał pan ze mną rozmawiać? – zapytał. Demonstracyjnie spojrzął na zegarek. – Jesteśmy z żoną umówieni z dyrektorem zakładu pogrzebowego.

– Pana żona była u mnie dzisiaj rano – odparła Madeline. – Padły groźby.

– Wiem. – Egan przymknął oczy, lecz zaraz spojrzął na nią błagalnie. – Bardzo panią za to przepraszam. Chyba pani rozumie, w jakim jest teraz stanie moja żona. Widzi pani, nigdy nie straciła nadziei, że dzięki terapii stan Xaviera ulegnie poprawie. Tak między nami, w ciągu minionych lat wydaliśmy majątek na leki, lekarzy i najnowsze terapie, ale koniec końców nie udało nam się mu pomóc.

– Tak, to było wczoraj bardzo jasne – mruknął Jack.

Egan spojrzął na niego z wyrzutem.

– Usiłuję państwu wytłumaczyć, że nasz syn miał poważne problemy.

– Problemami Xaviera proszę już sobie nie zawracać głowy – odparł Jack. Podszedł do biurka i położył swój telefon pod nosem Egana. – Teraz ma pan swoje. Dzisiaj przesłałem zdjęcia do FBI i policji w San Diego. Władze zdecydują, co z tym dalej zrobić.

Egan spojrzął w dół. Po chwili podniósł głowę. Po raz pierwszy wydawał się czujny.

– O czym pan mówi, do cholery?

– Po pierwsze, dopilnuję, żeby ponownie zajęto się sprawą zabójstwa Carla Seaversa i Sharon Richards. Po drugie, FBI ponownie przeanalizuje, jak doszło do pożaru, w którym zginęła Edith Chase. Do tej pory zakładaliśmy, że to sprawa Xaviera, ale wobec tych materiałów trzeba wziąć pod uwagę i to, że miał pan doskonały motyw.

Egan poczerwieniał gwałtownie.

– Nie mam pojęcia, o co panu chodzi, wiem za to, że jest pan większym wariatem, niż był mój syn. –

Sięgnął po telefon. – Dzwonię na policję.

– Pokaż mu zdjęcia, Madeline – poprosił Jack. – I zapiski.

Podeszła do biurka i bez słowa wyświetliła pierwszą fotografię.

Egan zmrużył oczy, wyraźnie zbity z tropu, zaraz jednak zdał sobie sprawę, na co patrzy.

– Nie – syknął. – To niemożliwe.

Madeline wyświetlała kolejne zdjęcia. Kiedy dotarła do stron ze starego notesu, Egan był w szoku.

– Wystarczy – polecił Jack.

Madeline zabrała komputer i cofnęła się.

– To fałszywki – sapnął Egan. Był cały spięty; wydawało się też, że ogarnia go panika. – Wszyscy wiedzą, że w Internecie można wszystko spreparować.

– Oprócz zdjęć prywatny detektyw prowadził szczegółowe zapiski – oznajmił Jack. – Widział, jak kupuje pan broń. I tłumik. Co więcej, sfotografował pana, jak zrzuca dowody z nabrzeża w La Jolla.

– Kłamstwa! – syknął Egan. – Wszystko kłamstwa. Skąd to macie?

– To długa historia i nie czas na nią. FBI zna wszystkie szczegóły, to tylko skany oryginałów. Nie wiem, kto je ma. Może pan? Czy to pan zatrudnił kobietę podającą się za Ramonę Lomax, żeby pomogła panu oczyścić nazwisko Websterów?

– Wynocha. – Egan sięgnął do szuflady biurka.

– Nie radzę. – Jack trzymał pistolet w dłoni. – Wstań i odejdz od biurka.

Egan wbił wzrok w broń. Dźwignął się powoli i niechętnie odszedł kilka kroków.

– Nie wiesz, z kim zadzierasza, Rayner. – Spojrzał na Madeline. – A ty jesteś idiotką.

– Zamordowałaś moją babcię, draniu – syknęła. – To ty, prawda?

Jacka zaniepokoił ton jej głosu. Od początku obawiał się, że zabranie jej ze sobą było błędem. Strategia, jaką zaplanował wobec Webstera, nie zostawiała miejsca dla przypadkowych fajerwerków i emocjonalnych wybuchów. Tajemnicą sukcesu była pełna kontrola nad sytuacją.

– Czas na nas – powiedział spokojnie. Choć mówił do Madeline, nie spuszczał oka z Webstera.

– To przez ciebie Tom Lomax nie żyje – mówiła. – Sam go zamordowałaś, a potem polowałaś też na mnie? Czy może to była Ramona? To bez znaczenia i tak masz jego krew na rękach. I wrobiłaś własnego syna, kiedy sprawy zaczęły wymykać ci się spod kontroli.

Webster pokręcił głową.

– Ty idiotko. Trzeba było sprzedać hotel, kiedy miałaś ku temu okazję. Zanim to wszystko się skończy, z Sanctuary Creek Inns nic nie zostanie, słyszysz?

– Madeline – syknął Jack. – Drzwi.

Nie podnosił głosu, ale w końcu do niej dotarł. Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Jack cały czas obserwował Webstera.

– To, co będzie dalej, rozegra się między tobą a policją – powiedział. – Jesteś bystry. Idę o zakład, że zanim chłopcy z odznakami zapukają do drzwi, uciekniesz na wyspę na końcu świata. Ale chcę, żebyśmy mieli jasność: jeśli z jakiegokolwiek powodu uznam, że Madeline albo Daphne grozi niebezpieczeństwo, sam cię znajdę.

– Wynoś się z mojego domu, sukinsynu! – ryknął Egan. – Zapłacisz za to, co mi zrobiłaś, to ci mogę obiecać. To ci mogę, kurwa, obiecać!

Madeline otworzyła drzwi. Była już w holu. Jack szedł za nią, nie spuszczał przeciwnika z oczu. Zamknął drzwi za sobą i dopiero wtedy spojrzał na Madeline.

– Wyjeżdżamy – zdecydował.

– Dobrze.

Nie chował pistoletu, kazał jej usiąść za kierownicą, sam wolał mieć wolne ręce. Na wszelki wypadek.

Madeline pojechała prosto na nabrzeże, gdzie już czekał jej samochód.

Zdążyli na prom.

Rozdział 51

Madeline stała przy barierce i patrzyła, jak Cooper Island znika jej z oczu. Naciągnęła kaptur na głowę. Jack stał obok, osłaniał ją potężnym ciałem od chłodnego wiatru ciągnącego od ciemnej wody.

– Posunąłeś się za daleko – stwierdziła cicho. – Grożąc mu, stałeś się jego celem numer jeden.

– Musiałem.

Nic więcej nie powiedział.

Patrzyła na niego zza szkieł okularów przeciwsłonecznych. Nie widziała jego oczu, bo także miał ciemne okulary. Ostatnio jednak wiele się o nim dowiedziała. Wycofał się w głąb siebie. Chciała się tam wdrzeć, nie wiedziała jednak, jak pokonać niewidzialny mur. Nie wiedziała, czy to w ogóle możliwe. I jak Jack zareaguje, jeśli jej się to uda.

W przeszłości zawsze się zatrzymywała przy tej barierce, wiedząc, że nie ma prawa wdzierać się dalej.

Ale teraz było inaczej. Teraz był jej kochankiem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała. – Dlaczego nie wystarczyło ci, że zajmą się nim władze? Nie chciałam, żebyś się narażał.

– Zatrudniłaś mnie, żebym rozwiązał problem. Powiedziałem ci na samym początku, że zrobię to po swojemu. Do tej pory nie protestowałaś. Ale dzisiaj uparłaś się, żeby pojechać ze mną. Zmieniłaś dynamikę.

I nagle zrozumiała. Zakręciło jej się w głowie.

– Groziłeś mu ze względu na mnie, prawda? – domyśliła się. – Bo straciłam panowanie nad sobą i zarzuciłam mu, że zamordował babcię i Toma.

– Koniec końców to i tak nie ma znaczenia.

– Gdybym trzymała język za zębami, mógłbyś dokończyć wojnę na nerwy z aktówką i informacją o tym, że władze już o wszystkim wiedzą. I mają zdjęcia. Webster skoncentrowałby się na FBI, a teraz jego głównym celem będziesz ty.

– Może nie.

– Co to ma znaczyć: może nie? Widziałeś go. Zrobi, co w jego mocy, byle cię dopaść.

– Przez pewien czas będzie miał pełne ręce roboty – zauważył Jack. – Teraz jego priorytetem będzie wydostać się z kraju. To twarde. Nie będzie ryzykował, dając policji szansę. Owszem, nienawidzi mnie, ale nie zaryzykuje aresztowania tylko po to, żeby się zemścić. Sam wie, że teraz musi zapaść się pod ziemię.

– Rozumiem. – Odetchnęła głęboko i poczuła minimalną ulgę. – Przede wszystkim interesuje go własne przetrwanie.

– Pewnie w tej chwili każe przygotować jacht do pełnomorskiego rejsu. Jeśli wejdzie na pokład, za kilka godzin wypłynie na wody międzynarodowe. Poza granicami kraju będzie nietykalny i o tym wie. Na pewno już dawno przygotował plan B.

– Konta w rajach podatkowych?

– Byłby idiotą, gdyby nie przygotował się na taką sytuację.

– Fakt. – Przemyślała to. – Sama już nie wiem, co lepsze: żeby go aresztowano czy żeby uciekł do kraju, z którym nie mamy umowy o ekstradycję. Jeśli go teraz zamkną, za kilka godzin wyjdzie za kaucją.

– I wtedy i tak zapewne uda mu się dotrzeć na jacht.

– Czyli szanse, że trafi za kratki, są małe.

– Tak.

– Czyli co?

– Madeline, w mojej branży nauczyłem się jednego. Czasami nie ma sensu patrzeć za daleko w przyszłość. Czasami wzorzec się nie sprawdza. Trzeba działać na bieżąco, w miarę rozwoju sytuacji.

Odgarnęła sobie włosy z twarzy.

– Wydaje mi się, że podobnie podchodzisz do spraw osobistych – mruknęła.

Uśmiechnął się.

– Przynajmniej nie muszę wydawać pieniędzy na sprawdzanie potencjalnych partnerek.

– Cios poniżej pasa – stwierdziła.

– Owszem. Przepraszam.

Spojrzała na niego.

– Jack, czasami mnie przerażasz.

– Za to też przepraszam.

– Nie dlatego, że się boję, że mógłbyś mnie skrzywdzić.

– Nigdy w życiu.

Dokończyła poprzednie zdanie w myślach. „Przerażasz mnie, bo obawiam się, że się w tobie zakochałam”.

Nie był to ani czas ani miejsce dla takich wyznań. Jack nie był na to gotowy. Wzięła go tylko za rękę. Przez chwilę myślała, że jednak posunęła się za daleko.

Wówczas jego silne palce ostrożnie, ale stanowczo zacisnęły się na jej dłoni.

Nie czuła się uwięziona, schwytana w pułapkę, przebita szpilką jak motyl. Poczwała za to upojną świadomość, że tak jest dobrze. Razem jesteście silniejsi, przemknęło jej przez głowę. Kiedy to zrozumiesz, Jack?

Razem patrzyli, jak Cooper Island znika we mgle.

Nagle coś jej się przypomniało.

– Co miałaś na myśli, mówiąc: o ile Webster dopadnie jachtu?

– Sam nie wiem. Wiem tylko, że cała rodzina wali się w gruzy. To jak wybuch wulkanu. Najważniejsze, nie stać za blisko. I dlatego lecimy do domu, do Arizony.

– Brzmi dobrze.

– O tak.

Rozdział 52

Egan wyjął z szafy naręczne koszul i cisnął do walizki. Łypał groźnie na żonę, zanim ponownie podszedł do otwartej szafy. W tej chwili nienawidził jej równie mocno jak Jacka Raynera. Oboje mi za to zapłaca, powtarzał w myślach.

– To wszystko twoja wina, ty durna idiotko – syknął. – Wszystko, łącznie ze śmiercią twojego ukochanego Xaviera. Kazałaś mnie śledzić wtedy w San Diego, tak? Tak? Pieprzony detektyw miał twój stary numer i twoje inicjały w notesie

Louisa stała przy drzwiach. Ścisnęła torebkę w dłoniach.

– Jakie zdjęcia? – wykrztusiła zduszonym głosem.

– Ja w domu Seaversa i tej suki, z którą sypiał. Zdjęcia stron z notatnika. Przez które na resztę życia mogę trafić za kratki.

Odetchnęła głęboko.

– Czyli zamordowałaś ich, żeby położyć łapy na tym programie do przewidywania cen akcji, tak? Zawsze to podejrzewałam, ale łudziłam się, że nie posunąłbyś się tak daleko. Wmawiałam sobie, że nawet ty nie przekroczyłbyś tej granicy. A jednak wiedziałam. W głębi duszy wiedziałam.

Egan spojrzał na nią z pogardą.

– Louiso, od samego początku tkwiliśmy w tym razem, zapomniałaś już?

– Wtedy jeszcze ciągle łudziłam się, że mnie kochasz. Choć troszeczkę. – Opanowała drżący głos. – Owszem, zatrudniłam prywatnego detektywa, żeby cię śledził, kiedy chodzisz do tych swoich dziwek. Nigdy nie przesłał mi ostatecznych wyników. Przez prawie dwa miesiące Norman Purvis co tydzień wystawiał mi rachunek, a potem nagle zniknął. Zakładałam, że poszedł siedzieć.

– To właśnie on zaczął mnie szantażować dwadzieścia lat temu.

– Owszem, mówiłeś, że ktoś cię szantażuje, ale sugerowałaś, że chodziło raczej o szpiegostwo przemysłowe.

– Bzdura. Wiedziałaś, że to Purvis, prawda? Detektyw, którego zatrudniłaś, znika bez śladu, a potem ktoś mnie szantażuje. Chyba domyśliłaś się, że Purvis coś znalazł i wykorzystał to przeciwko mnie. Ale nigdy nie pisałeś ani słowem.

Puściła to mimo uszu.

– Co się z nim stało?

– A skąd niby mam to wiedzieć, do cholery? Przez pierwsze dwa lata wyciągał ode mnie kasę regularnie, ale powoli. Powtarzałem sobie, że pewnego dnia znajdę go i położę temu kres. A potem zacząłem odnosić sukcesy i Purvis był coraz bardziej chciwy. Zażądał przelewu kilku milionów na zagraniczne konto. Zgodziłem się, pod warunkiem że przekaże mi zdjęcia. Wszystko załatwiłem. Umówiliśmy się, że odda mi materiały tu, na wyspie. Wymyśliłem sobie, że kiedy go tu ściągnę, na Cooper Island, to ja będę panem sytuacji. Ale drań się nie pojawił.

– I nie odezwał nigdy więcej.

– Początkowo myślałem, że stracił odwagę. Z czasem zacząłem podejrzewać, że może zajęli się nim inni, których szantażował. I pewnie tak właśnie było.

– Jakim cudem te zdjęcia i notes akurat teraz wypłynęły na powierzchnię?

– Nie wiem wszystkiego, do cholery.

Louisa kurczowo ścisnęła torebkę.

– Dokąd się wybierasz, Egan?

– To chyba jasne. – Zsunął suwak w walizce. – Jak najdalej stąd.

– Chcesz nas porzucić?

Chciał na nią wrzeszczeć, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ma inną, bardziej skuteczną broń. Zawsze umiał oczarować swoją ofiarę.

– Louiso, tak będzie dla nas najlepiej – zaczął powoli, spokojnie. – Nie rozumiesz? Tylko w ten sposób odwrócimy uwagę mediów i policji. Wszystko skrupi się na mnie, podłym finansście, który zamordował kolegę, żeby zdobyć program do przewidywania cen akcji przed prawie dwudziestu laty, oszukał rodzinę, przyjaciół i wspólników, zbił majątek i uciekł, gdy prawda wyszła na jaw.

– Ciekawe podejście. A co z Travisem i kampanią? Nie możesz tak po prostu zostawić go, żeby składał skorupy.

– Nie pomogę mu, zostając. Beze mnie szybciej sobie z tym wszystkim poradzi. Nie martw się o niego. Spadnie na cztery łapy. Długo trwało, zanim w końcu zrozumiałem, że to on odziedziczył po mnie umiejętność przetrwania.

– Co masz na myśli?

– Zejdz na ziemię, Louiso. Nie widzisz jeszcze, za kiedy będzie po wszystkim, zostanie tylko on? Nie rozumiesz? To on wczoraj pozbył się Xaviera. Na pewno.

– Nie. Xavier był jego bratem.

– Słyszałaś kiedyś o Kainie i Ablu? Pomyśl tylko. Xavier zawsze stanowił dla niego problem. To była tylko kwestia czasu, kiedy Xavier zrobiłby coś, co zniszczyłoby kampanię Trávisa, z czego ten doskonale zdawał sobie sprawę i wiedział, że ma tylko jedno wyjście – pozbyć się brata. Dziwi mnie tylko, że zdobył się na odwagę, by to zrobić. Powinienem bardziej w niego wierzyć.

– Nie wiesz na pewno, że to on zamordował Xaviera. Nie możesz tego wiedzieć.

– To jedyne logiczne wytłumaczenie tego, co się stało. – Egan dopiął walizkę. – Mam w nosie, co mówią spece od kampanii; oboje wiemy, że to nie było samobójstwo. A ja na pewno nie spreparowałem takiego wybuchu. Czyli to musiał być Travis. A teraz daj mi przejść.

– Nie – zdecydowała. – Nie pozwolę ci nas zostawić. Nie po tym wszystkim, co zrobiłeś. Zbyt ciężko na to pracowałam. Zbyt wiele znosiłam przez ciebie. Wiesz, prawie przez to oszalałam, te twoje romanse, a w końcu świadomość, że nie jesteś zdolny do miłości, że nie kochasz nawet własnych synów. Że zawsze będziesz mnie zdradzał i okłamywał.

– I zarabiał majątek. Nie zapominaj o tym. Pieniądze bardziej ci się podobały, co? Chętnie je wydawałaś, kupując wszystko, łącznie z kampanią Trávisa?

– Którą właśnie zniszczyłeś.

– To ty wtedy kazałaś mnie śledzić, nie zapominaj. Gdyby nie ty, przeszłość zostałaby tam, gdzie jej miejsce. To ty ściągnęłaś nam nieszczęście na głowę.

Nie wiadomo kiedy Louisa uspokoiła się. Instynkt podpowiadał Eganowi, że coś jest nie tak. Musi stąd wyjść. I to natychmiast.

– Masz rację – wycedziła. – Wszystko, co spotkało tę rodzinę, to rzeczywiście moja wina. I teraz ja muszę to naprawić.

Sięgnęła do torebki i wyjęła pistolet. Jego pistolet. Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Myślisz, że twoje samobójstwo rozwiąże wszystkie problemy Trávisa? Zresztą, jak chcesz. Proszę bardzo.

– Nie rozumiesz – odparła spokojnym, pewnym głosem. – Nie siebie chcę zabić.

Rozdział 53

„Sensacyjne wiadomości... Egan Webster, założyciel ogromnego funduszu hedgingowego i ojciec kandydata do Senatu, znaleziony martwy w rodzinnej posiadłości na Cooper Island w stanie Waszyngton. Według policji przyczyną zgonu są liczne rany postrzałowe. Zatrzymano Louise Webster, żonę zmarłego. Z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że przyznała się do zbrodni.

Wraz ze śmiercią Webstera pojawiły się informacje o operacjach finansowych jego funduszu i wątpliwości dotyczące obecnej sytuacji giganta. FBI wszczęło postępowanie wyjaśniające.

Mówi się także o ponownym śledztwie w sprawie niewyjaśnionego podwójnego morderstwa, którego ofiarami padli dawni koledzy Webstera z pracy...”

Madeline oderwała wzrok od ekranu komputera.

– Nie do wiary. Louisa zastrzeliła go zaraz po tym, jak odpłynęliśmy z wyspy.

Daphne i Abe czekali na nich na lotnisku SeaTac. We czwórkę stali przy małym stolczku w saloniku dla pasażerów pierwszej klasy i czekali na lot do Phoenix. Abe przyniósł talerz pełen darmowych przekąsek i postawił go na środku – małe paczuszki sera i krakersów, marchewek, humusu, warzyw, ciasteczek. Wszyscy pili kawę.

– Chciał uciec, zostawiając to wszystko na głowie Louisy i Trávisa – stwierdziła Madeline.

– Webster posunął się za daleko i dlatego go zabiła – podsumowała Daphne.

– Patrząc na to z tej strony, rzeczywiście brzmi logicznie – przyznała Madeline. Usiadła wygodniej na krześle. – Może powinniśmy się raczej zastanowić, dlaczego zrobiła to dopiero teraz?

– Pewnie już dawno pogodziła się z rozpadem małżeństwa – ciągnęła Daphne. – Ale po tylu wspólnych latach zawarli przymierze. Webster dawał jej pieniądze, a ona jemu, syna, który pewnym krokiem zmierzał do Senatu, a później może także do Białego Domu.

– Tylko że to wszystko opierało się na kłamstwach i śmierci – mruknął Abe. – Ktoś poznał prawdę o przeszłości, postanowił ją ukryć i, niejako przy okazji, pozbyć się kłopotliwego problemu pod tytułem Xavier.

– Stawiam na Trávisa – odezwał się Jack.

Madeline spojrzała na niego.

– Myślisz, że to on ruszył pierwszy kamyk?

– Myślę przede wszystkim, że Travis Webster to nieodrodny syn swego ojca, prawdziwy następca Egana. Kiedy postanowił zająć się polityką, przyjrzał się uważnie rodzinnej historii i zapewne rzuciło mu się w oczy to samo, co nam: nagła kariera jego ojca w świecie finansów.

– I zapewne także trafił na informację o śmierci Seaversa i zaczął zaglądać w każdy zakamarek – dopowiedziała Madeline. – Ciekawe, jak dotarł do Portera czy raczej Normana Purvisa.

– Jeśli wypytywał matkę o przeszłość, niewykluczone, że sama mu powiedziała, że wynajęła

prywatnego detektywa, który miał śledzić Egana. Iwspomniała, że nie wie, jak to się skończyło, bo detektyw zniknął.

– Mając tyle kawałków układanki, Travis zapewne zaczął składać wszystko do kupy – ciągnął Jack. – Domyślił się, że Purvis wyruszył na Cooper Island i zniknął, zanim tu dotarł. Idę o zakład, że w pierwszej wersji uznał, że to jego ojciec zabił Purvisa i ukrył gdzieś ciało.

– Logiczny wniosek – przyznał Abe.

– A skąd wiedział, że jednak było inaczej? – zapytała Daphne. – Zakładając, że mamy rację, jakim cudem doszedł do tego, że Purvis dotarł aż do hotelu, zanim zniknął?

– Na Cooper Island nie było wtedy zbyt wielu innych możliwości – zauważyła Madeline. – Poza Aurora Point były tylko małe pensjonaty, w których nie sposób zachować anonimowości.

– A więc Travis wywnioskował, że Porter-Purvis zameldował się w hotelu Aurora Point, ale nigdy stąd nie wyjechał? – Jack pokręcił głową. – Możliwe, ale naciągane. Moim zdaniem trafił na coś konkretniejszego.

– Martwa siostra. – Abe wyprostował się gwałtownie, odłożył krakersa, szybko stukał palcami w klawisze komputera. – Ta, która kilka miesięcy temu przedawkowała. Pamiętacie? Porter-Purvis jechał tamtej nocy jej samochodem. Proszę bardzo, Sandra Purvis.

– Tak jest. – Jack wydawał się bardzo zadowolony. – Travis Webster odszukał jego siostrę i tym sposobem dowiedział się dość, by założyć, że Purvis dotarł do hotelu Aurora Point, zanim przepadł bez śladu. Stąd już tylko krok do wniosku, że jedynym, który może coś wiedzieć na ten temat, jest stary dziwak, który pracował tam także przed osiemnastu laty.

– Travis posłużył się Ramoną, żeby zmiękczyć Toma i wyciągnąć z niego informacje – zgadywała Madeline. – Trafiła w dziesiątkę, gdy Tom opowiedział o aktówce w ścianie, w której, jak twierdził, jest jego polisa ubezpieczeniowa.

– Ale czemu to zrobił? – zdziwiła się Daphne.

– Błądzą po omacku – zastrzegł Jack. – Ale potrafię sobie wyobrazić, że Tom wymyślił, że zaszantażuje Egana zawartością aktówki.

Abe zastygł w bezruchu z krakersem w ustach.

– Ale niby dlaczego Lomax nagle chciałby szantażować Webstera?

– Bo liczył, że wyciągnie od niego sporo pieniędzy – tłumaczył Jack.

– Ale po co? – powtórzył Abe. – Z tego, co wiemy, Lomaxowi nie zależało na majątku.

Madeline sięgnęła po kawę.

– Tom właśnie odnalazł wnuczkę, której istnienia nawet nie podejrzewał. Może chciał zrobić to, co wielu dziadków i rodziców robi dla swoich najbliższych: zostawić im coś w spadku?

Przez dłuższą chwilę analizowali tę wersję w milczeniu.

– Nie wszystko możemy jeszcze udowodnić, ale większość trzyma się kupy – stwierdził Jack.

– To takie smutne – westchnęła Daphne. – Biedny Tom. Pewnie nie posiadał się z radości, że ma wnuczkę.

– Sekret przestaje być sekretem, gdy wie o nim więcej niż jedna osoba – mruknął Jack.

– Tak, tak, wiemy – burknął Abe. – Musisz poszukać nowego powiedzonka, szefie. To już się nam znudziło.

– To nie powiedzonko, to fakt – sprzeciwił się Jack. – Chyba wiemy już prawie wszystko. Zostały jeszcze tylko pojedyncze luźne nitki.

– Na przykład? – zainteresowała się Daphne.

Madeline w zadumie stukała palcami w kubek.

– Na przykład tajemnicza Ramona Lomax.

– Właśnie. – Jack upił łyk kawy. – Bardzo mnie interesuje, skąd się wzięła i jakim cudem zaczęła pracować dla Trávisa Webstera.

– Cóż, może nie jestem równie zdolną policjantką jak co poniektórzy przy tym stole – odezwała się Madeline – ale może, tylko może, Travis odziedziczył też inne cechy po niezbyt idealnym ojcu.

Daphne odchyliła się z krzesłem i wbiła dłonie w kieszenie dżinsów.

– Chcesz powiedzieć, że też jest kobieciarzem?

– Jak szanowny papa. – Madeline wzdrygnęła się. – Jeśli mamy rację, uwiódł ją, namówił, żeby udawała wnuczkę Toma, a potem, kiedy już jej nie potrzebował, zamordował ją.

– Websterowie to istne gniazdo żmij – zauważył Abe. Wyjął ciastko z papierka i położył na talerzu Daphne. – Jak rodzina mafijna. Ciężko się wżenić w taki klan.

– Wygląda na to, że Travis jest najgorszy – odparł Jack.

– Jeśli mamy rację, może się okazać, że ma na sumieniu kilka osób – dodała Madeline. – Myślicie, że FBI połączy fakty?

– Joe, mój kumpel, ma dość dowodów, by zacząć śledztwo – zapewnił Jack. – Może trochę potrwa, zanim dojdzie po nitce do kłębka, ale znam go. Nie odpuści, póki nie dowie się wszystkiego.

– Jeśli Travis jest nie tylko najgroźniejszym, ale też najmądrzejszym członkiem rodziny Websterów, w tej chwili żegluję już pewnie na rodzinnym jachcie gdzieś po wodach międzynarodowych.

Jack sięgnął po krakersa.

– Może.

Madeline doszła do wniosku, że w tej chwili więcej z niego nie wyciągną. Uśmiechnęła się do Daphne.

– Fajnie jest wrócić do domu. Zamieszkaż u mnie, póki wszystko się nie rozwiąże. Mamy sporo do obgadania.

Daphne uśmiechnęła się.

– Doskonały plan.

– Możecie sobie gadać, ile chcecie – oświadczył Jack z pełnymi ustami. – Ale nie u ciebie, Madeline. A przynajmniej nie w nocy. Zatrzymacie się z Daphne u naszych rodziców, póki Joe nie da znać, że wszystko pozamiatane.

Madeline spojrzała na niego.

– Dlaczego nie u mnie?

– U naszych rodziców będzie bezpieczniej – zapewnił Jack.

Daphne zmarszczyła brwi.

– Aż tak bardzo niepokoją cię niewiadome?

– Niewiadome są najgorsze – odparł Jack.

Rozdział 54

Późnym popołudniem temperatura dochodziła do dwudziestu kilku stopni, ale na pustyni szybko robi się chłodno po zmroku. Jednak w długich spodniach i swetrze Madeline było ciepło, gdy siedziała na werandzie, zwłaszcza że z nocnym chłodem walczył skutecznie zewnętrzny grzejnik.

Dom rodziców Jacka i Abe'a to urocze połączenie nowoczesnej i tradycyjnej architektury południowego zachodu. Wyglądał, jakby wykuto go z pustynnej skały. Znajdował się na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na Sanctuary Creek, zapierający dech w piersiach, i na góry po drugiej stronie doliny.

Choć zapewne nie każdy byłby zachwycony, widząc na progu nieoczekiwanych gości, Charlotte i Garrett Raynerowie powitali je z otwartymi ramionami.

Wiosenne noce na pustyni różnią się diametralnie od nocy na północnym zachodzie, stwierdziła Madeline. Bezkresne niebo, zapach pustyni, szorstki krajobraz, zawsze czający się tuż na wyciągnięcie ręki, nawet w mieście, powietrze przepełnione odgłosami stworzeń wyjących, piszczących i bzyjących w ciemności – to wszystko stanowiło inny świat – jej świat. Wróciła do domu, i choć miała spędzić tę noc w domu obcych ludzi, było to wspaniałe uczucie.

Nie była sama na patio, towarzyszyły jej Daphne i Charlotte. Nagle przemknęło jej przez myśl, że odkąd Jack zjawił się na Cooper Island i przejął dowodzenie, ani razu nie były same.

Jack, Abe i Garrett w kuchni szykowali kolację. Czasami dobiegał je niski, męski śmiech. Max, przyjazny, ogromny pies, pobiegł za nimi. Madeline domyślała się, że spryciarz doskonale wiedział, gdzie mu skapnie smakowity kąsek.

Garrett Rayner wyglądał jak żywcem wyjęty z dawnego Dzikiego Zachodu. Wystarczyło jedno spojrzenie, by przekonać się, że Jack po ojcu odziedziczył szczupłą budowę, ostry profil i nieprzenikniony wzrok.

Charlotte była energiczną kobietą ze skłonnością do przesady. Tego wieczoru miała na sobie długą sukienkę w kolorach zachodu pustynnego słońca. W czarnych włosach mieniły się srebrzyste pasma. Zebrała je w kucyk u nasady karku. Złote i srebrne bransoletki pobrzękiwały na jej przegubach, gdy podkreślała słowa ruchami dłoni.

Na małym stoliku stały dwie butelki białego wina, przy czym jedna była już pusta. Madeline była pewna, że w życiu nie piła równie dobrego wina. A także tego, że jego smak poprawiała świadomość, że Cooper Island została daleko za nią, a ona i Daphne są bezpieczne wśród nowych przyjaciół.

Odnalazła wzrok przyjaciółki i wiedziała, że myślą o tym samym. Zdziwiająco łatwo odgadywały swoje myśli, tak samo jak przed laty. Podniosła kieliszek w toaście.

– Za koniec bardzo, bardzo długiego dnia – powiedziała. Uśmiechnęła się do Charlotte. – I za wspaniałych ludzi, którzy powitali dwie nieznanym z otwartymi ramionami.

– Wypijmy za to – zgodziła się Daphne. Uniosła kieliszek i upiła spory łyk.

– Bardzo dziękuję – odezwała się Charlotte. – Ale zapewniam, to dla nas wielka przyjemność. Z tego,

co mówili Jack i Abe, miałyście w ostatnim czasie mnóstwo ekscytujących przygód. Pożary. Wybuchy. Morderstwa. Co za koszmar. I kto by pomyślał, że branża hotelowa niesie aż tyle zagrożeń?

– Zapewniam, te problemy nie zdarzają się często – powiedziała Madeline.

– Wiesz, kiedy Jack oznajmił, że odchodzi z FBI i zakłada z przyjacielem firmę, byliśmy przekonani, że po kilku miesiącach będzie miał tego serdecznie dość – zaczęła Charlotte. – Ale tak się nie stało. A potem jego przyjaciel zginął w wypadku nurkowym, firma zbankrutowała. I znowu byliśmy pewni, że Jack wróci do profilowania, a on postanowił pracować na własną rękę. Było mu ciężko, zwłaszcza że nie chciał od nas żadnej pomocy. Dlatego tak bardzo zależało mu na zleceniu Sanctuary Creek Inns. Jesteś jego pierwszą dużą klientką.

– Tak słyszałam – odparła Madeline. – Dobra wiadomość jest taka, że seryjni mordercy rzadko się u nas zatrzymują. Jak mawiała moja babcia, prowadzenie hotelu to jak prowadzenie parku rozrywki. Każdy gość hotelowy to wielka niewiadoma. Nigdy nie wiesz, na kogo trafisz.

Daphne skinęła głową.

– Faktem jest też, że nocując w hotelu, liczysz na anonimowość. Wkraczasz do innego świata, w którym nikt tak naprawdę nie wie, kim jesteś.

Charlotte zachichotała.

– I pewnie właśnie ta anonimowość sprawia, że tak wielu mężczyzn spotyka się w hotelach z prostytutkami, zdradza swoje żony i zawiera podejrzone transakcje.

– Owszem, to też część hotelowego biznesu – przyznała Madeline. – Ale zapewniam, że Sanctuary Creek Inns nie zachęca tego typu klienteli.

Charlotte roześmiała się.

– A patrząc na to z jaśniejszej strony, hotelarstwo ma wiele zalet – ciągnęła Madeline. – Pomagamy spełniać marzenia, organizując śluby, podróże poślubne, rocznice, urodziny i inne uroczystości. – Odchrząknęła. – Że już nie wspomnę o nudnych spotkaniach firmowych, zjazdach absolwentów czy szalonych wieczorach panieńskich.

Charlotte podniosła głowę, zaintrygowana.

– Często znajdujesz w hotelu martwego gościa?

– Cóż, to się zdarza – przyznała Madeline. – Ale najczęściej z przyczyn naturalnych, przysięgam.

– Wierzymy ci na słowo – zapewniła Charlotte. Spojrzała na nią przeciągle. – Uwielbiasz to, prawda?

– Hotelarstwo? Tak. Chyba mam to we krwi.

– Jak sądzisz? Jackowi to wystarczy?

– Musisz jego zapytać. Ale tak, myślę, że tak.

Charlotte przyglądała jej się z nagłą uwagą.

– Skąd ta pewność?

– Sama nie wiem – zaczęła Madeline ostrożnie. – Właściwie nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nie tak bezpośrednio. Ale chyba ma już dosyć koszmaru, z jakim na co dzień zmagają się profiler. Nadal robi to, co robi najlepiej: chroni świat przed bandziorami, ale robiąc to tak jak teraz, ma szansę na normalne życie.

Upiła kolejny łyk wina i sięgnęła po nachosy, ale znieruchomiała z wyciągniętą ręką, cały czas czując na sobie spojrzenie Charlotte.

Madeline odłożyła przekąskę.

– Przepraszam, nie powinnam snuć przypuszczeń co do jego motywacji. Nie mam prawa odgadywać jego intencji.

– W porządku. – Charlotte uśmiechnęła się blado. Miała łzy w oczach, głos jej drżał. – Po prostu uważam, że wszystko, co o nim mówisz, jest bardzo... prawdziwe. A teraz przepraszam na chwilę, zobaczę, co z kolacją.

Zerwała się z leżaka przy akompaniamencie dźwięczących bransoletek i szelestu sukni. Papierową serwetką dyskretnie otarła oczy, zanim zniknęła w domu.

Madeline niespokojnie spojrzała na Daphne.

– Niepotrzebnie się odzywałam.

– Nie przejmuj się – mruknęła Daphne. – Abe mówił, że cała rodzina bardzo martwiła się o Jacka po śmierci jego współnika. Obawiali się, że zagryza się, że go nie uratował. Wina ocalonego i tak dalej. Najwyraźniej rodzina zmarłego dawała mu do zrozumienia, że to jego wina. I wtedy rzuciła go narzeczona i na dodatek okazało się, że firma jest na krawędzi bankructwa. Jack stracił wszystko, co zainwestował. Do tego nagonka w mediach. Jeden wielki bałagan.

– A Jack czuł się za to wszystko odpowiedzialny.

– Zdaniem Abe’a – tak.

– Chronił kogoś – stwierdziła Madeline.

Daphne chciała odpowiedzieć, ale urwała, zamarła z rozchylonymi ustami i spojrzała gdzieś nad głową Madeline.

– Skąd wiesz, że kogoś chronił? – zapytała cicho Charlotte.

Madeline znieruchomiała, ale było za późno, żeby się wycofać.

– Bo Jack taki jest – odparła.

Charlotte odezwała się dopiero po dłuższej chwili ciszy.

– Tak, Jack taki właśnie jest – przyznała. – Nie każdy to widzi. Cieszę się, że ty tak, Madeline.

Rozdział 55

Wsiadam na popołudniowy prom – oznajmiła Patricia. – Dzisiaj zatrzymam się w hotelu w Seattle.

Starannie złożyła sukienkę znanego projektanta, którą kupiła specjalnie na kolację urodzinową teścia, i ułożyła w walizce. Właściwie niepotrzebnie ją zabierała. Nie założy jej już, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. Wybrała ją, bo to była idealna kreacja dla Żony Kandydata. Odpowiednio niebieska, odpowiednio skromna, droga, ale nie ostentacyjna. Z klasą, ale bez szpanu.

Żona Kandydata balansowała na cienkiej linii między dyskretną elegancją a prostackim kiczem. Musiała wydawać się zarazem samodzielna i przekonana, że jej mąż zdoła zmienić świat.

Przez cały zeszły rok uczyła się tej roli i wiedziała, że jest w niej świetna. Zaangażowała się w ten projekt, bo oczami wyobraźni widziała siebie jako żonę jednego z najpotężniejszych mężczyzn w całym kraju. A potem mogło być już tylko lepiej.

Ale kurtyna opadła w trakcie pierwszego aktu. Czas postawić grubą kreskę i poszukać nowej roli. Nie zawsze będzie taka piękna.

Nie, suknia Żony Kandydata już się jej nie przyda. Wyjęła ją z walizki i cisnęła do kosza na śmieci przy toaletce. Niebieski materiał uniósł się obłokiem nad koszem i opadł na podłogę.

Przynajmniej dzięki temu zrobiło się więcej miejsca w walizce. Podeszła do szafy, myśląc intensywnie o butach.

Travis obserwował ją od progu.

– Pokażesz się chociaż na pogrzebie mojego ojca?

– Nie sądzę, żeby to było potrzebne. Ani konieczne. – Podniosła czarne szpileczki i przyjrzała się im krytycznie. Buty Żony Kandydata. Wylądowały na sukni. – Domyślam się, że w zaistniałych okolicznościach będzie to skromna, rodzinna uroczystość. Nikt nawet nie zauważy mojej nieobecności.

– Media, owszem.

W głosie Travisa była nuta hysterii. Przez chwilę wydawało się nawet, że będzie za nią tęsknił. Ale to przecież Travis Webster. Na całym świecie liczył się dla niego tylko on sam i jego kariera.

Z drugiej strony, sprowokowany Webster bywa groźny. Ostatnio miała aż nadto okazji, by się o tym przekonać. Odwróciła się do niego i posłała mu smutny uśmiech.

– Oczywiście, jeśli uważasz, że to coś da, przyjadę na pogrzeb – skłamała. – Ale teraz chciałabym pobyć trochę sama. Muszę wszystko przemyśleć.

– Czyli poszukać prawnika od rozwodów.

– Nie, Travis. Nie odchodzę od ciebie, przysięgam. Jadę do domku nad jeziorem. W każdej chwili możesz do mnie dołączyć. Kiedy obecny kryzys będzie zażegnany, pomyślimy o przyszłości.

– Moja przyszłość jest pewna, do cholery. Najpóźniej za kilka tygodni opadnie medialny szum. Rozmawiałem dzisiaj z prawnikiem matki. Myśli o linii samoobrony. Prawdopodobnie uda mu się ją z tego wyciągnąć.

– Mówisz poważnie?

– Śmiertelnie poważnie. Przypominam, że wszystko wskazuje, że mniej więcej dwadzieścia lat temu mój ojciec zamordował dwie osoby. Kiedy Louisa rzuciła mu to w twarz, wpadł w szal i chciał ją udusić. Strzelała w samoobronie.

Patria przemyślała to. Uśmiechnęła się pod nosem.

– To się nawet może udać.

– Uda się – poprawił Travis.

– Widzisz, moim zdaniem nie uda się co innego: twoje kandydowanie, a w każdym razie nie w najbliższych wyborach. Ludzie potrzebują czasu, żeby zapomnieć.

– Więc przez rok dopilnuję, żeby w rodzinnej historii nie zostały już żadne kwiatki. Z czasem wszystko się ułoży.

Oszalałaś, jeśli tak myślisz, przemknęło jej przez głowę, ale nie powiedziała tego na głos. Teraz widziała jak na dłoni, że w rodzinie Websterów każdy jest zdolny do zabójstwa. Równie dobrze mogła wyjść za członka mafii. Teraz musi zadbać o siebie, uciec z wyspy, postarać się zniknąć.

Udawała, że cieszy ją szansa, że wyjdą cało z opresji.

– Jeśli ludzie od PR zdołają to wszystko przedstawić tak, żeby sugerowało, że źródłem wszystkich problemów był mój ojciec, może nam się nawet udać.

– No właśnie – mruknął.

Wszystko w nim nagle pojaśniało, jakby promieniało. I znowu był Kandydatem Idealnym. Charyzma to jednak niepojęta sprawa, a Travis dosłownie włączał i wyłączał wdzięk osobisty siłą woli. I może naprawdę uda mu się wrócić do polityki – oczywiście zakładając, że wcześniej nikt go nie zabije. W tej chwili jednak chciała przede wszystkim uciec z tej choleralnej wyspy.

– Wierzę ci – zapewniła. – Z czasem naprawdę wrócisz do gry. I dobrze, że względu na ten kraj. Potrzebni nam silni przywódcy. Ja jednak muszę teraz wyjechać. muszę uciec od stresu.

Zmrużył oczy.

– Dlaczego?

Przyływ geniuszu. Powoli położyła sobie dłoń na brzuchu.

– Bo wydaje mi się, że jestem w ciąży.

Travis przyglądał się ze zdumieniem.

– Jesteś pewna?

– Nie, ale to bardzo możliwe. Rozumiesz teraz, czemu chcę zejść z linii medialnego ognia? Nie chciałabym stracić naszego dziecka z powodu stresu.

– Dziecko byłoby idealne w odbudowie wizerunku – Travis myślał na głos.

– O tak. A fakt, że jestem w ciąży, tłumaczyłby moją nieobecność.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

– Chcesz jechać do domku nad jeziorem?

– To zawsze była bezpieczna przystań. Media o nim nie wiedzą.

– Dobry pomysł. – Travis już odwracał się na pięcie, ale nagle znieruchomiał. – Dołączę do ciebie, gdy tylko opanuję sytuację tutaj. Obojgu dobrze nam zrobi krótkie rozstanie.

– Fakt.

– Ktoś ci pomoże z bagażami.

– Dzięki.

Odczekała, póki nie wyszedł, i dopiero wtedy ponownie zabrała się do pakowania. Okłamała go. Nie była w ciąży. Zadbała, żeby nie być, przynajmniej póki Travis nie odniesie pierwszego zwycięstwa.

Nie po raz pierwszy go okłamała. Ale i on nie był z nią szczery.

Websterowie to bardzo niebezpieczna rodzina.

Musi uciec z wyspy.

Rozdział 56

Madeline czekała, aż nabrała pewności, że Daphne śpi w sąsiednim łóżku. Dopiero wtedy odrzuciła kołdrę i wstała.

- Dokąd się wybierasz? – wymamrotała Daphne.
- Przepraszam, nie chciałam cię budzić. Nie mogę zasnąć. Idę do saloniku, odpowiem na kilka maili.
- Pozdrów Jacka.
- Nie wybieram się na tajemną randkę z Jackiem.
- Dlaczego nie?
- Idź spać.
- Dobrze. Baw się świetnie.

Daphne odwróciła się na bok i naciągnęła kołdrę na głowę.

Przez rozsunięte zasłony do pokoju wpadał blask pustynnego księżyca. Madeline założyła szlafrok i kapcie i podeszła do małego biurka. Wzięła swojego laptopa i ruszyła do drzwi.

Umieszczono je z Daphne w apartamencie gościnnym – z osobną łazienką. Jack i Abe dostali pokój na drugim krańcu domu.

Nocne lampki prowadziły długim korytarzem do salonu. Usiadła na niskiej kanapie koloru rdzy, podwinęła nogę pod siebie, włączyła komputer. Pies Max przybiegł za nią i ułożył się na chodniku. Pochyliła się, by podrapać go za uszami.

A potem zaczęła szukać.

Szybko trafiła na interesujące ją informacje. Nic nowego, ale dzisiaj patrzyła na nie z innej perspektywy. Wiedziała o Jacku o wiele więcej niż kilka miesięcy temu, kiedy ostatnio sprawdzała go w sieci.

„Ciało Victora Ingrama, prezesa i dyrektora naczelnego firmy z San Jose w Kalifornii, wyłowiono wczoraj z morza w popularnym meksykańskim kurorcie turystycznym. Jak podały miejscowe władze, Ingram zginął w wypadku nurkowym. Wybrał się na podwodne łowy ze współlnikiem i partnerem, Jackiem Raynerem, ale mężczyźni rozdzielili się podczas nurkowania w podwodnej jaskini.

Ingram zostawił żonę i dwoje dzieci. Zaraz po jego śmierci pojawiły się plotki o poważnych kłopotach finansowych firmy, którą Ingram założył razem z Raynerem”.

Rozdział 57

Nocny krajobraz koił wzrok i duszę po mrocznym, klaustrofobicznym świecie Cooper Island.

Jack oparł jedną stopę o dolną belkę ogrodzenia oddzielającego skalny ogródek matki i zatracił się w nocy. Nagle nie był już tak bardzo spięty. Odkąd Madeline zadzwoniła z prośbą, żeby przyjechał na Cooper Island, działał w stanie podwyższonej gotowości. Dzisiaj jednak była bezpieczna w domu jego rodziców i mógł odpocząć, choć przez chwilę.

Usłyszał chrzęst żwiru pod stopami od strony ogrodu, ale nie ruszył się. Rozpoznał kroki ojca.

Garrett stanął obok niego. On także oparł stopę o dolną belkę ogrodzenia i wbił wzrok w światła domów rozsianych w dolinie.

– Zdawało mi się, że słyszałem, jak tu idziesz – zagaił Garrett. – Nadal martwisz się o klientki?

– Tu są bezpieczne.

– Fakt. Mamy świetne zabezpieczenia, a to dzięki cholernie drogiemu ekspertowi, którego zatrudniliśmy.

– Ten superdrogi ekspert może rzeczywiście czasami trochę przesadza, ale dzisiaj cieszy się, że wybraliście droższą wersję.

– Mamy też psa.

– Głośny szczekający pies jest lepszy od najnowocześniejszej technologii.

– I tańszy. – Garrett oparł się o ogrodzenie. – Więc co cię gryzie?

– Niedokończone sprawy. Większości dopilnuję w Internecie, kolega z FBI da mi znać, jak się sprawy mają. Ale muszę wiedzieć, gdyby jedno z Websterów zapadło się pod ziemię.

– Ci Websterowie to chyba naprawdę niezła rodzinka. Zamiast mleka ssali jad grzechotników z matczynej piersi.

– Mniej więcej.

– Ale z tego, co słyszę, nie za wielu ich zostało – zauważył Garrett. – Po kolei: jeden syn zginął w wybuchu łodzi, ojciec zastrzelony przez żonę, która teraz siedzi...

– Louisa Webster już wyszła za kaucją. Twierdzi, że to była samoobrona. Według Joego nadal jest na wyspie.

– I to cię martwi?

– Oczywiście. Przecież wiemy już, że nie ma oporów, żeby chwycić za broń i kogoś zabić.

– Czyli zostają jeszcze drugi syn i jego żona – mruknął Garrett.

– Joe napisał mi niedawno, że Patricia, żona Trávisa, złożyła oświadczenie na policji, że nie miała pojęcia, że teściowa zamierza zabić teścia. A potem spakowała się i zabrała się z wyspy popołudniowym promem.

– Zważywszy na to, co się dzieje, każda rozsądna kobieta na jej miejscu wzięłaby nogi za pas.

– Rzeczywiście, nic nie wskazuje, by Patricia Webster chciała dalej odgrywać żonę wiernie trwającą u boku męża.

– A więc zostaje Travis Webster. On nie daje ci spokoju?

– Cały czas nie wiem, co o nim myśleć – przyznał Jack. – I owszem, to mnie martwi.

Garrett zdziwił się.

– Sam powiedziałeś, że ma, co trzeba, żeby odnieść sukces w polityce.

– Owszem. Mówili o nim, że to kandydat idealny, ale teraz świat zawalił mu się na głowę. Trudno przewidzieć, jak ktoś zareaguje w takich okolicznościach.

– Ale twój kumpel z FBI ma go na oku, tak?

– Oczywiście. Joe jest bardzo zainteresowany Travisem, bo on i jego ludzie bardzo chcą się dowiedzieć, co się stało z milionami, które Egan Webster zdefraudował z kont swoich inwestorów w ostatnich latach. Zapewne czekają na zagranicznych kontach, ale niewykluczone, że Travis ich do nich doprowadzi. Zespół Joego odniósłby niemały sukces, odzyskując te fundusze.

– Myślisz, że Travis znał tajemnice ojca?

– Wiesz, co myślę? – odparł Jack. – Że Travis Webster jest twardszy, bystrzejszy i może nawet bardziej bezwzględny, niż sądził jego ojciec.

– Masz jakieś dowody na to, że kogoś zamordował, tak jak jego ojciec?

– Żadnych – przyznał Jack. – Ale wygląda na to, że całą reakcję łańcuchową zapoczątkowała decyzja Trávisa, żeby ubiegać się o miejsce w Senacie. Zaczęło się od zabójstwa Edith Chase.

– Jesteś pewien, że to było zabójstwo?

– Zważywszy na wszystko, co się stało, jej śmierć to o jeden zbieg okoliczności za wiele.

– Mówi się, że zbiegi okoliczności zdarzają się naprawdę.

– Tak słyszałem.

– Czyli twoim zdaniem Travis stanowi większe zagrożenie, niż się wszystkim wydaje.

– Tak.

Garrett odetchnął pełną pierśią.

– Zapewne Egan Webster nie jest jedynym, który nie docenił własnego syna.

Jack skinął głową, ale nic nie powiedział.

Noc otulała ich coraz cięższym całunem.

– Charlotte polubiła twoją Madeline – odezwał się Garrett w końcu. – I ja też.

Jack wbił wzrok w światła w dolinie.

– Ja też ją lubię. Bardzo. Ale to nie jest moja Madeline.

– Mówiłeś, że świat wali się Travisowi na głowę i dlatego jest nieprzewidywalny.

– No i?

– Tobie świat zawalił się na głowę dwa lata temu. Ale ty nie jesteś nieprzewidywalny jak Webster. Wiedzieliśmy, że z powrotem staniesz na nogi. Ale w międzyczasie sam komplikowałeś sobie życie niepotrzebnymi zasadami w nadziei, że dzięki nim niczego nie spieprzysz.

– Dwa lata temu byłem ślepy.

– To się zdarza każdemu – zauważył Garrett. – No dobra, może nie tak dramatycznie jak tobie, ale każdemu. A zasady cię przed tym nie uchronią.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Może czas je przemyśleć. Poluzować trochę, synu.

– W twoich ustach brzmi to bardzo łatwo.

– I tak jest. Sam sobie narzuciłeś te zasady dwa lata temu. I tylko ty możesz je złamać.

Garrett odwrócił się na pięcie i przez ogród ruszył z powrotem do domu.

A Jack znowu został sam z nocą.

Rozdział 58

Słyszała stłumiony odgłos otwieranych drzwi; ktoś wszedł do domu, i to po raz drugi w przeciągu kilku minut. Dwie osoby wyszły na pustynną noc i dwie wróciły. Jedna zniknęła w dalszej części domu. Druga zbliżała się korytarzem do saloniku. Poznała jego kroki. To Jack.

Przeszklona ściana wychodziła na ogródek skalny. Zapewne zobaczył poświęcę jej monitora, kiedy wracał.

Max poruszył się, przeciągnął i wstał.

Wyczuła obecność Jacka, gdy pies podreptał mu na spotkanie. Dreszczyk świadomości to zapewne tylko instynktowna reakcja ciała na poruszenie w mroku, a może na subtelną zmianę przepływu powietrza? I nagle zrozumiała, że już zawsze tak będzie. Zawsze będzie wiedziała, kiedy Jack jest w pobliżu. W ciągu ostatnich dni stała się bardzo wyczulona na jego bliskość.

– Pracujesz po nocy? – zapytał.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Obserwował ją z progu. Miał na sobie to co zawsze – ciemne spodnie, czarny T-shirt i kowbojki.

W pierwszej chwili chciała zamknąć otwartą stronę, ale zastygła z dłonią na klawiaturze.

– Nie – odparła. – Ciekawość wzięła górę.

Postawiła laptop na stole i odwróciła tak, żeby i Jack widział ekran. Miał doskonały wzrok, to fakt, ale chyba nawet on nie zdołał odczytać drobnych literek z tak dużej odległości.

Otoczył go znajomy lodowaty spokój. A potem powoli podszedł bliżej. Zatrzymał się kilka kroków od komputera.

– Twoja babka знаła fakty, kiedy mnie zatrudniała – powiedział cicho. – Ty także.

– Tak, ale dzisiaj zżerała mnie ciekawość.

– Dlaczego?

– Dlaczego wtedy nie powiedziałaś całej prawdy. – Wskazała artykuł na ekranie. – W tej jaskini coś się wydarzyło, ale nie sądzę, że to był wypadek.

Jack przyglądał jej się długo.

– Jak do tego doszłaś?

– Znam cię, Jack.

– Tak myślisz?

Poczuła, jak się czerwieni. To jego sprawa. Nie ma prawa domagać się odpowiedzi. Zaczepnęła głęboko tchu i wstała z kanapy. Odwróciła się twarzą do niego.

– Przepraszam – zaczęła. – Nie powinnam była w tym węszyć.

Wskazał jasną plamę ekranu.

– Wszyscy to wiedzą. W prasie branżowej bez przerwy o tym pisali.

– Wiem. Ale mimo wszystko mogłam poskromić ciekawość, a nie rozdrapywać stare rany. Nie mam do tego prawa.

– To nie ma znaczenia. Jak mówiłem, wszyscy mają dostęp do tych informacji.

– Może nie powinno mieć znaczenia, ale ma.

– Dlaczego?

– Oboje wiemy dlaczego – odparła. – Pozwoliłeś, by wydarzenia sprzed dwóch lat całkiem odmieniły twoje życie, twoją przyszłość. Nie musi tak być. A w każdym razie nie twoją przyszłość ze mną.

– Do czego właściwie zmierzasz?

Gniew zagłuszył poczucie winy.

– Zawsze powtarzasz, że najważniejsze, to dostrzec wzorzec. Cóż, ja go nie widzę w twojej historii.

Wszystko legło w gruzach bez wyraźnego powodu. Finanse firmy były w porządku, ale pozwalałeś, by wszyscy uwierzyli, że stoicie na skraju bankructwa. Zamknąłeś ją, zamiast dalej prowadzić samodzielnie. Przychodzi do głowy tylko jeden powód. Chcesz kogoś chronić.

Jack odetchnął chrapliwie.

– Myślisz, że już wszystko wiesz.

– Nie jest to aż takie trudne. – Rozłożyła ręce. – Spieprzyłeś coś, tak? Pomyliłeś się.

– To ja jestem profilerem, zapomniałaś już? – Mówił oschłym, napiętym głosem. – To ja mam niby dostrzec wzorzec. Ale w przypadku Ingrama byłem ślepy... i nie tylko w jego przypadku. Byłem idiotą.

– Rozumiem to. Ale nie wzięłeś na swoje barki winy za bankructwo firmy, która wcale nie zbankrutowała, tylko dlatego, że popełniłeś błąd. Kogo chciałeś chronić?

Długa cisza. Straciła już nadzieję. A potem wzruszył ramionami.

– Powtarzałem sobie, że chcę chronić żonę i dzieci Vicka. Wszyscy go kochali. Był ich bohaterem. Nie mogłem tego zniszczyć. Nic więcej im nie zostało.

Wstrzymała oddech.

– Skoro nie chodziło o pieniądze, to o co?

– Z Victorem byliśmy w FBI w tym samym zespole. Był świetnym informatykiem. Wydawało mu się, że jest z nas wszystkich najmądrzejszy i często naprawdę był. To on mnie namówił, byśmy odeszli z firmy i oferowali usługi z zakresu szeroko pojętego bezpieczeństwa młodym firmom produkującym najnowsze technologie. Miałem już dość profilingu. Chciałem mieć własną firmę.

– Miałeś dość profilowania potworów.

– Tak bardzo chciałem być wolny, że od razu zaakceptowałem jego pomysł. On był magikiem Internetu, ja widziałem wzorce i motywy. Powinniśmy stanowić świetny zespół. I na początku naprawdę tak było.

– A potem?

– Każdy ma swój słaby punkt. W przypadku Vicka była to kobieta. Była bardzo piękna, ale pracowała dla bardzo złych ludzi. Jakimś cudem przekonała Vicka, żeby dał jej kod dostępu do danych naszych klientów.

– Szpiegostwo przemysłowe?

– Tak. – Jack stanął przy oknie. – A ja, idiota, niczego nie zauważyłem, aż do tamtej wyprawy nurkowej w Meksyku.

– A z perspektywy czasu?

Jack obejrzał się za siebie. Uśmiechnął się ponuro.

– Z perspektywy czasu oczywiście widzę. Drobiazgi. Anomalie, które zbywał lekceważeniem. Pamiętaj, to on był geniuszem komputerowym, nie ja. Więc owszem, widziałem wzorzec i uparcie zamykałem oczy na to, co mi się ukazywało. Ale zadawałem coraz więcej pytań i Vick coraz bardziej panikował.

– I wtedy zaproponował wyprawę nurkową.

– Bardzo chciał nurkować w tej jaskini – wspominał Jack. – Była w niej lina, żeby nurek się nie

zgubił. Póki trzymasz się liny, wszystko powinno być dobrze. Dał mi znak, że mam płynąć pierwszy, z latarką. A potem wystrzelił do mnie z harpuna. Miałem szczęście. Trafił w butlę. I dzięki temu żyję.

Urwał.

Madeline podeszła tak, że była bardzo blisko niego. Położyła mu dłoń na ramieniu. Napięcie w nim zdradzało, że ponownie przeżywa tamte chwile. Milczała, ale nie cofała dłoni z jego barku. W tej chwili tylko tak mogła go pocieszyć.

Po pewnym czasie podjął przerwany wątek.

– Odwróciłem się w wodzie i wreszcie musiałem zmierzyć się z rzeczywistością. Vick chciał mnie zabić. Nie chciał natomiast spudłować. Nie miał planu B. Nigdy nie miał planu B.

– Bo był z was wszystkich najmądrzejszy.

– Spanikował, kiedy zrozumiał, co się stało. Upuścił harpun, chwycił nóż. Płynął w moją stronę. Opadłem niżej, chcąc wyminąć go dołem. Wyłączyłem latarkę, żeby utrudnić mu sprawę. Otoczyła nas... ciemność.

– Ingram nie miał latarki?

– Miał, na pasku, ale nie użył jej, bo chciał mieć obie ręce wolne, kiedy strzelał z harpuna, a kiedy spudłował, myślał o jednym: dopaść mnie nożem. Kiedy otoczyła go ciemność, spanikował, a pod wodą panika to najszybszy zabójca. Zrobił to, co większość nurków w ataku paniki. Chciał się wynurzyć.

– Ale mówiłeś, że lina prowadziła w dół jaskini.

Popatrzył na nią.

– Bo prowadziła. I dzięki niej wypłynąłem na powierzchnię. W tamtej chwili też nie myślałem zbyt logicznie. Serce waliło mi jak oszalałe, w zastraszającym tempie zużywałem tlen. Kiedy znalazłem się poza systemem jaskiń, w otwartym akwenu, zorientowałem się, że Vica za mną nie ma.

– Wróciłeś po niego.

– Nie mogłem tak po prostu go tam zostawić. Cały czas myślałem o jego żonie i dzieciach. Ciągłe wmawiałem sobie, że to tylko nieszczęśliwy wypadek. Kiedy go znalazłem, już nie żył. Miał jeszcze powietrze w butli, ale w ataku paniki wypluł ustnik i utopił się. To się zdarza częściej, niż się ludziom wydaje.

– Zataiłeś prawdę przed jego bliskimi, tak?

– Nie było sensu im o tym mówić. Wystarczająco straszne było to, że nie żył. Nie chciałem pogłębiać ich bólu. I nie miałem żadnego dowodu na to, co wydarzyło się w jaskini.

– A kobieta, z którą miał romans?

– Moja narzeczona? Cóż, to też nie wyszło najlepiej.

– Słucham? – Madeline wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. – Szpiegiem była twoja narzeczona?

– Tak, wiem. Wychodzi na to, że nie mam zbyt wiele oleju w głowie, co? Po powrocie do Kalifornii przeanalizowałem wszystko na spokojnie i poskładałem kawałki układanki. Odbyłem z Jenny bardzo krótką rozmowę. Wyjechała. Nie było sensu wciągać w to policji, bo szpiegostwo przemysłowe bardzo trudno udowodnić i mało która firma wnosi oskarżenie. Nikt nie chce jeszcze większego przecieku.

– Co z nią?

– Z tego, co ostatnio słyszałem, mieszka na Wschodnim Wybrzeżu. Jest żoną faceta, który ma forsy jak lodu.

Madeline głośno zaczerpnęła tchu.

– A zatem...

– A zatem co? Zdradzam ci mój wielki sekret, a ty masz mi tylko tyle do powiedzenia?

Przemyślała to.

– Nie. Mam ci do powiedzenia coś jeszcze: rozumiem, skąd twoja nieśmiałość w związkach.

– Nie jestem nieśmiały.

– Jesteś, tak samo jak ja. Oboje boimy się popełnić błąd. Ale tak sobie myślę, że skoro już znamy swoje tajemnice, nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy się pobrać.

Zeskoczyła z bardzo wysokiego urwiska i dobrze o tym wiedziała.

Jack milczał przez całe sześćdziesiąt sekund. Wiedziała dokładnie, bo w myślach liczyła ze wstrzymanym oddechem. Tysiąc jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy...

Zamknął jej twarz w wielkich, silnych dłoniach i głęboko zajął jej w oczy.

– Czy ty mi się przed chwilą oświadczyłaś? – zapytał.

Zmusiła się do oddechu.

– Tak. Odpowiesz mi?

– Tak.

Zamrugła szybko, zbita z tropu.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że tak.

Objął ją, przyciągnął do siebie, tulił mocno, jakby obawiał się, że mu się wyrwie.

– Kocham cię – wyszeptał z ustami w jej włosach. – Kocham cię od pierwszej chwili w twoim gabinecie, gdy chciałaś mnie wylać.

– Nie chciałam cię wylać – mruknęła w poły jego koszulki. – Sugerowałam jedynie, że być może branża hotelowa to dla ciebie nieodpowiednie miejsce i może powinieneś poszukać innej drogi rozwoju zawodowego.

– Chciałaś mnie wylać. Ale w zaistniałych okolicznościach jestem gotów przymknąć na to oko.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

Pocałował ją z determinacją człowieka, który przed chwilą uwolnił się z więzów. Wiedziała to, bo ona także dopiero co wyszła z niewidzialnego więzienia.

Rozdział 59

Becky Alvarez zapukała do uchylonych drzwi gabinetu Jacka.

– Co jest? – zapytał. Nie odrywał wzroku od komputera.

– Mam coś o tym pożarze, w którym zginęła Edith Chase.

Jack przestał czytać w połowie zdania i energicznie odwrócił się razem z krzesłem.

– Mów.

Becky weszła do gabinetu, stanęła przy biurku i otworzyła notes.

– W końcu udało mi się dotrzeć do pokojówki, która sprzątała apartament Edith Chase – zaczęła. – Przypomniała sobie, że tamtego dnia widziała na piętrze nieznanego, mężczyznę w liberii hotelowej. Nie rozpoznała go, więc zaczęła z nim rozmawiać, rutynowe zagranie przy sprawdzaniu zasad bezpieczeństwa.

– No i?

– Twierdził, że jest nowy i że kazano mu sprawdzić klimatyzację w apartamencie. Oddalił się po chwili rozmowy. Ale poszedł schodami, a nie windą, co ją zdziwiło, bo na parter miał kawał drogi.

– Czy pokojówka poinformowała o tym zajściu menedżera?

– Tak. I tu sprawy się komplikują. Zwierzchniczka sprzątaczek zgłosiła to w dziale napraw. Nikt nigdzie nie mógł znaleźć ani zlecenia w sprawie apartamentu, ani śladów zatrudnienia nowego pracownika. Na wszelki wypadek ktoś z ochrony obszedł całe piętro i nie zauważył niczego podejrzanego. Przejrzeli też nagrania z kamery przemysłowej, ale mężczyzna miał na głowie czapkę z daszkiem, więc nie widać było jego twarzy. Jedyne, co udało mi się uzyskać, to jego rysopis: ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, atletycznej budowy.

– Pasuje do wszystkich trzech Websterów.

– Pokojówka jest prawie pewna, że miał koło trzydziestki. Jeśli to Webster, to albo Xavier, albo Travis.

– Poszedł do apartamentu, żeby majstrować przy instalacji elektrycznej, a wieczorem spowodował wybuch i pożar. Musiał być tam osobiście, żeby mieć pewność, że Edith Chase nie ujdzie z pożaru z życiem. Prawdopodobnie zabił ją jeszcze w apartamencie, licząc, że pożar zatrze ślady, a gdy już wiedział, że nie żyje, wyszedł z hotelu z resztą gości i zginął w tłumie w zamieszaniu po pożarze.

– To wiele tłumaczy – przyznała Becky.

– Prześlij mi nagranie.

– Wiedziałaś, że o to poprosisz. Chyba już je masz w poczcie. – Becky szła do drzwi. – Aha, dzwoniła twoja mama, żeby ci przypomnieć, że dzisiaj robisz kolację. Faszerowana papryka.

Jack ponownie pochylił się nad klawiaturą.

– Dziękuję.

– Wychodzę. – Becky spojrzała na zegarek. – Chyba że masz dla mnie coś jeszcze?

– Nie, idź już.

- Nie zapomnij włączyć alarmu po drodze.
- Becky, pracuję w tej branży. Wiem, co robić.
- Tak tylko pomyślałam, że ci o tym przypomnę. Ostatnio masz sporo na głowie.
- Bo dużo się dzieje.
- Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale to zauważyłam. Do jutra.

Jack podniósł głowę.

- Świetna robota z pokojówką.
- Pamiętaj o tym, kiedy poproszę o podwyżkę.

Wyszła, a po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Nagranie to ciekawy wątek, ale Becky miała rację. Nie wiadomo, czy mężczyzna w liberii to Travis czy Xavier. Ale tylko jeden z nich miał motyw.

Travis.

Jack wstał, zdjął z wieszaka pogniecioną sportową marynarkę i podszedł do drzwi. Zgasił światło. W małej firmie liczy się każdy cent.

Przy drzwiach wejściowych zatrzymał się. Założył marynarkę, włączył system alarmowy. W myślach przypominał sobie, czego potrzebuje do chilles relenos, faszerowanej papryki. Papryka, ser, jaja. I jeszcze sos: pomidory, cebula, papryczki serrano, limonka...

Lubił gotować dla Madeline, ale dzisiaj cieszył się na to szczególnie, bo będzie gotował dla kobiety, która wkrótce zostanie jego żoną. Przyszłość od dawna nie wyglądała tak pięknie.

Szedł w stronę wind w głównym holu. Agent ubezpieczeniowy i terapeuta rodzinny, którzy dzielili z nim piętro, już poszli. Pozostałe dwa biura były puste – ofiary ostatniej recesji.

W holu stał wózek sprzątaczkowy. Mopy, szczotki, ścierki, butelki środków do czyszczenia wystawały z niego jak dziwaczna roślinność. Ale sprzątaczkowy nigdzie nie było widać.

Jack był jeszcze spory kawałek od wind, gdy otworzyły się drzwi na schody przeciwpożarowe.

- Nie ruszaj się – powiedział spokojnie Travis.

Jack zatrzymał się.

- Odwróć się – polecił Travis. – Powoli. Rozepnij marynarkę. Chcę zobaczyć, czy jesteś uzbrojony.

Jack odwrócił się. Travis miał na sobie zielony uniform sprzątacza.

Jack odchylił połę sportowej marynarki.

– Nieuzbrojony? – Travis zdziwił się. – Jak to? Na wyspie miałeś broń. Ale w domu, w Arizonie, gdzie każdy może paradować ze spluwą, ty dajesz sobie spokój? Tyle, jeśli chodzi o wielkiego eksperta od ochrony.

- Jestem raczej analitykiem.

- Co to niby ma znaczyć?

– Analizuję takich jak ty. Staram się przewidzieć ich kolejny krok. I muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś.

- Coś takiego.

– Gdybyś był choć w połowie tak bystry, za jakiego wszyscy cię mają, wyjechałbyś do tej pory z kraju i wybrał się na tę wyspę, na której ukryłeś pieniądze, podkradane z funduszu hedgingowego tatusia – odparł Jack.

- Wiesz o tym? Zresztą to już nieważne. Tam federalni nic mi nie zrobią.

- Ojciec wiedział, że go okradasz?

– Nie. Myślał, że stary program zaczął nawalać. Ale trzy lata temu podkręciłem go troszeczkę. Wiedziałem, że w polityce muszę mieć duże zasoby.

- Dlaczego po prostu nie poprosiłeś Egana, żeby ci to sfinansował?

– Egan Webster dawał, ale i odbierał. Kochany tatulek traktował pieniądze jako formę władzy. Nie chciałem, by miał mnie w ręku. – Travis wskazał drzwi do Rayner Security. – Wchodzimy tam.

– Po co?

– Zamknij się i rób, co ci każe.

Jack wystukał kod i uchylił drzwi. Travis wszedł do malutkiego holu. Zamknął za sobą drzwi. Rozejrzał się dokoła z pogardą w oczach.

– Ty naprawdę jesteś cieniem. Jakim cudem udało ci się zdobyć zlecenie od Sanctuary Creek Inns?

– Pewnie byłem bardzo przekonujący. Tak z ciekawości: czy to będzie kolejny tajemniczy wybuch i pożar, jak w przypadku Edith Chase? Jak wtedy, gdy chciałeś zabić mnie i Madeline w Aurora Point?

– Brawo, więc już wiesz. Jestem pod wrażeniem. W odpowiedzi na twoje pytanie, nie było czasu, żeby zaaranżować podpalenie. Zresztą teraz to i tak bez sensu, bo nie ma już Xaviera.

– Bo w dwóch poprzednich razach chodziło o to, żeby podejrzenia padły na niego, na wypadek gdyby doszło do szczegółowego dochodzenia.

– Taki był plan. Cholera. Jakim cudem przeżyliście wybuch w szopie? Podobno powiedzieliście gliniarzom, że ukryliście się w kanale.

Jack puścił to pytanie mimo uszu.

– Co czułeś, wysyłając Xaviera na śmierć? Dziwnie chyba aranżować śmierć własnego brata.

– Chcesz wiedzieć, co czułem? Ulgę. Złoty chłopak był chodzącą bombą zegarową.

– Bombą zegarową, którą podrzuciłeś pod nasz dom, żebyśmy i my zginęli w wybuchu.

– Xavier był jak staroświecki zegar: chcesz, żeby wybił godzinę? Nakręć go. Tamtego dnia nakręciłem go na was. Pomyślałem sobie, że jeśli to schrzani, co zresztą zrobił, przynajmniej pozbędę się jego.

– Jak go do tego sprowokowałeś?

– Tego wieczoru zaprosiłem go na piwo i wmówiłem, że szanowni rodzice chcą go znowu wsadzić do instytutu. I że to wszystko twoja wina. A potem podsunąłem mu pomysł, żeby was spalił. Zapewniłem, że kiedy już się na was zemści, będę czekał z łodzią, żeby uciekł z wyspy, zanim Egan i Louisa zdadzą sobie sprawę, że go nie ma.

– Ale nie nasłałeś go na Edith Chase, prawda? I nie on zorganizował wybuch w szopie. To byłeś ty.

– Oczywiście. Nie mogłem do tego stopnia na nim polegać, był zbyt nieobliczalny. Musiałem mieć pewność, że stara nie żyje, podobnie jak ty i Madeline. A teraz to wszystko szlag trafił. Przez ciebie. – Travis uniósł pistolet. – Wcześniej czy później ktoś znajdzie tu twoje zwłoki i dojdzie do wniosku, że natknąłeś się na włamywacza.

– A ty tymczasem dotrzesz do wyspy i pieniędzy.

– Nie tak to zaplanowałem, ale na razie to musi mi wystarczyć. Pieniądze zmieniają wszystko, rozumiesz. A na Luna Verde czeka na mnie ich całe mnóstwo.

– Cóż, to nie do końca prawda.

– O czym ty mówisz, do cholery?

– W Rayner Risk Management bardzo się szcycimy znajomością nowoczesnych technologii. Nie twierdzę, że jestem geniuszem komputerowym, ale mój brat, owszem. O czwartej nad ranem ściągnął z konta na Luna Verde całą kasę, zostawił ci dziesięć dolarów. Tylko dlatego, że nie chciał zamykać tego rachunku.

– Kłamiesz, sukinsynu.

– Sam sprawdź.

– Nie wierzę ci.

Travis sięgnął do kieszeni uniformu i wyjął tablet. Postawił go na blacie recepcji. Pistolet drżał mu w dłoni, gdy wystukiwał ciąg cyfr.

– Wszedł – powiedział Jack.

Travis podniósł głowę, wyraźnie zbity z tropu.

– Co...?

W pokoju zapanował chaos, przez drzwi wejściowe wpadli agenci w ciemnych kurtkach z żółtymi literami FBI.

W następnej chwili Travis leżał na ziemi, twarzą do podłogi. Jeden z agentów przejął tablet, ktoś inny zabrał mu broń.

Joe rozejrzał się wokół ze swoim upiornym uśmiechem.

– Masz wszystko? – upewnił się.

– Każde słowo. – Jack zdjął marynarkę, sięgnął za koszulę i wyjął mały cyfrowy dyktafon. Wręczył go Joemu. – Jest twój.

Travis podniósł głowę. Patrzył to na dyktafon, to na Jacka.

– Wszyscy mówili, że jesteś cieniem.

– Jestem – odparł Jack. – Ale mam aspiracje.

Rozdział 60

Daphne stała przy oknie w gabinecie Madeline i podziwiała panoramę Sanctuary Creek.

– A więc to tu spędziłaś minione osiemnaście lat – powiedziała.

Madeline stanęła obok niej.

– Sanctuary Creek było naszym domem, odkąd wyjechałyśmy z babcią z Cooper Island.

Jest w niej dziwne napięcie, stwierdziła Daphne. Jakby Madeline szykowałą się do wielkiego kroku, ale obawiała się, do czego może doprowadzić.

– Zawsze wiedziałam, że będziesz miała własną firmę – rzuciła.

– Czy to kolejny komentarz o tym, jak zawsze od razu zmierzam prosto do celu?

– Nie. To komentarz o tym, że właśnie tutaj, w zarządzie Sanctuary Creek Inns, jest twoje miejsce.

Urodziłaś się do tej roboty, Maddie.

– Cóż, na pewno tu dorastałam. – Madeline urwała. – A ty? Denver to twój dom, czy bierzesz pod uwagę przeprowadzkę w związku z pracą?

– Co masz na myśli?

– Pytam, jak bardzo jesteś związana z Denver.

– Nic tam na mnie nie czeka, poza grupą klientów. A co?

Madeline podeszła do biurka.

– Sanctuary Creek Inns czeka seria remontów. Wszystkie nasze hotele trzeba nieco zmodernizować, odświeżyć ich wizerunek. Jednocześnie każdy musi zachować specyficzny charakter. Zależy nam na tym, by z jednej strony budować przywiązanie klienta do marki, a z drugiej podkreślać oryginalność każdego ośrodka.

– Rozumiem. Do czego zmierzasz?

– Nad każdym obiektem będzie pracował zespół dekoratorów i architektów wnętrz, ale potrzebny mi ktoś, kto będzie nad tym wszystkim czuwał. Projekt zakłada pięć lat, a kiedy dobiegnie końca, trzeba będzie zacząć od początku, remonty hoteli to niekończąca się historia.

Daphne poczuła przypływ adrenaliny. Nagle zakręciło jej się w głowie.

– Zapraszasz mnie na rozmowę o pracę na stanowisko głównej projektantki?

– Nie, proponuję ci pracę. Byłabym zachwycona, gdybyś się tego podjęła, ale zrozumieć, jeśli nie chcesz projektować dla sieci hoteli. Wiem, że to nie to samo co praca przy prywatnych wnętrzach czy biurach. W Sanctuary Creek Inns staramy się spełnić...

– Biorę to – Daphne jej przerwała.

Madeline zamrugnęła.

– Tak po prostu?

– Nic mnie nie trzyma w Denver.

– Chyba muszę się położyć. Najpierw Jack zgadza się za mnie wyjść, a teraz ty chcesz przeprowadzić się do Sanctuary Creek i ze mną pracować. Życie jest piękne.

– Owszem.

– Coś mi mówi, że nie tylko mnie ucieszy fakt, że tu zamieszkas. Abe Rayner także będzie bardzo szczęśliwy.

– Tak, też tak pomyślałam, kiedy rzucił, że rozważa przeprowadzkę do Denver.

– Ciekawe, dlaczego mnie to wcale nie dziwi?

– Ale, jak się okazuje, wszystko, na czym mi zależy, jest tutaj, w Sanctuary Creek – zakończyła Daphne. – Abe nie musi się przeprowadzać.

– Tu jest twój dom – zauważyła Madeline.

– Od dawna go szukałam.

Rozdział 61

Upiorne ruiny opuszczonego hotelu majaczyły w gęstej mgle.

– Jak scena z horroru – zauważyła Daphne.

– Koszmar w Aurora Point – zgodziła się Madeline. Patrzyła na budynek przez okno wynajętego samochodu. – Bardzo chcę się pozbyć tego miejsca. Oby udało mi się znaleźć kupca.

Kiedy oznajmiła, że wraca na Cooper Island, żeby uprzątnąć domek Toma Lomaxa i wystawić Aurora Point na sprzedaż, Daphne nalegała, że będzie jej towarzyszyć. Jack także. Sama tam nie wrócisz, orzekł. Abe został w Sanctuary Creek, żeby zająć się sprawami służbowymi.

We trójkę niedawno przybyli na wyspę. Jack chciał przy okazji jeszcze raz porozmawiać z szefem policji i powiedzieć mu dokładnie, jak skończyła się cała sprawa. Gliniarze lubią wiedzieć wszystko do końca. Dunbar ma prawo poznać więcej szczegółów. W branży warto utrzymywać dobre stosunki z miejscowymi policjantami. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz liczyć na jego przysługę.

Podrzuciły go na posterunek policji, a same pojechały do hotelu Aurora Point.

Daphne odpięła pas bezpieczeństwa i uchyliła drzwi.

– Kupiec się znajdzie. Obiektywnie rzecz biorąc, to atrakcyjna nieruchomość. Dobry szkielet, jak mawiamy w mojej branży.

– Fakt. – Madeline wysiadła zza kierownicy. – Właśnie dlatego dziadkowie go kupili. Może zainteresuje się firma organizująca wyjazdy integracyjne. Po powrocie do Sanctuary Creek zadzwonię do kilku osób.

Daphne uśmiechnęła się nad maską suwa.

– Fajnie, że znowu myślisz jak kobieta biznesu.

– Fajnie, że znowu mam u boku siostrę od serca – odparła Madeline.

Otworzyła tylne drzwiczki i wyjęła dwie walizki. Daphne wzięła jedną z nich. Razem szły w kierunku domku, w którym Tom spędził wiele lat. Mgła była tak gęsta, że zobaczyły go dopiero, gdy dzieliło je od budynku zaledwie kilka metrów.

Daphne weszła do środka w ślad za Madeline i zatrzymała się w pół kroku na widok wszechobecnego chaosu.

– Mamy plan?

– Owszem. Wyrzucimy większość tych śmieci. Niech się tym zajmie kupiec, kimkolwiek będzie. To samo z meblami w hotelu.

– Część mebli w foyer to antyki.

– Wiem, ale ich nie chcę. Ty?

Daphne wzdrygnęła się.

– Nie.

– Dzisiaj chciałam się tylko rozejrzeć w poszukiwaniu czegoś, co zdradzałoby, czy Tom miał jakichś krewnych. Skoro uwierzył w istnienie wnuczki, może jest ktoś jeszcze, ktoś, kto przejmie się informacją o

jego śmierci. – Madeline urwała. – Chciałabym także zachować kilka fotografii, tych które oprawił i powiesił.

Daphne zawahała się.

– Więc może ja też. Tych, na których jesteście.

– No właśnie. Zaczynaj od sypialni. Poprzednio nawet tam nie dotarliśmy.

Madeline weszła do kuchni i systematycznie otwierała kolejne szuflady.

Było to przygnębiające zajęcie. Każdy ma w domu szufladę z niepotrzebnymi drobiazgami, ale w przypadku Toma były to archeologiczne wykopaliska zawierające relikty minionych czasów. Przeglądała pożółkłe wycinki z gazet, chyba całkowicie przypadkowo dobrane pod względem tematyki. Wyblakłe fotografie wypełniały pozostałe szuflady. Większość przedstawiała ulubione obiekty artystycznych zainteresowań Toma – krajobrazy, zachody słońca i ruiny hotelu Aurora Point.

Już miała przejść do saloniku, gdy jej uwagę przykuł wycinek przymocowany do ściany. Na zdjęciu była Patricia, żona Trávisa, z piknikowym koszykiem wypełnionym chlebem kukurydzianym.

„Patricia Webster zdradza rodzinny przepis na chleb kukurydziany na miejskim pikniku.

...W odpowiedzi na liczne pytania pani Webster tłumaczyła, że chodzi o stary rodzinny przepis z tajemnym składnikiem – kwaśną śmietaną”.

Słowa „kwaśna śmietana” podkreślono czerwonym flamastrem.

Tom w kuchni ograniczał się do fasoli z ryżem z puszki. Czemu, na litość boską, wyciął z gazety przepis Patricii Webster? I czemu podkreślił akurat te słowa?

Wyjęła wycinek z pliku innych kartek, chcąc pokazać go Daphne, i wtedy na podłogę spadła fotografia, do tej pory ukryta za artykułem.

W pierwszej chwili wpatrywała się w nią tępym wzrokiem. Przedstawiała uśmiechniętą Ramonę z talerzem chleba kukurydzianego.

Madeline odwróciła fotografię, szukając daty. Zamiast tego zobaczyła słowa skreślone piśmem Toma: „Przepis rodzinny – kwaśna śmietana. Słoneczne Siostry”.

Madeline znieruchomiała. Z wycinkiem i fotografią w dłoni weszła do saloniku.

– Daphne, musisz to zobaczyć – zaczęła.

Zatrzymała się pośrodku pokoju i uważnie przyglądała oprawionym dziełom na ścianach. Słoneczne Siostry zajmowały honorowe miejsce. Fotografia przedstawiała bryłę hotelu na tle miedzianożółcistego zachodu słońca. Budynek zalewały jasne promienie. Ona i Daphne stały na skraju urwiska, wpatrzony w wodę. Dziewczynki ciekawie wypatrujące przyszłości.

Przypomniały jej się ostatnie słowa Toma: „Zawsze ci się podobały moje zachody słońca”.

Przeszła przez pokój, zdjęła fotografię ze ściany. Na odwrocie dostrzegła przyklejoną kopertę. Poczowała zarazem ekscytację i przerażenie.

– Daphne? Chyba znalazłam coś ważnego.

Rozerwała kopertę, wysypała jej zawartość na biurko. Zdjęcia. Na pierwszym mężczyzna wysiadający z drogiego wozu terenowego, stojącego przed podmiejskim kompleksem mieszkaniowym. Choć twarz mężczyzny zasłaniały okulary przeciwsłoneczne i czapka z daszkiem, samochód przypominał ten, którym jeździł Travis. Fotografowi udało się uchwycić w kadrze tablicę rejestracyjną – bez trudu da się ustalić, czy to wóz Webstera.

Na drugim, zrobionym pod innym kątem, kobieta wychodząca z kompleksu. Ona także miała na nosie ciemne okulary. Kaptur modnej kurtki zasłaniał częściowo jej rysy, ale zdradzała ją szczupła figura i długie nogi. Ramona.

W pewnym momencie w Tomie obudziły się wątpliwości, domyślała się Madeline. Świadomość, że

jednak nie ma żadnej cudem odnalezionej wnuczki, pewnie łamała mu serce. Zrozumiał, że go oszukano. I dlatego zadzwonił i nalegał, że muszą porozmawiać osobiście.

Trzecie zdjęcie. Przeszył ją dreszcz. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, chcąc wszystko dobrze zrozumieć, a potem odłożyła je i wyjęła z torebki telefon. Zadzwoniła do Jacka, jednocześnie wołając głośno:

– Daphne? Chodź tutaj! Musisz zobaczyć, co znalazłam...

Daphne weszła do saloniku. Nie była sama, towarzyszyła jej Patricia Webster. Z pistoletem wymierzonym w głowę Daphne.

– Przykro mi, Maddie – szepnęła przyjaciółka.

Patricia wskazała drugą ręką jej telefon i bezgłośnie powiedziała: skończ to. Żeby podkreślić wagę tych słów, docisnęła lufę do skroni Daphne.

– Co? – rzucił Jack po swojemu.

– Przepraszam – szepnęła Madeline do słuchawki. – Zadzwoniłam do ciebie niechcący, Jack.

– Jak tam porządkowanie zdjęć?

– Nieźle. I wiesz co, mam dla ciebie nowy przepis.

– Jaki przepis?

– Ten z kuchni. Pamiętasz. Mówiłeś, że chcesz go wypróbować.

– O ile sobie przypomniałem, powiedziałem, że nigdy w życiu nie upiekę chleba kukurydzianego z kwaśną śmietaną.

– A ja myślę, że spróbuję. Muszę kończyć. Mam tu jeszcze mnóstwo roboty.

Rozłączyła się.

– Dobrze. – Głos Patricii drżał z emocji. – Rób, co ci każe, a zaraz będzie po wszystkim.

– Wiesz – zagaiła Madeline – trochę mnie dziwi twój widok. Na twoim miejscu starałabym się znaleźć jak najdalej od Cooper Island.

– Czekałam tu na ciebie, Madeline. Widzisz, wiedziałam, że się zjawisz. Wcześniej czy później musiałas zdecydować co z hotelem. Byłam pewna, że wrócisz, żeby wszystkiego dopilnować. Nie przewidziałam natomiast, że sprowadzisz też przyjaciółkę.

– Jasne. – Madeline skinęła głową. – Doszłaś do wniosku, że to przeze mnie twój wspaniały plan runął w gruzy. Chcesz zemsty. Powiedz, jak długo szykowałyście ten numer z Ramoną Lomax, czy jak tam się naprawdę nazywała.

– Dwa lata, do cholery. I to nie był numer. To było moje największe marzenie, wszystko, czego pragnęłam od życia. To miało być moje nowe życie. Wystarczyłoby uwieść Tralisa Webstera, jeśli chodzi o kobiety, jest taki sam jak jego ojciec. Ugania się za każdą spódniczką.

– Ale chciałaś czegoś więcej niż szybkiego numerka. Chciałaś za niego wyjść.

– Miał wszystko, co potrzeba, żeby daleko zajść: urodę, charyzmę, pieniądze. Wszystko. Ale początkowo go to nie interesowało. Kiedy go poznałam, chciał jedynie zgarnąć z funduszu hedgingowego ojca jak najwięcej pieniędzy, zanim piramida finansowa zawali się z hukiem. To dzięki mnie zaczął mieć ambicje.

– Omamiłaś go wizją prawdziwej władzy, takiej, jaką daje wysokie stanowisko, a on połknął haczyk.

– Wcale nie tak trudno przekonać faceta, że może wspiąć się na szczyt – zauważyła Patricia. – Bo wiesz, facet zawsze chce ci uwierzyć. Z Ramoną nieraz udało nam się naciągnąć facetów z finansjery. Ale Travis Webster był naszą szansą na nowe życie. Miał wszystko, by przebić się w polityce, a właśnie tam jest prawdziwa władza.

– Wmówiłaś mu, że bez ciebie nie dojdzie na szczyt – domyśliła się Madeline. – Przekonałaś, żeby się z tobą ożenił. Kiedy się zorientowałaś, że w historii jego rodziny tkwią mroczne sekrety?

Twarz Patricii wykrzywił gniew.

– Dopiero po ślubie napomknął coś tym, że z początkami firmy ojca coś jest nie tak. A potem wyznał, iż obawia się, że Egan skrywa w szafie prawdziwe trupy. Dowiedział się o nich, gdy sam buszował w jego przeszłości.

Daphne się poruszyła.

– Wiedziałaś, że gdy Travis stanie się poważnym kandydatem, media dobiorą mu się do skóry.

– Byliśmy pewni, że śmierć Carla Seaversa i Sharon Richards nam nie zaszkodzi. Nie było żadnych dowodów, że Webster senior miał z tym cokolwiek wspólnego. Travisa niepokoił raczej walnięty braciszek i finansowe machlojki tatusia. To właśnie Travis pierwszy zasugerował, że trzeba raz na zawsze zrobić coś z Xavierem.

– Kiedy przyszło ci do głowy, że zabójstwa Seaversa i Richards mogą jednak narobić wam kłopotów?

– zainteresowała się Madeline.

– Travis zwierzył się matce, że chce kandydować do Senatu. Była zachwycona. Ale kiedy napomknął, że martwią go zbrodnie ojca z przeszłości, bo pokrywają się w czasie z założeniem jego funduszu, bardzo się zdenerwowała. W końcu pękła, wyznała mu, że zatrudniła prywatnego detektywa, żeby śledził Egana i ustalił, z kim ten ją zdradza. Detektyw zniknął. A potem Egan oznajmił, że ktoś go szantażuje, rzekomo w sprawie szpiegostwa przemysłowego. Louisa była przerażona. Podejrzewała, że to zatrudniony przez nią detektyw, ale nie mogła przecież powiedzieć tego Eganowi. Więc milczała.

– A potem szantażysta nie zjawił się po pieniądze.

– Louisa powiedziała Travisowi, że nie miała pojęcia, co o tym myśleć, więc trzymała buzię na kłódkę. Za to Travis się martwił. Postanowiliśmy więc dowiedzieć się, co się wtedy właściwie wydarzyło. Ramona nam pomagała. Ufałam jej.

– Bo już przedtem razem pracowałyście.

– Tak. W końcu trafiła do siostry Purvisa, narkomanki, która od lat żyła od działki do działki. Ramona podsunęła jej darmowe narkotyki i ta opowiedziała, jak to jej brat pożyczył od niej samochód i wyruszył na wysepkę gdzieś na północnym zachodzie. Wspominał, że to naprawdę duża sprawa, interes, dzięki któremu się wzbogaci. Obiecał, że jej coś odpali.

– I nie odezwał się więcej.

– Jak to narkomanka, nie marnowała gotówki na poszukiwania brata – wyjaśniła Patricia. – Ale po jego zniknięciu dozorca zlikwidował jego biuro, spakował wszystkie papiery i dał najbliższej krewnej, siostrze. Wsadziła je do szafy i zapomniała o nich. Ramona wyděbiła je od niej obietnicą kolejnej działki.

– A potem dała jej tyle narkotyków, że siostra Purvisa zmarła z przedawkowania – dopowiedziała Daphne.

Patricia wzruszyła ramionami.

– Dała jej po prostu bardzo czysty towar. Narkomani co chwila przesadzają z działką.

– Co było w pudle? – zapytała Madeline.

– Wyciąg z karty kredytowej i dowody transakcji na stacji benzynowej daleko na północy. Ostatni raz tankował niedaleko promu na Cooper Island.

– I wtedy doszłście do wniosku, że jednak dotarł aż tutaj – stwierdziła Madeline.

– Travis był już wtedy pewien, że detektyw miał coś, co łączyło jego ojca ze śmiercią Seaversa i tej kobiety. I zakładał, że skoro Egan go nie zabił, a Louisa twierdziła, że nie, zostawało tylko jedno miejsce, gdzie mógł się zatrzymać.

– Hotel Aurora Point – powiedziała Daphne. – Tutaj wszystko się skończyło.

– Nadal nie mieliśmy pojęcia, co się stało, ale fakt, że twoja babka zamknęła ośrodek niecały tydzień

po wizycie Purvisa, dowodził, że to wszystko się jakoś łączy. Travis obawiał się, że Edith jakimś cudem przejęła materiały szantażysty. Doszedł do wniosku, że jeśli ktoś zna prawdę, będzie to stary Tom Lomax.

– Ramona podała się za jego wnuczkę.

– Tak.

– Ale skoro była taka pomocna, czemu Travis ją zabił?

– Nie on – odparła Patricia.

– O rany – szepnęła Madeline. – To byłaś ty.

Na twarzy Patricii wystąpiły czerwone plamy. Dłoń z pistoletem zadrżała.

– Umówiłam się z nią tamtej nocy za restauracją. Spodziewała się Trávisa, obiecał jej kilkaset tysięcy dolarów za to, co do tej pory zrobiła. Bo widzicie, chciała się wycofać, wyjechać z kraju. Bała się. Zażądała swojej doli.

– Kim była? – zapytała Madeline. – Dlaczego sądziłaś, że możesz na niej polegać?

– Moją siostrą! – wrzasnęła Patricia.

Atmosfera zagęszczała się.

– Zastrześliłaś własną siostrę? – zapytała Daphne.

– Sypiała z nim – wycedziła Patricia. – Dowiedziałam się, że mają romans za moimi plecami. Zdradziła mnie. Rodzona siostra zdradzała mnie z moim mężem.

– Czemu wróciłaś? – dopytywała Daphne z zadziwiającym spokojem, jakby zapomniała o lufie przy skroni. – Maddie ma rację. Powinnaś być już daleko stąd.

– Nie – odparła Madeline. – Nie, póki nie znajdzie zdjęć. Tak, Patricio? Nie przyszłaś tu tylko po to, żeby mnie zamordować. Przyszłaś, bo wiedziałaś od Ramony, że Tom Lomax zorientował się, że coś knujecie.

– Mówiła, że ma zdjęcia. – Patricia rozpaczliwie rozglądała się po zagraconym pokoju. – Szukałam, ale to beznadziejne w domu zbieracza. Więc dzisiaj znowu wybuchnie tu pożar, a gdy ugaszą ogień, znajdą zwłoki was dwóch. Spięcie instalacji elektrycznej. Częsta sprawa w starych domach. Wiem od Trávisa. Znał się na tym.

– To te zdjęcia? – zapytała Madeline.

Wyciągnęła rękę z kompromitującymi fotografiami. Patricia wyrwała jedno, spojrzała pobieżnie, na chwilę opuszczając wzrok. Ale dłoń z bronią ani drgnęła. Szybko podniosła głowę.

– To Travis przed mieszkaniem Ramony w Seattle – wyjaśniła. – Tam się spotykali. Tam się pieprzyli. Pokaż resztę.

– Proszę bardzo. Moje ulubione to to, na którym pijecie z Patricią kawę w małej knajpce. Widać, że się dobrze znacie. Pewnie zainteresuje to policję, bo nie bardzo wiedzą, jak przypisać Travisowi zabójstwo Ramony, a zdjęcie dowodzi, że dobrze ją znałaś. Od razu znajdziesz się w kręgu podejrzanych.

Przez twarz Patricii przemknął wyraz paniki.

– Lomax widział nas razem? Pokaż to!

Daphne spokojnie obserwowała Madeline, a ta zacisnęła dłoń na Słonecznych Siostrach i starała się porozumieć z nią bez słów.

– Proszę bardzo, Patricio – mruknęła.

Cisnęła pozostałe fotografie w stronę Patricii. Zdjęcia szybowały w powietrzu, posypały się bezładnie na podłogę.

– Suka! – wrzasnęła Patricia.

Skierowała pistolet na Madeline. Daphne rzuciła się na bok, trącając Patricię niezgrabnie. Ta nie upadła, ale zachwiała się.

Padł strzał. Madeline poczuła lodowate zimno w lewym udzie, ale już biegła, zaciskając oprawione

zdjęcie w obu dłoniach.

Kant oprawy uderzył Patricię w głowę. Madeline włożyła w ten cios całą swoją siłę.

Patricia krzyknęła, zatoczyła się do tyłu, całkiem straciła równowagę i upadła. Broń wysunęła się z jej ręki. Daphne rzuciła się po pistolet.

Madeline zamachnęła się do kolejnego ciosu. Patricia odruchowo zasłoniła się ręką. Pękło szkło.

– Zabiłaś ich oboje! – wrzasnęła Madeline. W jej żyłach buzowała niebezpieczna mieszanina gniewu i rozpacz. Walnęła Patricię ramą w bark, raz za razem. Popłynęła krew. – Przez ciebie nie żyją babcia i Tom. To twoja wina.

– Nie! – Patricia odsuwała się instynktownie. W jej oczach płonęła panika i szok. – Nie! Przestań! Oszalałaś!

Chciała uciec, ale była w pułapce, uwięziona między ścianą i starą kanapą. Madeline szykowała się do kolejnego ciosu.

– Maddie, przestań! – zawołała Daphne. – Ty krwawisz. Przestań.

Zanim zadała cios, wyrwano jej fotografię z ręki.

– Dostyc już – powiedział Jack spokojnie. – Ja się tym zajmę.

Patrzyła na niego przez mgłę wściekłości, rozpacz i bólu.

– Jack – szepnęła.

– Wiem, że chcesz ją zabić, ale uwierz mi, lepiej, jeśli tego nie zrobisz – przekonywał ją.

Przemyślała to, starała się zrozumieć. Jack odsunął ją od szlochającej Patricii.

– Dobrze – powiedziała w końcu Madeline. – Dobrze.

– Cholera – rzucił Jack. – Daphne ma rację, to głównie twoja krew.

Spojrzała w dół. Lewa nogawka jej dżinsów nasiąkała krwią.

– Och.

Nagle zakręciło jej się w głowie.

Jack podtrzymał ją, ułożył na wiekowej kanapie. Dłonią starał się zatamować krwawienie.

– Boli – szepnęła.

Puścił to mimo uszu. Nacisnął mocniej.

Jeden z policjantów – dowódca, jak się domyślała – spojrzał na funkcjonariusza w mundurze.

– Przynieś apteczkę, Mike – polecił. – I zadzwoń po karetkę.

Mike wybiegł posłusznie.

Daphne ściągnęła kurtkę i kucnęła przy sofie.

– Ja się tym zajmę, Jack – zapewniła.

Po chwili wahania zobaczył, że robi prowizoryczny opatrunek z kurtki, i odsunął się.

Madeline spojrzała na niego. Oczy mu płonęły.

– Zrozumiałeś moją wiadomość – stwierdziła.

– Pomysł, że chcesz piec chleb kukurydziany z kwaśną śmietaną, bardzo mnie zaniepokoił.

Skinęła głową zadowolona.

– Kocham cię.

– Kocham cię.

Daphne uciskała ranę.

– Jak się czujesz, Maddie?

– Boli jak cholera – przyznała. – Jezu, Daph, bałam się, że cię zabije.

– Ale nie zabiła. Uratowałaś mi życie.

– Naprawdę?

– Owszem. Uratowałaś nas obie. Ja byłam zbyt przerażona.

– Jak wtedy, gdy to ty mnie uratowałaś. Ale wyjdziemy z tego.

– O tak.

– Siostry na zawsze, i tak dalej.

– Na zawsze – powtórzyła Daphne.

Madeline przestała się opierać, uległa bólowi. Osunęła się w ciemność.

Rozdział 62

Aż nie do wiary, że Tom zaczął coś podejrzewać na podstawie przepisu na chleb kukurydziany – stwierdziła Madeline. – Jakkolwiek by było, nie był mistrzem kuchni. Dziwi mnie, że w ogóle zwrócił uwagę na tajemny składnik.

– Moim zdaniem widział też inne drobiazgi, ale uparcie je ignorował – odparł Jack. – Udawanie zaginionej krewnej to trudny numer. Niełatwo jest cały czas trzymać się roli.

Siedzieli w szpitalu, w pokoju Madeline. W Seattle. Tuż po strzelaninie przetransportowano ją helikopterem. Jack i Daphne ruszyli za nią wynajętym samochodem. Dojechali, gdy jej operacja dobiegała końca. Przez całą noc siedzieli przy jej łóżku. Rano Abe przyleciał z Arizony.

Lekarz zapewnił, że rana się zagoi i zostanie jedynie intrygująca blizna.

– Ramona popełniła zapewne sporo błędów – rzucił Abe. – A przepis tylko przepełnił czarę. Bo jakie są szanse, że świeżo poślubiona pani Webster używa tego samego tajemnego składnika?

– To nie przepis – oznajmiła Daphne.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

Wyjęła z torebki jedno ze zdjęć Ramony autorstwa Toma. Położyła je na stoliku, sięgnęła ponownie do torebki i wyjęła wycinek z fotografią Patricii z chlebem kukurydzianym.

– Tom był prawdziwym artystą – zaczęła. – Patrzył na świat przez obiektyw aparatu. Gdy porówna się obie fotografie, Patricii i Ramony, widać rodzinne podobieństwo. Domyślam się, że w pewnym momencie to dostrzegł i wtedy zaczął coś podejrzewać.

– Tak jest. – Abe pstryknął palcami. – Jesteś genialna. A skoro już podejrzewał Ramonę, przepis dał mu kolejny dowód.

– I dlatego śledził ją, gdy oddalała się z wyspy – dodał Jack. – Odkrył mieszkanie w Seattle, z ukrycia sfotografował ją z Travisem, a także jak pije kawę z Patricią. Zdawał sobie sprawę, że go oszukano, ale było już za późno. Do tego czasu powiedział jej o aktówce i jej zawartości, a kiedy wszystkie elementy układanki trafiły na miejsce, po aktówce i Ramonie nie było śladu.

– Nie chciał szantażować Webstera? – zapytał Abe.

– Może, choć nie sądzę – odparł Jack. – Moim zdaniem popełnił inny błąd: zaufał swojej rzekomej wnuczce. Wyjął aktówkę ze ściany, a kiedy zrozumiał, że nie może ufać Ramonie, wrócił do pokoju dwieście dziewięć, zapewne po to, by ukryć aktówkę w bezpiecznym miejscu. Tylko że jej już tam nie było.

– I wtedy zadzwonił do mnie – odezwała się Madeline. Usiadła, oparła się o poduszki, syknęła, czując nową falę bólu w udzie. Jack zmarszczył brwi i już wyciągał rękę do przycisku wzywającego pielęgniarkę, ale pokręciła głową. – Nic mi nie jest.

Choć nie wydawał się przekonany, padł z powrotem na krzesło.

– Tom upierał się, że musi porozmawiać ze mną twarzą w twarz – ciągnęła. – Kiedy przyjechałam, Travis usiłował zaaranżować wszystko tak, żeby jego śmierć wyglądała na wypadek albo napad złodzieja

zdybanego na gorącym uczynku.

– Usłyszał twój samochód na podjeździe – spekulował Abe. – Ukrył się na piętrze. A potem doszedł do wniosku, że właściwie równie dobrze może się pozbyć także ciebie, w końcu zabił już twoją babcię. Nie wiedział, co wiesz o zawartości aktówki, zwłaszcza że było oczywiste, że Tom się z tobą skontaktował. I dlatego chciał cię zabić.

– Ale nie zdążył, bo już wezwałam policję – uzupełniła. – A potem zadzwoniłam do nowego szefa ochrony.

– A później dranie byli bez szans – zakończyła Daphne.

– Rayner Risk Management świadczy usługi najwyższej jakości – zapewnił Abe.

– Wiemy na pewno, że to Ramona włamała się do mojego mieszkania w Denver? – zapytała Daphne.

Jack skinął głową.

– Travis zeznał, że wysłał ją do ciebie, by ustaliła, ile wiesz o tamtych wydarzeniach. Niczego u ciebie nie znalazła, ale na wszelki wypadek zabrała twój komputer.

– Czyli koniec końców zostałam bez komputera – zauważyła Daphne.

– Kupisz sobie nowy – powiedział Abe. – Pomogę ci wybrać.

– Dziękuję.

Uśmiechnął się.

– Jak powiedziałem, świadczymy usługi najwyższej jakości.

Daphne mrugnęła porozumiewawczo do Madeline i uśmiechnęła się do Abe'a.

– Co powiesz na kawę? Podobno w Seattle mają nawet Starbucksa.

– Coś takiego. – Oderwał się od okna. – Bardzo nowoczesne miasto.

Wyszli i Madeline z Jackiem zostali sami. Jack wstał, podszedł do łóżka, pochylił się i wziął ją za rękę. Dobrze czuć jego siłę, pomyślała. Na kimś takim można polegać. Przez całe życie.

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak – uśmiechnęła się. – Zdaję sobie sprawę, że ostatnio mieliśmy sporo na głowie, ale chyba nie zmieniłeś zdania? I nadal chcesz się ze mną ożenić?

– Nikt ci nie mówił, że jak już podejmę decyzję, jestem jak pociąg towarowy?

– Chyba już coś o tym słyszałam. Podobno wtedy ma się do wyboru: uciekać albo wskoczyć na pokład.

– Wskakujesz?

– Na całą podróż.

Pochylił się bardziej i pocałował ją, a kiedy uniósł głowę, w jego oczach widziała obietnicę wspólnego życia.

– Będzie dobrze – zapewnił.

– Tak. Będzie bardzo dobrze.